

Wyznania znanej aktorki o jej arabskim małżeństwie  
wstrząsnęły Kanadą

# *Mój mąż potwór*

Jak długo można być  
traktowaną jak zwierzę,  
katowaną i narażaną na śmierć,  
żeby uciec od ukochanego?

*Moja historia*

**INGRID FALAISE**



Korekta

Agnieszka Deja

Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce © Stéphanie Lefebvre.

Tytuł oryginału

Le monstre

© Les éditions Libre Expression, Montréal, 2015, through arrangement  
with Renata de La Chapelle Agency Original title: Le monstre.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana ani przekazywana  
w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition Copyright © 2016 rok by Wydawnictwo Amber Sp.  
z o.o.

ISBN 978-83-241-5924-6

Warszawa 2016. Wydanie 1

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 68

tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego P.U. OPCJA

[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

*Nigdy nie jesteśmy tak bardzo bezbronni  
wobec cierpienia jak wtedy, gdy kochamy.*

Zygmunt Freud

## *Prolog*

Czuję, jak narasta we mnie panika. Krew pulsuje mi w skroniach. Nie mogę nabrać tchu. Poduszka, którą przyciska mi do twarzy, nie pozwala mi oddychać. Młóczę rękami powietrze. Próbuję walczyć, ale bezskutecznie. Jestem zupełnie unieruchomiona, bo przygniata mnie całym bezwładem swojego ciała. Krzycząc, pozbawiłam się resztek powietrza, dzięki którym zachowałam dotąd przytomność. Nie jestem gotowa odejść. Nie jestem gotowa zniknąć.

Mój zamroczony z braku tlenu umysł wypełnia nagle płomienna modlitwa. Przynajmniej tego mnie nauczył... Modlić się. Wierzę w tego Boga. Wierzę ze wszystkich sił, całą duszą i każdą cząstką siebie tak przeraźliwie spragnioną miłości. Dobry Boże, pomóż mi znaleźć siłę, żeby przetrwać. Boże mój najukochańszy, błagam, pozwól mi przeżyć.

Jego nagły, zwierzęcy ryk przywołuje mnie do rzeczywistości. Przytłaczający ciężar mojego tyrana ustępuje, a ucisk pierza na mojej twarzy słabnie. Dopadają mnie zawroty głowy. Ciężko dysząc, łapczywie chwytam powietrze. Płuca aż kurczą mi się od tej gwałtownej ulgi. Muszę natychmiast odzyskać panowanie nad sobą i wyrwać się z tego odrętwienia, w którym niemal się zatraciłam.

Mało brakowało, a to łóżko z fioletową, niezmienną od wielu miesięcy pościelą stałoby się moim łóżem śmierci. Na stole popielniczka pełna wczorajszych niedopałków, a przede mną miota się rozjuszona bestia. Puścił poduszkę, która opadła na bok, i wielkimi łapami rozdziera na sobie koszulkę Hugo Bossa jak obłąkany. Dzieli nas kilka kroków. W jakimś wściekłym transie rozrywa na strzępy ubranie, które zwykle traktuje z taką dbałością. Ryczy z pasją, oczy zachodzą mu krwią, twarz ma przeraźliwie bladą, a na

ogolonej głowie pojawiają mu się kropelki potu.

Instynkt przetrwania. To też mogę dopisać do mojej listy doświadczeń. Zajęty sobą i zaślepiiony szałem, mój Potwór chwilowo o mnie zapomina. To wystarczy, żeby nagły przypływ adrenaliny pomógł mi złapać telefon porzucony na ziemi, tuż-tuż, w zasięgu ręki. Ileż to razy wpatrywałam się w ten telefon... W ten zakazany aparat, jakby owinięty drutem kolczastym, który nigdy nie dzwoni. W tę słuchawkę, której widok paraliżuje mnie strachem. Jest tuż obok... Czy to Bóg? Moje anioły? Dobre duchy? Szósty zmysł? A może to właśnie ten instynkt przetrwania daje mi siłę do walki. Chwytam słuchawkę i pośpiesznie wystukuję numer. Tyle razy wyobrażałam sobie, jak go wybieram... Te cyfry łączą mnie z moją bezpieczną twierdzą, z moimi korzeniami. Obraz tej chwili zapisany jest w każdej komórce mojego ciała. Mam to uczucie wyryte głęboko na dnie mojej duszy. Zamieram, gdy Potwór nieoczekiwanie odwraca ku mnie głowę. Wbija we mnie spojrzenie, którym przewierca mnie na wskroś. Siedząc zdyszana w fioletowej pościeli i z trudem łapiąc oddech, słyszę przy uchu pierwszy sygnał mojego ocalenia.

Dzieje się ze mną coś dziwnego. Niespodziewanie ogarnia mnie dziwne poczucie siły i zdecydowania. Nie wpadnę znów w odrętwienie. Od tej pory będę oddawać wszystkie ciosy. Choćbym miała walczyć do upadłego, nie dam sobą więcej pogrywać tak jak dotąd. Odzyskałam nad sobą władzę i już jej nie oddam. Będę się bić aż do śmierci, jeżeli będzie trzeba, ale nic nie zdusi tego zastrzyku miłości, jaki otrzymałam. Nie uda mu się zabić mojej osobowości i zniszczyć tego, kim jestem.

W jego wzroku widzę nienawiść i niepokój. Mieszaninę oszołomienia, szoku i wściekłości. Połączenie furii i niedowierzania. Zastyga, zaskoczony takim zwrotem akcji. Zawsze ma wszystko wykalkulowane, ale nie przyszło mu do głowy, że mógłby nagle utracić kontrolę.

Po pierwszym dzwonku w słuchawce rozlega się zaspane „Halo”, któremu nie pozwalam nawet wybrzmieć do końca. Nie mam chwili do stracenia. Czujnie obserwuję ruchy bestii, która znowu wydaje z siebie ryk. Czuję, że zaraz rzuci się na mnie i wyrwie mi z rąk słuchawkę. Wbija we mnie czarne ślepie, paznokciami rozdziera sobie skórę na głowie i wije się w spazmatycznym tańcu, jakby skręcał się z bólu. Zaraz zaatakuję, liczy się każda sekunda. W zaschniętych ustach formują mi się gorączkowe słowa. W

panice ledwo mam czas wyrzucić z siebie:

– Wiesz, gdzie jestem, przyjedź!

A wtedy lew się rzuca. Czuję, jak zwala się na mnie całym swoim ciężarem. Telefon uderza o ścianę ciasnego dwupokojowego mieszkania w suterenie obskurnej kamienicy w Saint-Laurent przylegającego do podziemnego parkingu pełnego szczurów i karaluchów. Dobrze znam ten parking, bo to tam wlecze mnie Potwór, kiedy chce się nade mną szczególnie brutalnie poznać.

W tej chwili całym moim sercem malutkiej dziewczynki mam tylko nadzieję, że mama usłyszała mój głos i przyjdzie mi z pomocą. Potem następują najdłuższe minuty w moim życiu – najdłuższa walka, fizyczna i psychiczna, jakiej kiedykolwiek doświadczę. Muszę obudzić w sobie całą bojowość, na jaką mnie stać, bo inaczej nigdy się nie wyzwolę.

## *1. Moja prawda*

Krzesło, na którym siedzę, jest twarde i niewygodne. Czas wszystko opowiedzieć. Zaprowadzono mnie do sali konferencyjnej i kazano czekać na mecenasa Savoie, który, jak się dowiaduję, jest wybitnym prawnikiem. Jest przy mnie mój ojciec. Zwykle taki spokojny i opanowany, co szczerze w nim uwielbiam, teraz jest wyraźnie spięty – jeszcze bardziej niż ja.

Tata mówi powoli. Zawsze był tym rozsądnym i wyważonym – tym, który dostrzega we wszystkich dobre strony (nawet w największych łądakach tego świata, czego nigdy nie potrafiłam u niego zrozumieć). Właściwie to nie znosiłam go za to. Czasami chciałabym, żeby był taki, jak silny, włoski ojciec, który za nic nie pozwoli skrzywdzić swojej rodziny i zaprowadza porządek z rewolwerem w kieszeni. Ale mój tata to typ dobrego papcia. Wszyscy go uwielbiają, a dla mnie to ktoś, kogo kocham najbardziej na świecie. Zawsze umie wysłuchać i dać dobrą radę. Potrafi łatwo docierać do ludzi, będąc przy tym doskonałym biznesmenem. Jest szlachetny i sprawiedliwy. Jest moją opoką.

Zawsze twierdziłam, że moje siostry wrodziły się w mamę, a ze mnie jest wykapany ojciec. Bez wahania wsiadłabym na rower i pojechałabym za nim do Timbaktu, gdyby mnie poprosił. Kiedy byłam mała i strasznie męczyłam się w szkole, lubiłam towarzyszyć mu na rowerze, kiedy biegał swoje półmaratony.

Tata nagle podnosi się z miejsca i zaczyna krążyć obok długiego stołu z polakierowanego drewna. Ja siedzę nieruchomo. Nie mam najmniejszej ochoty opowiadać obcemu człowiekowi ostatnich lat mojego życia, tym bardziej przy moim ojcu. Nie chcę go rozczarować. Zwieszam głowę, żeby nie napotkać jego wzroku.

Do pokoju wchodzi mecenas Savoie, malutki mężczyzna na krótkich nóżkach, w okrągłych okularach. Jakim cudem ktoś tak niepozorny może mnie obronić? W ogóle nie przypomina adwokatów czy prawników z amerykańskich filmów. Żaden tam mafioso italiano, raczej miniaturowy jegomość, choć na pewno bardzo inteligentny, powtarzam sobie, żeby się podnieść na duchu.

Po zwykłym przywitaniu, ani serdecznym, ani chłodnym, siada na wprost i otwiera laptop. Dobrze, że ma tylko osiemnastocalowy ekran, bo podejrzewam, że inaczej cały by za nim zniknął.

Asekuracyjnie przybieram twarz bez wyrazu, ale czuję, że w gardle nabrzmiewa mi ogromna kula. Cały czas tam jest, nawet dziś. Pęcznieje, kiedy dopadają mnie koszmary w nocy i usiłuję krzyczeć, ale nie mogę wydobyć głosu. Często po przebudzeniu czuję ślady łez na policzkach i pieczenie w gardle od tego niemego krzyku.

Tata siada koło mnie i bierze mnie za rękę, a wtedy muszę w końcu napotkać jego wzrok. Jego łagodne oczy zaglądają mi prosto w duszę i czytam w nich całe cierpienie ojca, który nie potrafił ustrzec swojej córki. Czuję się mała, bezbronna, przygnębiona i tak strasznie winna. Tak mi przykro, tato, że przeze mnie musiałeś przejść przez to wszystko. Już czas. Mecenas Savoie prosi o moje zeznanie. Mam wszystko opowiedzieć.

To jest moja historia. Nie jakiejś innej, obcej kobiety gdzieś daleko. Moja, ale mogłaby równie dobrze przydarzyć się Twojej siostrze, córce, ukochanej, przyjaciółce, a może i Tobie.



## 2. M

*Takiego człowieka jak Potwór spotyka się raz w życiu. Potwór ma w sobie tak magnetyczną energię, że każdy, na kogo padnie jego wzrok, natychmiast czuje się wyjątkowy i wyróżniony. Nabiera wartości i poczucia niezmiernie siły.*

Zawsze chciałam nazywać się Sophie. Miałam kuzynkę o tym imieniu, a kiedy byłam mała, bardzo ją podziwiałam i chciałam być taka jak ona. Zapamiętałam ją jako młodą dziewczynę galopującą na koniu z rozwianymi blond włosami i donośnym śmiechem. Niczym ujęcie z filmu.

Teraz mam osiemnaście lat i nie jeżdżę konno galopem. Wybieram raczej ogierów w swoim wieku albo jeszcze starszych. Lubię flirtować i szaleć. Potrzebuję czuć się pożądana i adorowana. Pragnę miłości i pasji. Mój słodki, anielski wygląd, naiwna i ufna osobowość oraz wrażenie samozadowolenia i pewności siebie, jakie mnie otaczają, przyciągają mrocznych, tajemniczych mężczyzn. No więc mam osiemnaście lat i będę nazywać się Sophie.

Mojego Potwora spotkałam na hucznej imprezie na szczycie najwyższego wieżowca w centrum miasta. Jestem z koleżankami. Na dole ochroniarze kierują nas do windy na trzydzieste siódme piętro, życząc nam miłej zabawy. Wystarczy piętnaście dolarów (Aj! To sporo dla niefrasobliwych studentek dorabiających sobie dorywczo w czasie wakacji) i drzwi windy rozsuwają się wprost na gwarny hol pełen ludzi. Jest jedenasta, najwyższy czas się zabawić... Szoty! Hop-siup, przed nami szalona noc!

Rozochociona atmosferą bez troski i zabawy idę potańczyć przy muzyce pop. Taka ładna, wysoka blondynka jak ja szybko zwraca uwagę polujących drapieżników dookoła, ale ja nie pozwalam się łatwo usidlić. Żebym podjęła

grę, mężczyzna musi najpierw wzbudzić we mnie pasję. Szukam zafascynowania, ognia, namiętności. Znajduję to w jednym z nich. Jeden wieczór, jedno spotkanie, jedna chwila popchnie mnie w zupełnie nieznanym kierunku i na zawsze pozostawi blizny na moim sercu, ciele i mojej niewinności. Moment, który zaważy na całym moim życiu i usunie wszelkie ślady dziewczęcości, jakie jeszcze w sobie mam.

Od razu go zauważam. Wszystkie dziewczyny go zauważają. Stoi oparty o długi, biały bar, wpatrując się w tłum, nieprzenikniony niczym James Dean. Dopiero później zrozumie, że lubi się separować, odsuwać trochę na bok, żeby stworzyć to wrażenie tajemniczości, którym świadomie operuje. Gawędzi z wydekoltowanymi barmankami, które na wyścigi serwują mu drinki. Ma w sobie niespotykany wdzięk, a to potężna i niszczycielska broń.

Mr Dean mi się przygląda. Bez skrupowania rozbiera mnie spojrzeniem przepaścistych, czarnych oczu. Dzieli nas kilka metrów, a mimo to wyczuwam tę huraganową namiętność. Między mną a nim przebiega nagła iskra i łączy nas natychmiast. To się nazywa grom z jasnego nieba.

Do teraz ten grom powali mnie jeszcze zbyt wiele razy.

M jak Monstrum, M jak Maniak, M jak Manipulant... M jak pierwsza litera jego imienia. M jak pierwsza litera jego nazwiska.

M przysuwa się ku mnie i wyczuwam delikatny zapach jego perfum. Choć jego biała koszula jest tylko nieznacznie rozpięta pod szyją, widzę, że ma gładkie i piękne, smagłe ciało. Długie ręce wiją się po obu stronach smukłej sylwetki do rytmu *Billy Jean*. Proste spodnie wspaniale leżą mu na biodrach. Takich twarzy praktycznie się nie spotyka: ma szlachetny nos, pięknie wyprofilowane rysy i kusząco pełne usta, po których błąka się uśmiech Mona Lisy. Jego zapach słońca, śniada cera, gładka twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych, zgrabne, szczupłe ciało i elegancki styl bycia nadają mu nieodpartego uroku. Nie jest plastikowy ani zbyt umięśniony. Mógłby spokojnie pracować jako model i zakasować wszystkich Beckhamów świata. Prawdę mówiąc, nigdy później nie spotkałam już tak pięknego mężczyzny.

Trudno stwierdzić, czy jest Hiszpanem, Włochem, czy mieszkańcem Maghrebu. Pochodzi z daleka, z innego świata. Pachnie miodem i pewnie tak

samo smakuje. Tańczy teraz tak blisko mnie, że nasze nogi splatają się ze sobą. Pozwalam się ponieść temu nieznanemu.

Kładzie mi rękę na biodrze, a mnie wzdłuż pleców przebiega strumień prądu. Rażona piorunem. Ogarnia mnie żar, od którego aż dygoczą mi uda. Muzyka zmienia się na bardziej zmysłową i zapadamy się w siebie nawzajem. Oddech Jamesa Deana pieści mnie po szyi. Wpadam w euforię i iskrzy we mnie każdy nerw. Całe moje ciało buzuje w płomieniach.

Piosenka trwa, a M nie odstępuje mnie ani na chwilę. Prawie niedosłyszalnie i z ujmującą grzecznością proponuje mi na ucho, żebyśmy wyszli się czegoś napić na tarasie. Nie odpowiadam, ale instynktownie ściskam rękę, która oplata moje palce.

Pod wpływem zetknięcia dłoni nasze ciała jakby stapiają się ze sobą.

M prowadzi mnie do gwiazd. Na dachu tego strzelistego budynku jesteśmy tak wysoko, że one praktycznie nas otaczają. Delikatnie otacza mnie ramionami. Jego skóra jest taka miękka! Jakby nigdy nie zaznał przesadnego upału czy mrozu, jakby przez całe dzieciństwo kąpał się w słodkich olejkach. Mimo otaczającej nas ciszy oboje wpadamy w trans. Serce wali mi w piersi tak gwałtownie, aż boję się, że usłyszy. Pożera mnie tymi zniewalającymi, czarnymi oczami. Zaczynam czuć się niezręcznie. Jakby wręcz czytał mi w myślach... Tak bardzo pragnę miłości i opieki. Z ust płynie mu cicha piosenka, serenada słów tylko dla mnie. Nuci półgłosem czarodziejską balladę Pierre'a Bacheleta: „A ja stałem się niewolnikiem tego uśmiechu i tej twarzy, i mówię jej: zabierz mnie ze sobą...”

M nachyla się nade mną powoli. Muska moje wargi ustami, a we mnie wzbiera fala gwałtownych emocji, połączenie lęku i rozkoszy.

Potem rozmawialiśmy i tańczyliśmy aż do chwili, gdy DJ zakończył imprezę kilkoma przytulańcami, na sali rozbłysły światła i ostatni klubowicze zaczęli się zbierać. Moje kumpele upewniły się, że jestem w dobrych rękach, i dyskretnie zostawiły mnie samą w moim śnie.

Wciąż tak samo szarmancki, odprowadza mnie do mojego samochodu zaparkowanego w wąskiej uliczce nieopodal. Delikatnie głaszcze mnie po twarzy. Nie potrafię rozszyfrować tego mężczyzny, którego inicjały wypaliły się już w moim sercu. Emanuje z niego jakaś łagodna siła. Za piękną twarzą

kryje się pewna twardość zdradzająca trudny i nieobliczalny charakter. Z jednej strony czuję się absolutnie bezpiecznie pod opieką księcia, który, jak się wydaje, z łatwością pokonałby wszystkie straszliwe smoki na naszej drodze. Jednym ruchem miecza ściąłby głowę wszelkim potworom, które próbowałyby się do nas zbliżyć. Ale jakaś część mnie czuje zagrożenie ze strony tego człowieka, który, jak się obawiam, mógłby bez trudu całkowicie mną zawładnąć. Jestem oczarowana tą aurą tajemniczości wokół niego. W żyłach pulsuje mi magiczny ładunek zafascynowania. Urok działa, zupełnie mnie zawojował. Chcę go znowu zobaczyć, najszybciej jak to możliwe. Ostatni pocałunek i umawiamy się na następny dzień.

Zimno mi. Nagi materac leży pośrodku pokoju o pożółkłych ścianach. Sufit pokrywa grzyb. Leżę nieruchomo na podłodze w tym mrocznym pokoju. Jest noc. Trwam w stanie głębokiego odrętwienia, które nie pozwala mi otworzyć oczu. Zapadam się w obojętność. Jestem bezwładna, otumaniona i sparaliżowana przez kilka słoiczków lekarstw, które połknęłam naraz. Chcę się zatracić w pustce i nigdy już nie czuć bólu. Chcę uciec do lepszego świata i ukryć się przed bestiami, które zostawiły mnie na śmierć w tym budynku. Jestem sama, tak bardzo sama. Chcę zniknąć na zawsze.

### 3. Mała dziewczynka we mnie

Po tym pierwszym, burzliwym wieczorze spotykamy się jeszcze kilka razy w ciągu następnego tygodnia. Bez alkoholu zmysły reagują inaczej. Zabieram M na spacer po mojej okolicy na obrzeżach miasta. Jest małomówny, ale staram się go przeniknąć i odgadnąć znaczenie jego gestów. Bardzo mi zależy, żeby dobrze się czuł w moim towarzystwie.

Pałac papierosa za papierosem, stopniowo się przede mną otwiera. Pięknie się wysławia – chce tego, czy nie, mówi jak prawdziwy poeta. Dowiaduję się, że jest najstarszy z trójki rodzeństwa. Jego brat marzy, żeby zostać lekarzem, a siostra jest jeszcze zupełnie mała. Nigdy nie mówi swojej matce „kocham cię” i jej nie przytula. Mieszka w małym aneksie, który na jego prośbę zbudował mu ojciec tuż przy rodzinnym domu. Jego miejscowość oddalona jest o pięć godzin drogi od stolicy kraju, na granicy Sahary.

Ma dwadzieścia trzy lata i uwielbia Jamesa Deana i Pierre’a Bacheleta. Mówi mi nawet, że obmyślił już składankę piosenek, które mu się ze mną kojarzą. Nikt nigdy nie nagrał kasety specjalnie dla mnie. Jakie to romantyczne! *Elle est d’ailleurs, Je vais t’aimer, Sultans of Swing, Total Eclipse of the Heart*. To nie są piosenki mojego pokolenia, ale ponadczasowe hity. Zupełnie mnie tym podbija. Leżąc obok siebie na dywanie w salonie, słuchamy ich na okrągło. Między nami iskrzy magnetyczna siła i namacalne wprost przyciąganie.

Na moje nieszczęście jest lato i zbliża się okres wakacji. M ma już bilet lotniczy. Jedzie do swojej rodziny do Afryki na ponad miesiąc, a to przecież jak wieczność dla naszego dopiero rodzącego się związku. Boję się, że o mnie zapomni, że przestanie już o mnie myśleć. Boję się, że go stracę, a

wspomnienia naszego pierwszego wieczoru zblakną i rozwieją się z upływem czasu.

Ja lecę z młodszą siostrą do Szwecji na dziesięć dni. Moja mama jest z pochodzenia Szwedką i co roku spędzam wakacje w Skandynawii, gdzie cały czas mieszkają moi dziadkowie i wujek. Ale w tym roku wyjazd wcale mnie nie cieszy. Wolałabym zostać w domu i poimprezować przed rozpoczęciem roku akademickiego. Chociaż dziesięć dni minie przecież szybko.

Kiedy miałam cztery lata, postanowiłam, że zostanę aktorką, a raczej gwiazdą (już wtedy zorientowałam się, że to brzmi bardziej prestiżowo). Byłam pyskata i przebojowa. Miałam kręcone, jasne włosy, zielone oczy i promienną twarz. Ludzie często nie kryli podziwu, kiedy nadarzała mi się okazja do popisu. Potrafiłam rozkręcić się na całego. Bywało, że wskakiwałam w restauracji na stół i na całe gardło zaczynałam śpiewać *Ô Canada* – moją, nie wiedzieć czemu, ulubioną piosenkę w tamtym czasie – nie zwracając uwagi na mamę, która usiłowała ściągnąć mnie „ze sceny”. „Rewelacja”, mówili wtedy wszyscy. Byłam rozkoszną dziewczynką, rezolutną i pewną siebie.

Moja mama wyjechała ze Szwecji, kiedy poznała mojego ojca, stuprocentowego Kanadyjczyka z Quebecu, który jako dwudziestoparolatek pracował w Anglii na statkach handlowych. Kiedyś, podczas rejsu do Malmö, trafił na pewną imprezę. Lubię opowiadać tę historię. Alkohol lał się strumieniami i w którymś momencie jakiś podchmielony, włochaty grubas ruszył chwiejnym krokiem w stronę mojej mamy. Kiedy zobaczyła, że się do niej mozolnie przybliża, odwróciła się w lewo i chwyciła za ramię pierwszego mężczyznę pod ręką.

– *You! Dance with me!*

I to był mój ojciec. Od tamtej pory już się nie rozstali.

Kocham moich rodziców, ale często odnoszę wrażenie, że nie potrafię sprostać ich oczekiwaniom. Wiele razy słyszałam, jak mówią: „Gdzie się podziała nasza rozkoszna, roześmiana dziewczynka?” Ta mała dziewczynka zniknęła, kiedy miałam dwanaście lat i pewnie będę jej szukać przez resztę mojego życia.

Tę wesołą, energiczną blondyneczkę trzymającą się prosto i śmiało

podchodzącą do świata zgasiła szkoła średnia. To był koszmarny okres: przez cztery lata wymiotowałam co rano, zanim wsiadłam do żółtego autobusu, który zawoził mnie wprost do piekła. Przechodziłam prawdziwe męczarnie. Byłam szykanowana i prześladowana przez grupę dziewcząt, którym w końcu udało się całkowicie podkopać moje poczucie wartości.

Na szczęście szkoła średnia skończyła się dwa lata temu. Nie wiem, czy poradziłam już sobie z tamtą traumą, ale przynajmniej udało mi się wyrzucić ją z pamięci. Specjalnie zdecydowałam się na angielskojęzyczny college, żeby mieć pewność, że nikt mnie tam nie zna. Nowy początek – najlepsza decyzja w moim życiu. Jakoś się tam pozbierałam i odbudowałam swoje poczucie godności i pewność siebie na tyle, żeby się dalej rozwijać.

W domu jest nas trzy. Ja jestem ta środkowa, najbardziej zbuntowana, która musi wywalczyć sobie swoje miejsce. Mam osiemnaście lat, ale nadal wyklócam się ze starszą siostrą. Dzieli nas półtora roku i nigdy nam się nie układało: wybuchy zazdrości, docinki, kłamstwa i ciosy poniżej pasa – znamy to obydwie aż za dobrze. A jednak mam przeświadczenie, że obie darzymy się nawzajem bezwarunkową miłością, tyle tylko, że głęboko ukrytą. Jestem przekonana, że mam w sercu Victorii swoje miejsce. Co innego moja druga siostra, najmłodsza w rodzinie. Zawsze miała wszystko podane na tacy. Zaczęła mówić dopiero, kiedy miała trzy latka, bo na każde najmniejsze kwilenie z jej strony obie z Victorią na wyścigi odgadywałyśmy każdą jej zachciankę. Jest o cztery lata młodsza ode mnie, więc zawsze brałam ją pod opiekę i zadbałam o to, żeby jej lata szkolne potoczyły się inaczej niż moje.

## 4. Całkowite zaćmienie serca

Mijają dni. Wróciłam z wakacji w Europie, które nie sprawiły mi żadnej przyjemności. Nie mogłam się skupić na chwili obecnej. Moje myśli przez cały czas krążyły wokół M i wspomnienia jego zniewalającej twarzy. Chciałam tylko jednego: jak najprędzej wrócić do Montrealu, dorwać się do mojego pagera (dzisiaj to brzmi jak jakaś prehistoria) i odsłuchać wiadomości od mojego mężczyzny. Okazało się jednak, że nie czekały na mnie żadne płomienne wyznania ani deklaracje. Nic, cisza, zero kontaktu. *Total Eclipse of the Heart*. Przed wyjazdem rozwiązał umowę ze swoim właścicielem i po powrocie miał szukać nowego mieszkania przy uniwersytecie. Nie mam więc żadnego numeru, pod którym mogłabym go szukać. Pozostaje strach, nerwówka i oczekiwanie... Jestem niepokieszona.



## 5. *Feromony*

Wrzesień. Przez całe lato pracowałam w firmie mojego ojca. Wprowadzałam kody ładunków przywożonych przez zagraniczne statki. Szczerze nie znosiłam tej roboty. Mam duszę artystyczną, nienawidzę cyfr, za to uwielbiam tekst. Za kilka dni rozpoczynam studia na wydziale scenariopisarstwa, a jednocześnie przygotowuję się do przesłuchań w głównych szkołach teatralnych. Planuję dostać się do Kanadyjskiej Narodowej Szkoły Teatralnej, a co! Nadal trwam w stanie przygnębienia z powodu zniknięcia M. Ściska mnie w dołku. Dobrze wiem, że prawdopodobnie spotkam go na uczelni, i oczekuję odpowiedzi na moje pytania albo przynajmniej słowa wyjaśnienia. Trudno mi po prostu przekreślić tę naszą historię, chociaż taką krótką. Nie mogę zrozumieć, że ktoś mógłby mnie nie chcieć. Mnie, za którą ugania się tylu facetów. To solidny cios dla mojej ambicji.

Mieszkam wciąż z rodzicami, więc tata jest tak miły, że w drodze do pracy podwozi mnie i moją starszą siostrę na uczelnię. Pierwszy dzień. Wsiadamy przed wielką bramą brunatnego gmachu w centrum miasta i tata życzy nam miłego początku roku. Siostra wchodzi do środka, nie oglądając się na mnie. Jak zawsze. Tak bym chciała, żeby oprowadziła mnie po obcych korytarzach i pomogła mi przewyciężyć zdenerwowanie. Chociaż od szkoły średniej minęło już sporo czasu, pierwszy dzień w szkolnej dżungli nadal wywołuje we mnie potworny lęk i momentalnie przypomina mi się żółty autobus, w którym ze wszystkich sił próbuję nie zwrócić śniadania. Strach przed wyśmianiem ciągle mnie nie opuścił i cała się trzęsę przed drzwiami tej nieznannej szkoły. Po raz kolejny muszę więc sama się z tym zmierzyć, przybrać niewidzialny pancerz i zebrać się na odwagę.

Pierwsze zajęcia są bardzo ciekawe. Pani Veilleux uprzedza, że nigdy nie stawia szóstek. Przyjęłam. Podnoszę wzrok na sufit i postanawiam sobie, że nie spocznę, dopóki nie dostanę u niej tej osławionej szóstki.

Po lekcji mam godzinne okienko między zajęciami. Idę więc do kafejki uniwersyteckiej, mojej nowej mety, gdy nagle czuję, jak wzdłuż kręgosłupa przelatuje mi ogień. Wiem, że jest w pobliżu. Kładę stos książek na niewielkim stoliku i z kawą w jednej ręce i papierosem w drugiej próbuję się odprężyć i opanować to dziwne mrowienie. Zawsze miałam ten słynny szósty zmysł. Gdy gwiazdy chcą mnie ostrzec, otwiera mi się trzecie oko, a w uszach rozbrzmiewa szum. Moja mama ma to samo, odziedziczyłam to po niej.

M jest ze swoją paczką. Kierują się do baru, gdzie zostało jeszcze kilka wolnych stołków. Czuję, że oblewam się rumieńcem. Jest mi gorąco. Już sama nie wiem, czy chcę, żeby mnie zobaczył, czy nie. To na tę chwilę czekam od przeszło dwóch miesięcy. Chcę, żeby mnie zauważył. Musi mnie zauważyć. Zaklinam los, żeby kazał mu się odwrócić.

Tego ranka starannie umalowałam oczy i ułożyłam moje długie, jasne włosy. Mam na sobie krótką spódniczkę i buty na niewysokim obcasie. Chciałam wyglądać jak najlepiej na wypadek, gdybym natknęła się na mojego mężczyznę, ale tak, żeby moje wysiłki nie rzucały się w oczy.

Gaszę papierosa i wtykam nos w książkę. Nie mogę się skupić. W kółko czytam jedno i to samo zdanie. Cały czas obserwuję go kątem oka, chociaż udaję, że czytam. Wyczuwam, że się zbliża i nagle jest – staje tuż na wprost mnie. Podnoszę wzrok i czerwienię się jeszcze bardziej. Wygląda bosko. Jego karnacja jest jeszcze ciemniejsza niż w moich wspomnieniach. Ma na sobie klasyczne džinsy i brunatny sweter z trójkątnym wycięciem odsłaniającym fragment gładkiej klatki piersiowej. Między nogami budzi mi się wrzenie, od którego zaczynają dygotać mi uda, a w sercu wybucha ogień. Uśmiecha się po prostu i mówi z naciskiem:

– Dzień dobry.

To bardzo wymowne, sugestywne „Dzień dobry”. Jego czarne oczy przewiercają zieleni moich na wskroś i zapierają mi dech. Sama nie wiem, czy jestem raczej zła, onieśmielona, czy uradowana jego obecnością.

Odpowiadam „Dzień dobry”, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie jak najpewniej, i wskazuję mu miejsce koło siebie, które zajmuje bez chwili wahania. Pan M, mój Pan M siedzi tuż przy mnie, niemal dotykając mojego ciała, w którym szaleją płomienie. Niespiesznie i delikatnie całuje mnie w policzek, bardzo blisko kącika ust. To wprost nie do zniesienia. Mam ochotę złapać go za szyję i gwałtownie przycisnąć usta do jego ust. Pachnie tak słodko i jest taki piękny. Otacza go ta sama aura tajemniczości. Jest tu, koło mnie, w zasięgu mojej ręki... Nareszcie. Siedzimy na kanapie obok siebie, ledwo stykając się ramionami, ale jego bliskość elektryzuje całą powierzchnię mojej skóry. Między nami aż buzuje feromony.

Milczy uporczywie, więc muszę coś powiedzieć, żeby przełamać ten niezręczny moment. Tak strasznie chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. M znowu zagląda mi w oczy i, tak jak zawsze wcześniej, nachyla mi się do ucha. Wszystkie zmysły mam w stanie najwyższego napięcia. Chłonę każde słowo, ale szepcze tak cicho, że muszę skupić na nim całą swoją uwagę.

Wiedział, że mnie dziś spotka, i od powrotu z wakacji myślał tylko o mnie. Nie odzywał się, bo tak strasznie pragnął mnie zobaczyć, że chciał sobie przedłużyć tę rozkosz oczekiwania. Sam sobie narzucił takie cierpienie. Intryguje mnie to. Jestem zaskoczona jego wyjaśnieniem, uszczęśliwiona i wstrząśnięta zarazem. A co ze mną? W ogóle nie pomyślał o tym, co ja czuję? Ależ oczywiście, że tak... Bardzo chciał mnie zobaczyć i właśnie miał nadzieję, że to nastąpi dzisiaj. Z tym że na uczelni jest kilka tysięcy studentów, mogliśmy przecież mieć zajęcia w różnych budynkach. Może on też umie zaklinać rzeczywistość tak jak ja...

– Wiesz, dużo o tobie myślałem w ostatnim czasie.

Ach tak? Myślał o mnie? Chciałabym w to wierzyć. Od swojego powrotu nie odezwał się ani słowem, czyli najwyraźniej nie byłam dla niego priorytetem. Inna rzecz, że wcale tego nie oczekiwałam. Nigdy dla nikogo nie byłam priorytetem, łącznie ze mną samą. Zawsze najpierw myślałam o innych. Tak więc otworzę się przed nim, wpuszczę go w głąb mojego prawdziwego „ja” i pozwolę mu skraść sobie serce.

Do moich następnych zajęć zostało niewiele czasu. Nie mam najmniejszej ochoty się z nim rozstawać. Jestem szczęśliwa i zakochana. Będzie na mnie

czekał po zajęciach i pokaże mi swoje nowe mieszkanie.

## 6. *Mistrz i uczennica*

M stał się mi niezbędny jak powietrze, i vice versa. Co rano, w tajemnicy przed ojcem, przemykam się do niewielkiej klitki przy ulicy Saint-Denis, o dwa kroki od uniwersytetu, gdzie w dwóch ciasnych pokoikach wytapetowanych plakatami Jamesa Deana rezyduje pan mojego serca. Całe wyposażenie mieszkania stanowi okrągły stół, dwa krzesła i łóżko. W kuchni, obok poźółkłej, nieustannie warkoczącej lodówki, zaropiała rdzą kuchenka woła o pomstę do nieba. Wślizguję się pod kołdrę, przywieram do rozgrzanej snem skóry M i przysypiam jeszcze na chwilę na jego ramieniu przed pójściem na zajęcia.

Często waletuje tam również jego kumpel Chafik, który śpi razem z nami na wąziutkim łóżku. Mamy osiemnaście lat – nic nam nie przeszkadza i nic nam nie potrzeba. Żadnych ograniczeń, jest tylko tu i teraz. Chodzę na uczelnię, ale zajęcia całkiem przestały mnie interesować. Wolę włączyć się z M i jego znajomymi, też studentami z tego samego kraju, którzy wagarują jak my. Godzinami przesiadujemy w salach gier, wałesamy się po ulicach Montrealu i zalegamy w shisha barach.

Ubieram się trochę seksownie i zawsze jestem odpicowana. M uwielbia się mną popisywać, wszędzie mnie ze sobą zabiera i nie odstępuje na krok.

Z każdym dniem zadziwia i pociąga mnie coraz bardziej. Wspaniale opowiada i nigdy mi się nie nudzi słuchać go przez długie godziny. Zna się na wszystkim i wie wszystko najlepiej. Okazuje się, że pasjonują go rekiny – szczególnie wielki żarłacz biały – filozofia – zwłaszcza Sokrates – i literatura – głównie Baudelaire. Najbardziej lubi *Kwiaty zła* i często recytuje mi całe fragmenty, puszczając w kółko piosenki Pierre’a Bacheleta, których słowa znam już teraz na pamięć. Ciągłe powtarza mi, że jestem tak piękna i pełna

elegancji, jakbym była istotą z innego świata, inna niż wszystkie dziewczyny. Jestem wyjątkowa, nikt nie ma tyle wdzięku co ja. Podsyca moją próżność i łechce ambicję. Jestem dla niego filarem i czuję się dumna, że wybrał właśnie mnie.

Jego przyjaciele są z nami cały czas i czasem nie mogę oprzeć się wrażeniu, które jednak szybko od siebie odsuwam, że M świetnie nadawałby się na guru jakiejś sekty. Wzdrygam się na samą myśl o tym. (Za to później wielokrotnie użyłam tego porównania do opisanego naszego związku: on – mistrz, ja – uczennica).

W czasie naszych nasiadówek w gronie znajomych M zajmuje jedno z dwóch krzeseł, jakie ma w mieszkaniu, a mnie oferuje drugie. Dwa trony. Nasze trony. Jego wielbiciele siadają zaś na łóżku albo wprost na podłodze. Zapalam świecę zamiast lampy i on nas naucza. Dzieli się z nami swoją filozofią życiową, opowiada o zdarzeniach politycznych i pomstuje na Stany Zjednoczone. Nikt nigdy nie kwestionuje jego słów, bo czaruje nas pięknymi ideami i z wredną satysfakcją ośmiesza każdego, kto ośmieli się wyrazić inne zdanie. M ma zawsze rację, a to, co my mówimy, nie trzyma się kupy. Ja się nie odzywam, lecz chłonę jego słowa, a następnie robię z nich własny użytek na co dzień.

Na zajęciach często toczymy debaty i zdaję sobie sprawę, że gdy wysuwam stwierdzenia M, ludzie w grupie nie są w stanie kontrargumentować. Przed nimi czuję się silna, ale przy nim tylko potulnie słucham i nie wychylam się, żeby nie palnąć głupstwa. M nabrał też zwyczaju podawać mnie za przykład.

– Piękna twarz to twarz o wyraźnych rysach, taka jak jej – mówi.

Cieszę się, że mam wyraźne rysy. Biedny Bachir... Jego twarz jest okrągła jak księżyc. Boję się, że kiedyś przytnie sobie policzki maczetą, żeby tylko przypodobać się mojemu M. Tak samo jest, kiedy wraca do swojej rodzinnej miejscowości. Zasiada w szerokim fotelu, a inni, z wyjątkiem jego przyjaciela Ahmeda, który ma prawo siedzieć na pufie, sadowią się, gdzie popadnie. A gdy już się rozlokują, M zaczyna przemawiać. Uwielbia tę rolę mentora.

Nie dostrzegam tego, że M stopniowo i konsekwentnie zacieśnia wokół

mnie pierścień swoich pionów. Skoczek, wieża i goniec przypuszczają na mnie swój atak i staję się coraz bardziej zależna od niego. Nie umiem grać w szachy i sukcesywnie wtapiam się w jego świat, nie przeczuwając podstępu, który dyskretnie realizuje dzień po dniu.

Mijają tygodnie, a ja coraz mniej go rozumiem. Nie chce się zgodzić na spotkanie z moją rodziną, bo nie może sobie wyobrazić, że miałby spędzać czas z moimi rodzicami, podczas gdy nie może być ze swoimi.

– Ale twoi rodzice są daleko, a moi są tu na miejscu – tłumaczę.

– Nie – odpowiada. – Zupełnie nic nie rozumiesz.

Więc nie naciskam i powtarzam sobie, że to nie takie ważne, żeby poznał moich rodziców, chociaż wiem dobrze, że niepokoi ich fakt, że nie wiedzą, z kim spędzam większość mojego czasu. Wynajduję więc najprzeróżniejsze wymówki i uruchamiam mój mechanizm obronny, który wykształciłam sobie w dzieciństwie i doprowadziłam z czasem do perfekcji.

Wyklócam się z mamą i ojcem, którzy łatwo dają za wygraną. (Bardzo wczesnie zorientowałam się, że wystarczy zrobić awanturę moim bliskim, żeby dali mi spokój, co później wielokrotnie bardzo mi się przyda, żeby odsuwać od siebie udrękę poczucia winy).

M nie znosi też moich znajomych i woli, kiedy spędzamy czas z jego otoczeniem, bo, jak mówi, moi mają na mnie niekorzystny wpływ. Zaczynam sądzić, że faktycznie moje koleżanki (nie wspominając już o kolegach, którzy w ogóle nie mają prawa istnieć) są puste i, jak to pięknie ujmuje M, poniżej mojego poziomu. Zresztą i tak przestaliśmy chodzić do klubów i na imprezy, co wcale mi nie przeszkadza, bo musiałabym tylko wiecznie uważać na inne laski, które bezceremonialnie się na niego gapią.

## 7. *O jedną partyjkę za dużo*

Listopad. Jest szaro, niebo zasnuwają ciężkie chmury i zrywa się coraz silniejszy wiatr. Brnę przez błoto w ślicznych kozaczkach, z rozwianym szalikiem i złotą płachtą włosów smagającą mi twarz. M obejmuje mnie za ramiona, dając do zrozumienia, że należę całkowicie do niego.

Wchodzimy do salonu gier, gdzie właścicielka Rosjanka wita go swoją śpiewną, twardą francuszczyzną. Na mnie nawet nie raczy spojrzeć. Ta źmija zasada się na mojego M. Przeklinam ją w duchu. Proponuje mu partyjkę piłkarzyków i M zostawia mnie, żeby się z nią zmierzyć. Przyglądam się, jak wybuchają śmiechem i przybijają piątkę, gdy tylko coś im się uda.

– Przecież możesz nauczyć się grać – mówi mi M, a mnie robi się przykro.

M ogromnie lubi być podziwiany, bardzo lubi się podobać, zawsze i za wszelką cenę. Staram się zachowywać z godnością, ale widzę przecież, że flirtują sobie w najlepsze tuż pod moim nosem. Z początku próbuję pokazać, że jestem dojrzała i niezależna, ale ostatecznie udaje im się mnie sprowokować. O jedną partyjkę za dużo.

Ni stąd, ni zowąd wzbiera we mnie niepoohamowany sprzeciw. Prostuję się i podnoszę głowę. Nie! Mowy nie ma, żebym dała się tak upokarzać. Mój facet pozwala się podrywać na moich oczach i bezczelnie wdzięczy się do tej kobiety, która w niczym nie jest lepsza ode mnie. Cała aż się gotuję. Czuję, jak rozpacz podpełza mi do góry wzdłuż kręgosłupa. Nie zniosę lekceważenia ani chwili dłużej. Tego już za wiele. Jestem Sophie i mam prawo wymagać szacunku od swojego mężczyzny.

W przypiływie wściekłości wychodzę bez słowa wyjaśnienia, nie



oglądając się za siebie. Jestem przekonana, że mój M pobiegnie za mną zaniepokojony, dopytując, co się stało, i zabierze mnie jak najdalej od tego miejsca. Tak by było najpiękniej. Ale on – nie, spokojnie pozwala mi odejść. Błąkam się po ulicach, załamana i poniżona, a przy tym zupełnie zdezorientowana. Po dwudziestu minutach, wbrew temu, co podszeptuje mi mój wewnętrzny głos, wracam tam, bo za bardzo boję się go stracić.

Gdy wchodzę, wiem, że zmienił mu się humor: widzę, że jest wściekły, i chociaż nie okazuje tego na zewnątrz, wyczuwam jego nastrój. Kończy swoją grę, całuje Rosjankę zdecydowanie zbyt blisko kącika ust i łapie mnie za ramię. Nie mam prawa tak sobie po prostu wychodzić bez uprzedzenia, nie informując go wcześniej, dokąd się wybieram. Zachowuję się jak kompletna idiotka i jak małe dziecko... Tak też się czuję: jak idiotka i jak małe dziecko. Po raz pierwszy wtedy przełykam dumę i pozwalam mu się upokorzyć w ten sposób. Od tej pory będzie miał nade mną absolutną władzę i będzie mógł sobie ze mną pogrywać, jak mu się żywnie spodoba.

Jest jeszcze ta Egipcjanka. Yasmine. Yasmine jest jak sopel lodu. Jest niesamowicie wysoka i mocno się maluje. Smaruje sobie na powiekach grube, czarne kreski eyelinerem, nie wspominając o tuszu zbrylonym na rzęsach, uróżowionych na cukierkowo policzkach i koszmarnych odrostach ufarbowanych na blond włosów. Ma pełną, okrągłą twarz ze śladami po młodzieńczych pryszczach. Istna lwica w cętki. Nie do końca wiem, jaka relacja łączy ją z M. On twierdzi, że to koleżanka, a ponieważ nie chcę, żeby mnie wziął za zazdrośnicę, nie pytam o nic więcej, chociaż boli mnie serdeczność, z jaką się do niej odnosi. Ona mnie nienawidzi i wiem, że kocha się w moim facecie. Yasmine należy do paczki. Mignęła mi w przelocie tamtego pierwszego wieczoru, zanim dałam się zawojować mojemu mężczyźnie. Spiorunowała mnie wtedy wzrokiem.

M, który nie ma grosza przy duszy, często dostaje od Yasmine niestosowne, moim zdaniem, prezenty: dzinsy Diesel albo zegarek od Armaniego. Wypełnia mu też lodówkę najczęściej ziejącą pustkami. Wiem, że zdarzyło się raz w ciągu ostatnich tygodni, że został u niej na noc. Ona nalegała, a on zbyt dużo wypił, metro już nie działało i nie miał innego wyjścia, ale przysiągł mi, że spał na kanapie w ubraniu. Nie wiem, czy mówi prawdę, bo zdaję sobie sprawę, że ma wobec niej dług wdzięczności i

spełniłby każdą jej prośbę, żeby tylko nadal dostawać te kosztowne podarki. Lecz szybko odpędziłam wszelkie wątpliwości, bo łatwiej mi było wierzyć w moją piękną bajkę.

Wczoraj nagrała mi na pagerze wiadomość. Swoim zachrypniętym, trochę męskim głosem groziła, że mnie zniszczy, jeżeli będę wchodzić na jej teren i nie zerwę z M, który, jej zdaniem, należy do niej. Szok, zaskoczenie i poirytowanie. Pogrożki śmierci i potok wyzwisk na mojej poczcie głosowej. Przecież on i ja jesteśmy razem już od miesięcy, jak ona śmie wyrzucać mnie z mojego prawowitego miejsca? Zbieram się na odwagę i wspominam o tym mojemu mężczyźnie. Wpada w szal i ryczy jak wściekły lew. Obiecuje mi, że zajmie się tą sprawą i że ona już nigdy więcej nie będzie naprzykrzać się jego „kobiecie”.

Następnego dnia po zajęciach płynę ulicą szczęśliwa i podekscytowana, że zaraz się z nim zobaczę. Gdy wchodzę, z góry zbiega w pośpiechu sople lodu. Cała aż kipi. Serce zaczyna tłuc mi się w piersi. Mam przecucie, że zaraz wybuchnie awantura. Nagle za nią wyłania się M i ostrym tonem każe mi wejść do środka. Ona przebiega tak blisko mnie, że prawie na siebie wpadamy. M miota za nią przekleństwami. Puszczą się biegiem ulicą, a on sadzi w ślad za nią. Szybko wchodzę do budynku i przecinam mroczny korytarz, żeby się schronić u niego w mieszkaniu. W środku jakby przeszedł huragan. Roztrzaskane talerze zaścielają podłogę, jedno krzesło leży przewrócone, a dzinsy Diesel walają się w strzępach. Jak lew obiecał, tak się i stało.

Czekam roztrzęsiona i napięta jak struna. Mijają minuty, a potem godziny. Zapada wieczór i nie wiem, co się dzieje. Żadnego znaku życia. M ciągle nie ma pagera ani komórki, więc nie mam sposobu, żeby się z nim skontaktować. Wyczerpana osuwam się na łóżko i mimo woli zasypiam.

W końcu otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi mój M, wytrącając mnie z niespokojnej drzemki. Zegar wskazuje szóstą dwadzieścia trzy. Zamroczone zbieram się, żeby wysłuchać jego opowieści. Jest blady i zmęczony. Zagonił Yasmine w jakąś boczną uliczkę i porządnie jej naubliżał, a wtedy ona zdzieliła go w twarz, na co nie pozostał jej dłużny i zmasakrował jej całą facjatę. Przyjechała policja wezwana przez jakiegoś przechodnia. Cały wieczór i noc przesiedział w areszcie. Na szczęście Yasmine

postanowiła nie składać doniesienia.

Jestem zbulwersowana, ale powstrzymuję się od komentarzy. Cieszę się, że tak zapamiętała mnie bronił, ale aż taka brutalność budzi we mnie lęk. M szybko mnie uspokaja. Potrzebuje mnie i zaręcza, że ona już nigdy mi nie zagrazi. Zrobi wszystko, żeby mnie ochronić. Zасыpiamy w idealnej synergii naszych ciał i zapachów.

## 8. *Bez kolców*

To prawda, że w noc jego zniknięcia wylałam morze łez z jego powodu, ale nigdy nie zapomnę chwili, gdy w moim sercu po raz pierwszy pojawił się cień zwątpienia co do równowagi emocjonalnej mojego M.

Jak zwykle przyszedłam do jego mieszkania po całym dniu egzaminów, które, jak sądziłam, gruntownie oblałam. Nie wiem, czy tego dnia poszedł na swoje zajęcia. Otworzył drzwi i weszłam do jego królestwa. Było jakoś około dziewiętnastej i mój ojciec pewnie już wyszedł z biura i wrócił do domu. Mogłabym pojechać autobusem, ale bardzo chciałam spędzić noc z moim ukochanym. Zazwyczaj, gdy spotykaliśmy się po kilku godzinach rozłąki, witaliśmy się najpierw namiętym pocałunkiem, od czego z miejsca wpadałam w stan euforycznego upojenia.

Otwiera drzwi, ale się nie odzywa. Bez słowa siada z powrotem na łóżku. Na wszelkie sposoby próbuję dowiedzieć się, o co chodzi, i skłonić go do zwierzeń, ale moje słowa zagłusza muzyka dudniąca w mieszkaniu. Nadal nic nie mówi. Niemy jak ryba. Pozostaje mi jedno: kładę się przy nim i staram się przekazać mu pozytywną energię, aż minie mu zły nastrój. Unika mojego wzroku. Jego twarde spojrzenie ucieka w bok. Nie odzywam się i prawie nie poruszam, żeby mu nie przeszkadzać, czekam za to cierpliwie. Po trzech godzinach nieznośnej ciszy wstaje i oznajmia mi, że będzie spał u swojego kolegi, bo jeżeli zostanie, to oblać mi wszystkie kolce, jeden po drugim, a na koniec pokruszy łożysko. Rozumiem, co ma na myśli. Później to ostrzeżenie naprawdę wprowadzi w czyn.

Błagam, żeby ze mną porozmawiał, żeby mi wytłumaczył. Wychodzi, zostawiając mnie bez odpowiedzi. Nie wyłączam muzyki. Policzki zalewają mi strumienie łez. Co takiego zrobiłam, żeby mnie tak odepchnął? I dlaczego

wtedy po prostu stamtąd nie wyszłam? Gdzie moja ambicja? Mogłam złapać taksówkę, zapłacić sześćdziesiąt dolców, ale tym samym odzyskać honor. To chyba niewygórowana cena za niezależność. Powinnam była... Wiem. Gdybym tylko mogła.

To się nadaje do psychoanalizy i oceny psychologicznej. Dopiero później zrozumieć, jak działa ten mechanizm manipulacji. To toksyczny proces, który stopniowo i niepostrzeżenie zagnieżdża się w związku i przenika wzajemne relacje trującym jadem, podstępnie i bezgłośnie, ale skutecznie. Postępuje etapami, sukcesywnie potęgując patologiczną zależność między mistrzem a uczennicą.

Wrócił po kilku godzinach, jak gdyby nigdy nic, wiedząc doskonale, że będę na niego czekać. Dzisiaj zgrzytam zębami, kiedy o tym myślę, ale wówczas mała dziewczynka we mnie czuła tylko bezgraniczną ulgę, że do niej powrócił. Po kryzysie – „faza miodowego miesiąca”. Absolutna sielanka. Jak halucynogeny zacierający złe wspomnienia zastrzyk prosto w żyłę.

## *9. Jak na razie nic szczególnego*

Mecenas Savoie robi notatki. Ciekawi mnie, co takiego z mojej historii sobie zapisuje. Jak na razie nie ma w niej nic szczególnego. Młoda kobieta zakochała się w trochę specyficznym mężczyźnie, to wszystko.

Umrzeć. Odejść. Zniknąć. Leki zagłuszają moje cierpienie. Moja głowa staje się ciężka. Zastygam jak marionetka zerwana ze sznurków. Lalkarz zniknął. Zesztywniała na lodowatej ziemi zapadam się w otchłań nicości.

## *10. Moja ostatnia Gwiazdka*

Dwudziesty czwarty grudnia 2000 roku. Boże Narodzenie. Lubię Gwiazdkę. A raczej UWIELBIAM Gwiazdkę: tę magię, atmosferę, prezenty, przyjęcie z łososiem, śledziami, kiełbaskami i janssons frestelse mojej mamy, choinkę, nasz dom w górach, kolędy i gitarę mojego ojca. Gwiazdka to czas szczęścia i miłości, a do tego w tym roku Pan M spędzi ją razem ze mną! Nie może odmówić, skoro potem jedziemy do jego rodziny. Wylot do Afryki Północnej przewidziany jest dwa dni po świętach.

Podróże to dla mnie nie nowość. Swego czasu moi rodzice zjechali razem niemal cały świat, a potem zabrali nas do Skandynawii, Stanów Zjednoczonych, do Włoch, Hiszpanii, Anglii i na Jamajkę.

Rodzice uważają, że trafia mi się niebywała okazja, żeby odwiedzić Afrykę. Nie przeczuwają żadnego zagrożenia, szczególnie że oni też ulegają urokowi M. Uwodzi tak samo naturalnie, jak oddycha. Potrafi zjednać sobie zaufanie i znaleźć właściwą odpowiedź na wszystkie rodzinne pytania. Teraz to ja z dumą popisuję się swoim ukochanym, przytulona do jego boku, a moje siostry podziwiają bogate słownictwo i nieodpartą charyzmę mojego M. Oczy jaśnieją mu światłem, kiedy na mnie patrzy, jakby nie istniał dla niego nikt inny na świecie. Jest pogodny – od tamtego przemilczanego wieczoru między nami układa się idealnie. Podekscytowanie sięga zenitu, bo wyjazd jest coraz bliżej.

## *11. Lądowanie głową do przodu*

Samolot Air Canada, w którym gniciemy się jak sardynki w puszcze, schodzi do lądowania w Paryżu, gdzie czeka nas kilkugodzinna przesiadka. Lubię Paryż, tak samo jak Gwiazdkę. Marzy mi się, że kiedyś zamieszkać w Paryżu. Chciałabym zostać paryską aktorką i co rano wcinać bagietkę z masłem, a wieczorem wypijać morze szampana. Funkcjonuje taki stereotyp paryżanki – drobna, je jak ptaszek i sączy wino do każdego posiłku. Podoba mi się to. *I like it*. Tak trzymać.

Po krótkim postoju we Francji, podczas którego omawiamy jeszcze ostatnie szczegóły wyprawy, wsiadamy do mniejszego samolotu, który zabiera nas do niepojętego dla mnie świata. Cała jestem ożywiona i podekscytowana na myśl, że zobaczę ten mityczny kontynent. W trakcie przygotowań zebrałam różne informacje na temat kraju, do którego jadę, i zdaję sobie sprawę, że czeka mnie niezwykle doświadczenie. Wiem, że zasady i zwyczaje są tu całkowicie inne niż u nas, na Zachodzie, chociaż M zapewnia mnie, że tak nie jest.

– Teraz u nas też jest swoboda obyczajów – powiedział mi. – Kobiety są wyzwolone. Jesteśmy tak samo postępowi jak wy na Zachodzie.

Wyjaśnia mi, że wszelkie przejawy religijności poza modlitwą i zgromadzeniami w meczecie pięć razy dziennie są zakazane i nie mogą mieć miejsca. To samo tyczy się kwestii noszenia brody i chust, które wprowadzony w latach osiemdziesiątych dekret usunął z miejsc publicznych w ramach powstrzymywania postępującego islamizmu. Starsze kobiety zasłaniają jeszcze włosy, ale chodzi tu raczej o tradycję niż symbol religijny, więc władze to dopuszczają. Nawet trochę żałuję, lubię rzucać się w nowe wyzwania głową do przodu.



Już niedługo przekonam się, jak to naprawdę wygląda.

Samolot zaczyna zniżać się nad krajem piasku.

Wkrótce aż za dobrze poznam to lotnisko, na którym znajdę się jeszcze niestety zbyt wiele razy.

Widok za oknem zapiera mi dech w piersi. Poprzez chmury widzę najpierw Morze Śródziemne, w którym, mam nadzieję, będzie okazja popływać, a potem sady oliwne poprzecinane piaszczystymi drogami, ciągnące się aż po widnokrąg. Urzeczona patrzę z góry na imponujące pozostałości z okresu najazdów rzymskich, amfiteatry i kolosea, które przenoszą mnie w epokę starożytności. Potem ukazują się białe, kwadratowe domy miasta, do którego gazem zmierza nasz samolot. Przed oczami rozgrywa mi się spektakl bieli i błękitu. Tuż przy pasie do lądowania rozpościera się wielkie jezioro okolone palmami. Kiedy koła maszyny dotykają ziemi, M ściska mnie za rękę. Odwracam się do mojego ukochanego, który ze wszystkich sił próbuje powstrzymać napływające do oczu łzy. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wyraźnie poruszonego. Łagodnie głaszczę go po ramieniu, przekazując mu całą swoją miłość.

Samolot jest mały, więc szybko przechodzimy przez kontrolę celną. Spodziewałam się, że na miejscu powita nas skwar i zaduch, ale w zamian owiewa nas zimny podmuch klimatyzowanego powietrza i gratuluję sobie pomysłu, żeby narzucić na ramiona sweter. Cudowna twarz M rozświecła się jeszcze bardziej, kiedy mówi mi, że przed nami stoi jego ojciec. Dyskretnie wskazuje mi palcem ojca i młodszego brata stojących przy wyjściu.

Wsparta na ramieniu mojego M podchodzę do tych nieznanym mi ludzi, którzy staną się moją rodziną. Z zaskoczeniem stwierdzam, że tata M jest znacznie niższy od mojego faceta i o wiele bardziej korpulentny. Mały, łysiejący grubasek. Pewnie M odziedziczył urodę po matce, myślę. Gdy wita się ze mną nieśmiało, zauważam, że ma też zupełnie inne spojrzenie. Jego oczy są ciepłe i łagodne. Podobnie mój przyszły szwagier. Dziwne, ale on także nie może poszczycić się szlachetną urodą starszego brata. Wręcz przeciwnie, jest zwalisty i ma niesamowicie okrągłą, usianą piegami twarz. Na pyzate policzki opadają mu niesfornie ciemne, gęste, kręcone włosy. Ale te oczy... Są pełne smutku i niepokojącej głębi. Bo w spojrzeniu mojego M

czai się raczej mrok. Pociąga mnie ta pochmurność, zagadkowość, niedomówienie.

Natychmiast wyczuwam hierarchię ważności i relację siły pomiędzy braćmi. Moncef odruchowo spuszcza oczy, gdy M daje mu solidnego kuksańca w ramię, jakby to był jakiś ich rytuał. Moncef uśmiecha się niepewnie i rozciera miejsce, gdzie z pewnością zrobi mu się siniak. M wybucha śmiechem i zakleszcza mu głowę w zagięciu łokcia jak w imadle, ściąga w dół i gwałtownie czochra czuprynę młodszemu bratu, który prosi go, żeby przestał.

Gdyby moja starsza siostra tak mnie upokorzyła przed swoim nowym chłopakiem, długo bym jej tego nie wybaczyła.

M puszcza brata. Moncef podnosi głowę. Policzki mu płoną, a piegi ciemnieją ze wstydu. Żal mi go. Najwyraźniej z dużą dbałością ułożył sobie fryzurę za pomocą sporej ilości żelu, ale teraz jest zupełnie potargany i wygląda po prostu komicznie. Pospiesznie stara się teraz poprawić, ale bezskutecznie. Po tym niezwykłym powitaniu zostaję wreszcie przedstawiona bratu, który mamrocze swoje imię prawie niedosłyszalnie. Kieruję ku niemu otwarte spojrzenie i uśmiecham się z sympatią, chcąc dać mu do zrozumienia, że mimo nietaktownego zachowania M, mam dla niego wiele szacunku. Od razu polubiłam Moncefa.

Tata M proponuje nam kawę na wynos, którą przyjmuję z wdzięcznością. Kawa u nas to nic w porównaniu do tej. Jest mocna i doskonała. Trochę za słodka, ale świetnie przyprawiona.

Gdy wychodzimy z lotniska, ciepły wiatr łechce mnie po bladej skórze. Jest grudzień, ale termometr wskazuje dwadzieścia stopni, więc zdejmuję sweter i odsłaniam ramiona. Widok fantastycznych palm sprawia, że natychmiast czuję się jak na wakacjach. Wsiadamy do wielkiego, beżowego mercedesa z lat osiemdziesiątych. M i ja sadowimy się z tyłu na szerokim, wygodnym siedzeniu. Przed nami długa droga. Opuszczamy szyby i samochód rusza w stronę domu rodzinnego M, który jest o pięć godzin drogi stąd.

## *12. Powrót młodego panicza*

Samochód sunie w podskokach po piaszczystych drogach. Z szeroko otwartymi oczami chłonę migający za oknem krajobraz niepodobny do niczego, co wcześniej widziałam. Jak tylko wyjeżdżamy ze stolicy, w oczy rzuca się jednak przejmująca bieda tego kraju. Na przedmieściach ciągną się osiedla podupadłych, zaniedbanych bloków, jakby strzegących miasta. Im bardziej się oddalamy, tym bardziej szara staje się biel domów. Szyby w oknach są potłuczone, a wzdłuż żelaznych ogrodzeń otaczających budynki wznoszą się góry śmieci, jakby załążki wysypisk. Na skraju drogi snują się żebrzące dzieci w podartych ubraniach. Serce mi się ściska na ich widok.

Pozostawiamy za sobą ten smutny pejzaż i samochód przyspiesza na wyboistej drodze. Teraz przed oczami przesuwiają mi się całkiem inne sceny. Mijamy osły ciągnące zdezelowane powozy i ogorzałych mężczyzn, z których większość osłania nos i usta szalami, żeby ochronić się przed kurzem wzbijanym przez przejeżdżające samochody.

Zaczynam odczuwać coraz większe parcie na pęcherz. Na chwilę odrywam się od okna i tych niepowtarzalnych widoków i mówię M, że przy najbliższym zjeździe potrzebuję zrobić pilny postój. Mój facet pyta, czy mogę poczekać, bo tutaj, inaczej niż na Zachodzie, nie ma przydrożnych parkingów. Nie mogę już wytrzymać. Proszę, żebyśmy stanęli gdziekolwiek, to wyskoczę w pole ciągnące się wzdłuż drogi, ale to nie wchodzi w grę, bo wszędzie grasują psy.

– Przecież mnie nie zjedzą – odpowiadam. – Lubię psy.

Tak, lubię psy i bydłaków najwyraźniej też, ale z tego jeszcze wtedy nie zdaję sobie sprawy.

Psy w Afryce są nieprzyjazne i nie mają nic wspólnego z naszymi pieszczołami, które tak hołubimy na Zachodzie. Przypominają raczej wilki albo hieny. Nie ma mowy o żadnym zapuszczaniu się w pole, to zbyt niebezpieczne i owszem, tak, mogłyby mnie zjeść, mówi M. Poza tym ani mężczyznom, ani kobietom nie wolno załatwiać się w polu, nawet za drzewami. Przyniosłabym M wstyd przed jego ojcem i bratem. No tak, pewnie ma rację. Nie jestem u siebie, gdzie coś takiego nie miałoby większego znaczenia. Tutaj jest inaczej.

Zapada wieczór. Zbliżamy się do stacji benzynowej. Muszę poczekać jeszcze z pół godziny. Próbuję ze wszystkich sił, ale moje ciało nie może już wytrzymać. Wreszcie docieramy do czegoś, co przypomina dystrybutor paliw, którego dach wygląda, jakby miał się lada chwila zawalić. Toaleta znajduje się na tyłach. Samochód jeszcze dobrze się zatrzymuje, a już wypadam i puszczam się sprintem za podupadły budynek. Warunki są prymitywne: za drzwiami zbitymi ze zbutwiałych desek bez zasuwki i światła wydrążono po prostu zwykłą dziurę w ziemi. Gdy otwieram, spod stóp pierzchają mi stada karaluchów. Z ust wyrwa mi się okrzyk obrzydzenia. Nie dam rady. Od potwornego smrodu robi mi się niedobrze, aż mnie zatyka. Ale moja potrzeba jest tak pilna, że zamykam się wśród robactwa i kucam. Powiedzmy, że moje pierwsze zetknięcie z tutejszymi sanitariatami kończy się powodzeniem. Pierwszy szok kulturowy.

Cztery godziny później zajeżdżamy na miejsce. Pięć godzin w samochodzie plus dziesięć godzin lotu i kilka godzin przesiadki robią swoje – jestem wykończona. Panuje głęboka noc. W oddali widzę światła miejscowości. Po wielu godzinach jazdy po polnych wertepach i dzikich drogach teraz suniemy po prostej, piaszczystej ulicy, wzniesając za sobą tumany kurzu.

Dom mojego M powinien wyłonić się przed nami, ale zdumiona stwierdzam, że wszystkie domy tutaj ogradzają betonowe mury, zza których wystają jedynie przytulone do siebie dachy. Samochód zatrzymuje się przed żelazną bramą. Tata M wyładowuje nasze bagaże, a ja podążam za M, który, nie czekając, rusza do środka. Uprzedzona trzema sygnałami klaksonu matka M czeka już na ganku.

Wewnątrz, na dziedzińcu otoczonym niesamowicie wysokim, bielonym

wapnem murem, odkrywam piękny ogród, pośrodku którego pyszni się wyniosły figowiec okolony wianuszkami kaktusów. Wzdłuż ścian domu rosną palmy. Alejka wyłożona kremowymi płytkami prowadzi do wejścia do niewielkiego, jednopiętrowego domu z cementu, białego jak wszystkie inne. Architektura w tym kraju jest zupełnie inna od naszej. Okiennej jedynej okna wychodzącego na ogród stukają na chłodnym wietrze, który zerwał się w tę grudniową noc. Na lewo od głównego budynku znajduje się jego pomniejszona kopia: to jest to mieszkanie M, o którym tyle mi opowiadał. Jego królestwo, przybytek i jego kryjówka.

Czuję się skrępowana na widok tych wszystkich ludzi witających powracającego panicza i jego wybrankę. W ogrodzie kłębi się prawdziwy tłum. Wolałabym najpierw się wykąpać i zjeść coś ciepłego, a dopiero potem obcałować tę rzeszę nieznaną, którzy pozdrawiają mnie w obcym dla mnie języku. Ale z rozbawieniem obserwuję, jak cała wioska świętuje powrót cudownego dziecka, któremu udało się osiągnąć to, o czym większość z tutejszych młodych może tylko pomarzyć. Miał szczęście wyjechać i osiedlić się na Zachodzie, a to wielki sukces. Do tego wraca z białą, złotowłosą księżniczką. Mam wrażenie, że dla nich jestem jakąś czarodziejską istotą z gwiazd.

Jego matka stoi niewzruszona. Przypatruje mi się z dystansu, czekając, aż przebrniemy przez ciżbę, żeby się z nią przywitać. To ona jest tu prawdziwą królową. Ciągnę mojego M w jej kierunku, a on, w przeciwieństwie do tego, co mi opowiadał, chwytając ją w ramiona, podnosi do góry i, chowając twarz w zagięciu jej ramienia, mówi jej: „Kocham cię”. Może to przy mnie tak się zmienił? Bierze mnie za rękę i wyciąga do niej. Krzyżujemy spojrzenia. Wita się ze mną miło i zaprasza do domu, gdzie czeka już ucztę przygotowaną specjalnie na naszą cześć. Na szczęście mama świetnie zna francuski, więc możemy wymienić kilka powierzchownych grzeczności.

W domu nie ma przedpokoju. Wchodzimy bezpośrednio do ciasnego, słabo oświetlonego saloniku wyposażonego w dwie kanapy wokół niskiego stolika do kawy z politurowanego drewna stojące naprzeciw starej, wysłużonej komody, która wygląda, jakby w każdej chwili miała się zawalić pod ciężarem olbrzymiego telewizora z poprzedniej epoki. Pod ścianą na wprost wznosi się masywny kredens, na którym połyskują stare talerze ze

złoconej porcelany, najwyraźniej świeżo odczyszczone. Na drewnianych półkach przytwierdzonych bezpośrednio do ścian stoją rozmaite drobiazgi i bibeloty. Uchylone drzwi po lewej stronie ukazują pokój dziecięcy, a po prawej znajduje się jeszcze jeden, jak przypuszczam, sypialnia rodziców. Zapuszczamy się w głąb do kuchni całkowicie pozbawionej współczesnych urządzeń. Centralne miejsce zajmuje tu sfatygowany stół, a pod ścianą mieści się zlew, przestarzały piekarnik elektryczny i pordzewiała, stara lodówka. Wystrój jest minimalistyczny. W kącie widnieją drzwi do łazienki, mam nadzieję, że nie jedynej w tym domu. Modlę się, żeby M miał osobną u siebie w mieszkaniu.

Mój ukochany znika z pola widzenia, wyciągnięty na dwór przez swoich przyjaciół. Zostaję sama wśród jego rodziny. Liczne kuzynki i ciotki nieporadną francuszczyznę zadają mi miliony pytań i w nieskończoność upewniają się, czy nic mi nie trzeba. Niedługo potem wraca M, pozostawiając znajomych na dziedzińcu, i siadamy do stołu. Rozmowa toczy się głównie po arabsku, ale co jakiś czas ktoś zwraca się do mnie po francusku i to już zupełnie zbija mnie z tropu, bo nie śledziłam przecież początku. Ale mniejsza o to, bo kuskus z jagnięciną jest przewyborny i po prostu napawam się tym nowym doświadczeniem, tak innym od mojego codziennego życia. To wszystko jest jak jakiś egzotyczny sen i chłonę każdy szczegół z zafascynowaniem.

Wieczór kończy się w domku M w gronie jego najbliższych przyjaciół. W końcu dociera też Zied, jego najlepszy przyjaciel i mleczny brat. Mnóstwo już o nim słyszałam, on o mnie też, a jednak nie spodziewałam się takiego objawienia, kiedy tylko wszedł.

Poznałam go natychmiast, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy. Odniosłam wrażenie, że znamy się od zawsze. Instynktownie usiedliśmy koło siebie i zagadaliśmy się na całe godziny, bez obawy wzbudzenia zazdrości M, bo mój ukochany ma do swojego przyjaciela pełne zaufanie. Jeśli chodzi o mnie, to w ogóle nie mogło być mowy o jakiejś chemii czy pożądaniu. Nie w tym rzecz. Odnalazłam przyjaciela, bratnią duszę, i byłam całkowicie zauroczona tym poczuciem bliskości. W pewnym momencie podczas rozmowy Zied przyznał, że wydaje mu się, jakby mnie znał od dawna, a ja tylko uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Wiedziałam, że on też mnie rozpoznał.

## 13. Na niepewnym gruncie

Dziesięć dni upłynęło nam na zwiedzaniu kraju wzdłuż i wszerz: wycieczkach na Saharę, buszowaniu po rajszych oazach, przejażdżkach na wielbłądach, pławieniu się w morzu i luksusie nadmorskich hoteli oraz namiętności. Ani się obejrzeliliśmy, a nadszedł czas powrotu.

Wróciliśmy do stolicy, żeby jeszcze wykorzystać mój ostatni wieczór w tym piaszczystym kraju. Samolot odlatywał następnego dnia wcześniej rano, więc Zied był tak miły, że zaproponował nam nocleg w rezydencji swoich rodziców, którzy są niesamowicie bogaci, co jest raczej rzadkością wśród mieszkańców ich wioski. Tymczasem Zied wcale na to nie wygląda – w tych swoich okularach i podniszczonych ubraniach. Ma w sobie klasę i jakąś anielską łagodność. Mój dobry anioł stróż.

O dwudziestej trzeciej następuje kryzys. Mój ukochany wpada w szal. Kilka godzin wcześniej przyszedł mi do głowy „genialny” pomysł, żeby pójść pograć w kręgle. Udaliśmy się więc do turystycznej dzielnicy, gdzie znajdują się kluby gier. W chwili, gdy udało mi się zdobyć pierwszy strike, podskoczyłam z radości i wyrzuciłam jedną rękę w górę jak John Travolta w *Gorączce sobotniej nocy*, wykrzykując *Oh, yeah!* Pozostałe kule nigdy nawet nie dotknęły ścieżki i w tej grze nie padł już ani jeden słupek.

M zaciągnął mnie w kąt, szybko gasząc ślady wesołości na mojej twarzy. „Robisz z siebie widowisko”, „Przynosisz mi wstyd”, „Wszyscy się na ciebie gapią”, „Typowa Amerykanka”. Cholera. Niech to szlag... On mówi poważnie? Przecież gramy w KRĘGLE! Gdzie, jak nie tu, wypada przyjąć zasadę „trochę wygłupów jeszcze nikomu nie zaszkodziło”? Nie, nie dla niego. Koniec zabawy. Domaga się, żeby natychmiast wracać. Mam poczucie winy. Powinnam była przewidzieć, że w tym kraju takie zachowanie jest złe

widziane. Zepsułam wszystkim wieczór. W samochodzie panuje grobowe milczenie. M odpala papierosa od papierosa, jak zwykle, gdy jest wściekły lub zestresowany.

Od powrotu do domu nie zaszczyca mnie ani jednym słowem. Następnego dnia wyjeżdżam. Jak mogę naprawić tę wpadkę? Mój M i ja nie lecimy razem, bo on wraca dopiero pięć dni po mnie, a nie chcę rozstawać się z nim w gniewie. Często zdarzało mi się w życiu być tą, która odpuszcza i pierwsza wyciąga rękę, żeby załagodzić konflikt, bez względu na to, po czyjej stronie leżała wina. Nie znoszę nieporozumień i nie mam obraźliwej natury. Zawsze uważałam, że życie jest zbyt krótkie, żeby chować urazę wobec kogokolwiek, łatwo przychodzi mi więc puszczenie zatargów w niepamięć.

Odnajduję go w kuchni. Delikatnie otaczam go w pasie ramionami i przepraszam. Napina się, ale zaciskam ręce wokół jego talii i czekam z nadzieją, że w końcu się odpręży. Jego oddech stopniowo się uspokaja, wreszcie odwraca się i przygarnia mnie do siebie.

Pomijając wyskok przy kręglach, rozumiem, że jest podminowany, bo musiał odwieźć mnie do stolicy, zamiast spędzić ten cenny czas, jaki mu pozostał, z rodziną i przyjaciółmi w swojej miejscowości. Wiem też, że najchętniej nie wracałby jeszcze do Montrealu, tylko został dłużej wśród swoich. Podejrzewałam, że grały w nim silne emocje i potrzebował pretekstu, żeby się wyładować po swojemu.

Z czasem zorientowałam się, że M atakuje ludzi, których kocha, i wyżywa się na nich, bo wie, że może liczyć na ich bezwarunkową miłość i wsparcie bez względu na wszystko.

Z uroczym wahaniem wyznaje mi, że musi się trochę przewietrzyć. Pyta, czy miałabym coś przeciwko temu, żeby wyskoczył z Ziedem na godzinę lub dwie pograć w karty w kawiarni nieopodal. Doznaję nieprzyjemnego uczucia. Nie uśmiecha mi się siedzieć samej w mój ostatni wieczór w mieście, którego nie znam, i w mieszkaniu, które nie jest moje. Tak bym chciała, żeby został ze mną, żeby chciał nacieszyć się moją obecnością do ostatniej chwili i żeby zależało mu na mnie tak samo mocno, jak mnie zależy na nim. Ale popełniłam błąd. Rozumiem.



Wbrew sobie odchylam głowę i zmuszam się do uśmiechu:

– Idź, kochanie, dobrze ci to zrobi. Nie przejmuj się. Poradzę sobie, i tak jestem już bardzo zmęczona...

Nieprawda. Już dawno wbiłam sobie do głowy, że aby zdobyć mężczyznę, lepiej się niczemu nie sprzeciwiać i ulegać wszystkim jego zachciankom. W moim rozumieniu idealna kobieta to taka, która nigdy nie mówi „nie”, wszystko rozumie i na wszystko się zgadza, o nic nie prosi, śmieje się w odpowiednim momencie, umie się zabawić i potrafi zjednać sobie zarówno rodzinę, jak i przyjaciół swojego faceta. Zawsze uchodziłam za dziewczynę marzeń w oczach kolegów moich partnerów. Niczego nie wymagam i wszystkich lubię. Dbam o mojego mężczyznę i pilnuję, żeby niczego mu nie brakowało.

– Ale masz świetną dziewczynę – mówili.

Tak... Ale w ten sposób moje potrzeby nigdy nie są zaspokajane, a ja tylko przeżywam ciągle rozczarowania i moja maska zaczyna mi ciążyć. Tak bym chciała, żeby ktoś wreszcie pokochał mnie tak mocno, jak ja kocham.

Tutaj kobietom nie wolno chodzić do kawiarni. Mężczyźni zbierają się tam pograć w karty i pić małe, bardzo słodkie espresso. Lubie kawiarnie, ale w tym kraju mogę im się tylko przyglądać z daleka. Szanuję tutejsze zasady, nawet jeżeli uważam to za jakiś prehistoryczny absurd, żeby zakazywać kobietom wstępu do poszczególnych miejsc publicznych. Mojej feministycznej naturze trudno się z tym pogodzić.

Odkąd wróciliśmy z kręgli, Zied trzyma się na uboczu, ale czuję, że jest niespokojny. Przed wyjściem przyłapuje mnie w kuchni i kładzie mi rękę na ramieniu. Zagląda mi uważnie i szczerze prosto w oczy, chcąc upewnić się, że ze mną wszystko w porządku.

– Wszystko okej?

Przytakuję z westchnieniem. Wpatruje się we mnie badawczo jeszcze przez chwilę, po czym odwraca się i odchodzi. Zied wyczytał prawdę w moich oczach. Moją prawdę.

Nasza bajeczna podróż kończy się więc zgrzytem. Z moim M często tak wychodzi – wiecznie muszę uważać, gdzie stawiam nogę. Jakbym

ustawicznie stapała po dywanie z jajek, trzęsąc się, żeby żadnego nie rozbić.

## *14. Do zobaczenia niedługo*

Następnego dnia po złości nie ma nawet śladu i zegnamy się z rozdartym sercem. Mój M nie chce pozwolić mi wyjechać. Znaczą mnie swoim zapachem, prosi, żebym nie robiła głupstw i czekała na niego cierpliwie. Każe mi przyrzec, że nie będę zanadto imprezować, a ja gorliwie mu to obiecuję. Widzę, że obawia się wypuścić mnie spod swoich skrzydeł.

Jeszcze nigdy nie rozstaliśmy się na tak długo, ale przecież pięć dni minie szybko. Niedługo znów będziemy razem i wrócimy do naszego zwykłego rytmu życia w moim mieście i w moim świecie. Różnice kulturowe troszkę mnie przerażyły i chociaż miałam okazję ledwie posmakować tego, co się wiąże z życiem w kraju o odmiennych zwyczajach, to jednak podróż ta zrobiła na mnie bardzo silne wrażenie. Kilkakrotnie wyraźnie doświadczyłam nierówności pomiędzy pozycją kobiet i mężczyzn.

Wprawdzie przez większość czasu pozostawaliśmy w strefach turystycznych, gdzie panują francuskie zasady, ale w rodzinnej miejscowości M zdecydowanie odczuwałam na sobie zdziwione spojrzenia, gdy przechadzaliśmy się ulicami. Mężczyźni przyglądali mi się bezceremonialnie i z dezaprobatą, z punktu wyrabiając sobie o mnie nieprzychylnie zdanie, chociaż nie wiedzieli nawet, kim jestem. Nie bardzo się tym przejmuję. Jestem tu w końcu gościem i nie muszę wtapiać się w lokalną społeczność ani przestrzegać jej zasad.

Czy wrócę tu jeszcze kiedyś? Pewnie tak, to urzekający kraj. Podobnie jak wiele innych, które też warto zobaczyć. A dlaczego nie Peru, Egipt, Japonia czy Tajlandia? Wygodnie usadowiona w fotelu zaczynam bujać w obłokach.

Mecenas Savoie podnosi głowę. Widoczne zza szkieł okrągłych okularów oczy w napięciu czekają na dalszy ciąg.

– Proszę kontynuować.

## *15. Zapisane w gwiazdach*

*12 stycznia 2001*

To właśnie w tym momencie wszystko się posypało. Jedno wydarzenie, jedna chwila, jeden problem, który na zawsze odmienia całe życie. Nie byłabym dzisiaj tu, gdzie jestem, gdyby to zajście nie stanęło mi wtedy na drodze. Moja historia potoczyłaby się całkiem inaczej. Pewnie i tak prędzej czy później musiałabym się zmierzyć z wyzwaniem zapisanym w księdze mojego życia, ale może wtedy przeżyłabym to inaczej, nie tak brutalnie i nie z taką siłą. Kto wie? Gwiazdy już wtedy wiedziały i ten Najwyższy też wiedział. W każdym razie przeżyłam i teraz pozostaje mi jedynie wybaczyć – wybaczyć samej sobie, że nie umiałam ustrzec tej małej dziewczynki we mnie.

Jestem więc na uczelni i niecierpliwie czekam, aż wybije ósma, kiedy to pożyczonym od taty samochodem mam jechać po M na lotnisko. Nadszedł ten nieszczęsny dzień jego powrotu. Oczekiwanie nieznośnie mi się dłużyło. Chcę jak najszybciej przytulić usta do jego ust i poczuć zapach miodu na jego szyi. Wiem, że w tej chwili siedzi w samolocie. Może właśnie wygląda przez okno, dokładnie tak samo jak ja pięć dni wcześniej? I może też rozmyśla o naszych następnych wspólnych podróżach? Wyobrażam sobie, jak się niecierpliwi, żeby mnie zobaczyć. Jak bardzo pragnie zanurzyć twarz w moich włosach i zatracić się w moim ciele...

W kieszeni spodni zaczyna wibrować mi pager. Bachir. A niech to. Poprzedniego dnia zapytał, czy mógłby pojechać ze mną na lotnisko, ale nie chcę go tam podczas naszego spotkania. Tylko wszystko zepsuje. Na pewno w drodze z lotniska będą rozmawiać po arabsku, więc nic nie zrozumie, chociaż znajomi M nauczyli mnie dla śmiechu kilku przekleństw. Chcę mieć

mojego mężczyznę całego dla siebie. Znajduję budkę telefoniczną i niechętnie oddzwaniam do Bachira.

Już po głosie poznaję, że coś jest nie tak, ale on płcze się i kluczy, zamiast od razu powiedzieć, o co chodzi. Zadaje mi banalne pytania o wyjazd, zdrowie rodziny, zajęcia na uczelni i takie tam. Wreszcie pada bomba i rozbija mój świat na kawałki: M został zatrzymany w Paryżu. Nie wraca do Montrealu.

– Jak to?

Panika. Czas jakby stanął w miejscu. Dostaję zawrotów głowy.

– Nie znam szczegółów. Zadzwoił do mnie w pośpiechu z Paryża. Odsyłają go do Afryki, ma wracać do siebie.

Nic nie rozumiem. Serce mi zamiera, nieoczekiwanie robi mi się słabo i muszę przytrzymać się budki, żeby nie upaść. Szybko jednak biorę się w garść i staram się pozbierać myśli. Muszę coś zrobić, i to zaraz. Tata. Mój ojciec umie znaleźć rozwiązanie na wszystko. Gwałtownie kończę rozmowę z Bachirem, którego spokój i nonszalancja kompletnie nie pokrywają się z moim zdenerwowaniem, a w gardle rośnie mi wielka kula strachu. Nieciekawie to wszystko pachnie. Właściwie to nawet śmierdzi. Coś złego wisi w powietrzu i cuchnie na odległość. Pan M jest pewnie solidnie wkurzony. Wyobrażam sobie, jaki musiał się czuć samotny i upokorzony, kiedy go zatrzymali na Paris-Charles-deGaulle.

Dzwonię do ojca do pracy. Jest na spotkaniu. Proszę sekretarkę, żeby przekazała, że pilnie czekam na telefon od niego. Wyjście numer dwa – karta telefoniczna. Lecę do sklepu spożywczego najbliższej uniwersytetu po kartę, z której najczęściej korzystają cudzoziemscy studenci, gdy dzwonią za granicę. Dla mnie to też najlepsze wyjście.

Dziesięć dolarów później plus dwadzieścia pięć centów pożartych przez automat, przy uchu odzywa mi się głos mamy M, która ze swoim wyraźnym arabskim akcentem i twardym „r” zaczyna wydzierać się po drugiej stronie oceanu. Opowiada coś o torturach, więzieniu i nalega, żebym skontaktowała się z konsulatem i ambasadą. Matka mojego ukochanego lubi przesadzać i, co zrozumiałe, jest przecież roztrzęsiona. Panikuje, zawodzi, krzyczy i płcze, wszystko naraz. Staram się zachować spokój i jak najszybciej odzyskać

zdolność trzeźwego osądu sytuacji.

Wiem, że w kraju M więzienie to zwykły terror. Osadzeni tam ludzie, nieważne – winni czy nie, są gnębieni i prześladowani. Reżim obecnego prezydenta trzyma wszystko w ryzach poprzez politykę zastraszania i uciszania. Za jedno słowo przeciwko niemu można iść prosto za kratki. Pamiętam, jak M bardzo się zdenerwował, gdy kiedyś poza domem zapytałam go o prezydenta. Chciałam wiedzieć, dlaczego jego zdjęcia wiszą we wszystkich restauracjach i innych miejscach publicznych. Gwałtownie zacisnął dłonie i kazał mi się zamknąć. Ściany mają uszy, a tajni agenci tylko czekają, żeby złapać na gorącym uczynku każdego, kto choćby wypowie jego imię.

Z zawrotem głowy M w tle udaje mi się porozmawiać z ojcem M, który jest znacznie bardziej opanowany. Minuty tykają, na mojej karcie nie pozostaje już wiele środków. Okazuje się, że paryscy celnicy zatrzymali mojego ukochanego z powodu braku wizy i nie pozwolili mu kontynuować podróży do Montrealu. Wtedy on się wściekł i ochroniarze siłą musieli zawlec go do samolotu lecącego z powrotem do Afryki. A ponieważ zgodnie z procedurami zaraz po przylocie powinien zostać aresztowany, mama M umiera o niego ze strachu. Tata M poruszył wszystkie swoje najbardziej wpływowe kontakty, łącznie z ojcem Zieda, który już nieraz pomagał wyciągać M z kłopotów (a to zdaje się jego specjalność), ale tym razem pieniądze nie rozwiążą sprawy. Przez długi czas tata M zwracał się o wstawiennictwo do przyjaciela, żeby tuszować wysoki młodego panicza, ale tym razem nic się nie da zrobić. Możemy tylko czekać.

Tak więc będę czekać, zapłakana i niezdolna wziąć czegokolwiek do ust. Na domiar złego akurat jest koniec tygodnia i wszystkie ambasady są zamknięte.

## *16. W moich rękach*

*Potwór umie obarczyć swoimi kłopotami wszystkich dookoła, ale nigdy nie bierze na siebie odpowiedzialności za innych.*

**W** poniedziałek z samego rana dzwonię do mojej ciotki, która jest adwokatem. Udaje jej się uzyskać więcej informacji i gromadzi do wypełnienia papiery upoważniające mnie do występowania w imieniu M.

Wtorek. Zima w Montrealu jest trudna. Ruch uliczny gęstnieje, a na ulicach, tak jak w mojej duszy, szaleje zawierucha. Razem z tatą z trudem docieramy do konsulatu reprezentującego kraj M w Montrealu. Udało nam się wreszcie załatwić widzenie w trybie pilnym. Rozmawiam z M dwa razy dziennie. Jeden raz bardzo wcześnie rano i potem znowu późnym popołudniem. Różnica czasu nie ułatwia nam życia.

W konsultacji zapada decyzja: nic się nie da zrobić. Kiedy słucham uzasadnienia aresztowania M z ust człowieka o najwyraźniej zerowym poziomie empatii, mam uczucie, że rozlatuję się na kawałki. Jest mi wstyd przed tatą i ze wszystkich sił staram się bronić mojego M. Powód zatrzymania: napaść na naszą dobrą znajomą, Yasmine. Pozwolenie na pobyt zostaje uchylone, a wiza unieważniona. A przecież M przysięgał mi, że Yasmine wycofała zarzuty. To wszystko moja wina. Gdyby nie ja, nie musiałby występować w mojej obronie, nie pobiłby Yasmine i mógłby teraz z czystą kartoteką chłodzić sobie dupkę w kanadyjskich mrozach.

Rozmawiam z M przez telefon... Bez najmniejszych skrupułów robi mi wyrzuty, że to przeze mnie został deportowany. W kółko powtarza, że to moja wina, że czuje się więźniem w swoim kraju. Moja wina, że czuje się uziemiony. Wyobrażam sobie, jak te jego rozżarzone oczy wypalają mi serce



i ciskają we mnie pioruny. W jego głosie słyszę buzującą złość.

No ale jest przecież na wolności. Jeszcze w dniu zatrzymania zwolnili go z aresztu z braku zarzutów na terenie kraju. Żeby powrócić do Kanady, musi ponownie uzyskać wizę, co nie będzie łatwe, biorąc pod uwagę jego historię karalności, ale przynajmniej może się swobodnie poruszać. Mimo to M sam odcina się od świata, przez co czuję się jeszcze bardziej winna.

Potrzebny jest plan działania, a ja jestem jedyną osobą, która może naprawić swój błąd i znaleźć rozwiązanie. Mam tylko osiemnaście lat, ale muszę to wziąć w swoje ręce. Właśnie tak.

## *17. Poruszyć góry*

**M**inęło kilka dni. Dzwonię do mojego M regularnie dwa razy dziennie. Kiedy akurat są korki i nie udaje mi się dotrzeć na uczelnię na czas, poziom adrenaliny wzrasta mi błyskawicznie. Wiem, że czeka na mój telefon. Wiem też, że nienawidzi warować przy aparacie i że oberwie mi się za każdą minutę zwłoki. Nie mam mu tego za złe. Potwornie drażni go fakt, że kiedy on siedzi uziemiony w domu, ja fruwać sobie wolna jak ptak, ciągle mi to powtarza. Nie może znieść, że nie ma przy nim JEGO kobiety. Dopytuje, jak się ubieram, z kim się spotykam, chce wiedzieć w najdrobniejszych szczegółach, z kim rozmawiałam i co robiłam w ciągu dnia. Jest mną zawiedziony i mówi, że każda inna kobieta poruszyłaby góry, żeby sprowadzić go z powrotem do kraju. Jego słowa doprowadzają mnie do rozpacz. Poruszyłam przecież niebo i ziemię. Spotkałam się nawet z jego prawnym pełnomocnikiem. W związku z oskarżeniem o napaść mój M ma stanąć przed sądem w kwietniu, a ponieważ do tego czasu nie będzie mógł jeszcze wrócić, udało mi się przesunąć termin rozprawy na później. Ale jemu to nie wystarcza. Prześladowają go zmienne nastroje: niekiedy podczas rozmowy zasypuje mnie lawiną miłosnych deklaracji, innym znów razem skupia się na mnie cała jego furia.

## 18. Ty głupia dziwko...

Jest połowa stycznia. Studia zeszyły u mnie na dalszy plan, bo w ogóle nie mogę się skupić. Mój najważniejszy cel to jak najszybciej znowu zobaczyć M. Długo nie mogłam się uspokoić po naszej ostatniej rozmowie. Postawił mi ultimatum. Nie może już dłużej znieść, że jestem daleko od niego. I z tej rozpaczy wypowiedział to słowo...

To właśnie tego dnia rzucił mi je w twarz po raz pierwszy.

Potem używał go wielokrotnie: przy każdej okazji, w dowolnym momencie, z byle powodu. Gdy wymawia się je po arabsku brzmi jeszcze bardziej twardo i agresywnie. Te głoski „k” i „h” sprawiają, że brzmi jak splunięcie w twarz. Do dzisiaj splunięcie w twarz jest dla mnie gorsze niż policzek lub cios kijem w pieszczel.

Podczas tej rozmowy chlusnął mi nim w twarz jak wymiocinami: *kahba*. Ty dziwko. Głupia dziwko. Zdziro. *Kahba*. Jestem suką, szmatą i wywłoką. Nie ma mnie przy nim. On siedzi tam uwięziony, a ja sobie używam życia, baluję i na pewno puszczam się na lewo i prawo. Grozi, że jeżeli szybko do niego nie przyjadę, to wszystko między nami skończone. Wykreśli mnie ze swojego życia bez chwili wahania. Nie mogę go ułagodzić inaczej jak tylko głosem. Ja też czuję się uwięziona po drugiej stronie oceanu. Tak bym chciała wziąć go w ramiona, pocieszyć i powiedzieć mu, że go kocham, patrząc mu prosto w oczy. Tęsknię za nim. Staram się go uspokoić. Zżera mnie pragnienie, żeby móc go dotknąć. Ale jestem całkiem sama ze swoją rozpaczą, bo przecież to nieprawda, co o mnie mówi. Chodzę jak na sznurku, w ogóle nie bywam na mieście, nie imprezuję, ubieram się skromnie i robię wszystko, żeby być taką kobietą, jakiej mu potrzeba.

– Nie denerwuj się, kochanie. Coś wykombinuję i jeżeli ty nie możesz przyjechać do mnie, to ja polecę do ciebie.

Dlaczego pozwalam mu się tak obrażać? Bo wiem, że w głębi serca wcale tak nie myśli. Po prostu w taki sposób daje do zrozumienia, że nie może już dłużej znieść naszej rozłąki. To nie jest moment, żeby się na niego obrażać, bo właśnie teraz jak nigdy potrzebuje mojego wsparcia i jeszcze większej miłości.

W oddali słyszę jakiś dźwięk. Gdzieś bardzo daleko. Jakby jakaś syrena albo alarm, a może odgłos kroków? Oteęiała unoszę się pomiędzy dwoma światami. Czuję ucisk w żołądku. Ciągłe leżę na ziemi, od której zaczyna zamarzać mi skóra. Przesiąknięte potem ubranie spowija mnie lodowatą wilgocią. Moje serce spowalnia. Może już nie bije?

## *19. Nic do powiedzenia*

Mecenas Savoie ciągle coś notuje. Pisze szybko. Czuję się niezręcznie z powodu tego, co właśnie opowiedziałam. Wstyd mi teraz, że po prostu nie rzuciłam słuchawką, kiedy M wymyślał mi od najgorszych. Żadna kobieta nie zasługuje na to, żeby nazywać ją „głupią dziwką”. Od tej pory było już tylko gorzej. Tak to jest, że kiedy puści się płazem jedną zniewagę, to otwiera się przestrzeń dla kolejnych, a stąd już prosta droga do kompletnej utraty poczucia własnej wartości. Stopniowo, od słowa do słowa. Siedzę w milczeniu ze spuszczonej oczami. Tata, który przez ostatnią godzinę nie odezwał się ani słowem, zabiera głos.

– Razem z żoną byliśmy przeciwni temu, żeby znów tam jechała. Patrzyliśmy, jak nasza perełka, ledwie osiemnastoletnia, zawala studia, zrywa przyjaźnie i rujnuje sobie młodość. Schudła, a ta historia pochłaniała całą jej energię. Próbowaliśmy przemówić jej do rozsądku, ale bezskutecznie. Sophie to zodiakalny Byk, ale z głową osła. Jest uparta i nieprzejednana. Na początku stycznia znowu podjęła pracę u mnie w biurze w soboty i w niedziele. Nadal chodziła na uczelnię, ale widać było, że straciła do tego serce. Bałem się, że może spakować się w każdej chwili. W lutym w domu zapanowała ciężka atmosfera. Sophie postanowiła jechać. Zebrałem w sobie całą odwagę, na jaką było mnie stać, i odwiozłem ją na lotnisko. Wiedziałem, że nie ma sposobu, żeby ją zatrzymać. Leciła do kraju, w którym ja, choć taki ze mnie podróżnik, nigdy nie byłem. Nie miałem pewności, czy nic jej nie grozi i czy jest w dobrych rękach. Wiem tylko, że bardzo mocno przytuliła się do mnie, zanim ustawiła się do odprawy. Mimo woli po twarzy spłynęła mi łza, a zaraz potem druga i odwróciłem głowę, żeby ukryć rozpacz. Chciałem krzyknąć do niej: „Nie jedź, poczekaj jeszcze! Poczekaj,

aż opadnie ten pierwszy kurz, nie ryzykuj całego życia dla jednego mężczyzny. Jesteś za młoda na takie wyzwanie. Boję się, Sophie. Boję się, że dasz się wciągnąć i całkiem się pogubisz. Każdego dnia widzę, jak znikasz w jego cieniu...” Ale pozwoliłem jej jechać, nic nie powiedziałem. Nie było takiej rzeczy, która mogłaby ją powstrzymać. Jakiś głos w mojej głowie podpowiadał mi, że to będzie początek prawdziwego koszmaru, ale siedziałem cicho, bo bałem się, że oddali się od nas jeszcze bardziej. Nie odwróciła się, ale widziałem łzy na jej twarzy. Ona też z pewnością zauważyła moje, które ocierałem nieporadnie wierzchem dłoni. Wyjechała na trzy tygodnie. Wróciła odmieniona... nie do poznania.

## 20. *Rozkosz bliskości*

Afryka, lotnisko, odprawa – rozdział drugi. Bardzo uważałam, żeby odpowiednio się ubrać, to znaczy tak, jak M lubi ostatnio. Chcę go upewnić, że prowadzę się bez zarzutu. W ten sposób nic nie zepsuje naszego tak wytęsknionego spotkania. Długi płaszcz, luźne, obszerne spodnie, golf i zakryte buty – choć szczelnie osłonięta, wyglądam jednak szykownie i elegancko.

Na szczęście przy Saharze w lutym nie ma upałów. Wita mnie raczej orzeźwiający wiatr. Lotnisko jest senne i opustoszałe. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, dzięki Bogu, bo przez to bilet był znacznie tańszy. Co i tak oznacza wszystkie pieniądze, jakie zaoszczędziłam od początku lata ubiegłego roku.

Cały świat zaczyna wirować, kiedy spostrzegam mojego M czekającego na mnie przy punkcie kontroli granicznej. Stoi wyprostowany z rękami założonymi na plecach i nieco przekrzywioną głową. Wygląda jak jastrząb, gdy tak taksuje wzrokiem każdego podróżnego wyłaniającego się zza wahadłowych drzwi. Ma na sobie mój ulubiony sweter, którego ciemnoszary golf ładnie podkreśla mu twarz, silną linię szczęki oraz pełne usta, tak spragnione moich. Rzucam mu się w ramiona i z rozkoszą wdycham zapach jego skóry, który niczym tsunami całkowicie zwała mnie z nóg. Przez chwilę wodzę nosem po jego ciele, upewniam się, że to on, i rozkoszuję się jego bliskością.

To emocjonalne powitanie unosi nas w przestworza naszej love story i, jak działka heroiny, daje nam skrzydła, a jednocześnie wciąga nas silniej w głąb.

Całujemy się bez końca, odurzeni gorącą falą namiętności, a wreszcie obejmuje mnie za ramiona i, mocno przyciskając do siebie, wyprowadza z hali lotniska.

Jeden z pracowników taty M jest naszym kierowcą. Razem z M siadamy więc na tylnym siedzeniu starego samochodu, który wiezie nas do jego rodzinnej miejscowości. Prawie się tam kochamy, tak bardzo nasze ciała rwą się do siebie. Przypominam sobie wysadzany palmami krajobraz poza miastem. Rozpoznaję wijące się drogi i rosnące wzdłuż nich kaktusy. Niezliczone czarne reklamówki niesione przez wiatr zaczepiają się o ich zielone kolce. Ludzie nadal wyrzucają tu śmieci przez okno w samochodzie, co w Quebecu już dawno jest niedopuszczalne. Jest jasno, słońce muska mi skórę i mam ochotę zatańczyć w świetle tego ciepłego kraju.

Wjeżdżamy w jego ulicę i, w przeciwieństwie do mojej pierwszej wizyty, nie czeka mnie żaden komitet powitalny – w domu nie ma przyjaciół ani zaciekawionych sąsiadów. Zaalarmowana trąbieniem mama M wychodzi na podest schodów. Od razu wyczuwam zupełnie inną energię wokół tej kobiety o zimnym uśmiechu, dziwnie ostrym nosie i brązowych włosach upiętych w ciasny kok akcentujący jej wydatne kości policzkowe. Wydaje mi się mniejsza, niż zapamiętałam, a głębokie cienie pod oczami wskazują na przeżyte ostatnio zgryzoty. W jej spojrzeniu, za pierwszym razem tak życzliwym i ciepłym, teraz maluje się jakaś zawziętość, którą z wysiłkiem maskuje. Nasz krótki uścisk i trzy oficjalne całusy w policzki – lewy, prawy, lewy – są sztywne i oziębłe.

Już dawno się przekonałam, że zgodnie z filozofią jednej z czterech umów Tolteków nigdy nie trzeba niczego brać do siebie, choćby nie wiem co. „To, co mówią i robią, jest wyłącznie projekcją ich własnej rzeczywistości, ich własnych snów. Kiedy uniezależnisz się od opinii i poczynań innych ludzi, przestaniesz niepotrzebnie cierpieć”<sup>[1]</sup>.

Staram się nie zważać na oschłe powitanie mamy M, ale mimo wszystko jakoś tracę rezon i pogodny nastrój. W ustach mam posmak goryczy – znak, że zmienia się kierunek wiatru.

Kolejne rozczarowanie: brat M jest w kawiarni i przyjdzie się przywitać dopiero znacznie później. Poza moim M jedyną, która wita się ze mną



serdecznie, jest malutka siostra M schowana w fałdach sukni swojej mamy. Poprzednio po przyjeździe czekała na mnie uczta z kuskusem i jagnięciną, przy której spędziliśmy naprawdę niezapomniany wieczór. Ale dzisiaj mama M nie miała czasu gotować. Jeżeli jestem głodna, to są jakieś resztki z obiadu, spaghetti z *harissą* i maślane bułeczki, informuje, po czym wraca do swoich zajęć. Dziękuję jej grzecznie z szerokim uśmiechem i kręcąc głową. Umieram z głodu, ale nie chcę sprawiać kłopotu.

## *21. Żeby mnie lubili*

Zawsze chciałam podobać się innym. Wydawało mi się, że wszyscy będą mnie lubić, jeżeli będę miłą dziewczyneczką, która nie robi problemów. Zwykle więc szłam w tę stronę, w którą chcieli inni, i pozwalałam im decydować za siebie, nie przykładając wagi do moich faktycznych upodobań. Stwierdzenia typu: „Wszystko mi jedno”, na okrągło pojawiały się w moim słowniku, podobnie jak: „Jak wolisz”. Teraz bardzo się staram rozpoznawać swoje pragnienia i wychodzić im naprzeciwko. Z seksem to samo. Zawsze robiłam to, co podobało się jemu, nie słuchając swojego ciała i nie umiając cieszyć się ze swej kobiecości.

Mój obecny partner powoli mnie z tego leczy. Pokazał mi rozmaite odczucia, nauczył mnie odkrywać wnętrze mojego ciała, wsłuchiwać się w jego głos i robić to, co mi sprawia przyjemność, w poszanowaniu tego, kim jestem. Po przejściach z M wpadłam w spiralę autodestrukcji i samo uciemiężenia, angażując się w patologiczne relacje pełne przemocy. Tylko w ten sposób udawało mi się coś poczuć, a jedyną drogą do tego, jaką znałam, była agresja seksualna: upokorzenie, wykorzystywanie, uległość i dominacja, zarówno z mojej, jak i z drugiej strony. Mam nadzieję, że z czasem zdołam odzyskać równowagę i stopniowo pozbyć się zaburzeń.

## 22. Zapaść się pod ziemię

Dwadzieścia dni na obrzeżach Sahary. Przez pierwszy tydzień praktycznie zabarykadowaliśmy się w domku M, wychodząc tylko po to, żeby poprosić mamę M o coś do jedzenia. Codziennie rano M serwował mi kawę do łóżka, przez co czułam się jak jakaś arabska księżniczka rozpieszczana i adorowana przez swojego mężczyznę. „Faza miodowego miesiąca”. Tak terapeuci w ośrodkach dla bitych kobiet opisują te pełne euforii chwile następujące po okresie wzmożonej agresji u manipulanta.

M krąży po mieszkaniu. Wygląda na to, że nasz miesiąc miodowy się skończył. W wiosce nic nie jest takie jak za pierwszym razem. Maski opadły i nikt nie traktuje mnie już tak jak wcześniej. Podczas naszych pierwszych wakacji zwiedziliśmy cały kraj i nawet wybraliśmy się nad morze. Byłam jak trofeum, które należało obwieźć z miasta do miasta i od domu do domu, żeby pokazać znajomym zamorską księżniczkę – symbol sukcesu M i marzenie wszystkich, którzy chcieliby uciec i zbudować sobie życie gdzie indziej. Tylko nielicznym udało się wyrwać z kraju piasku i zasmakować lepszego życia.

Tego dnia wyczuwam w domu napięcie. M chodzi nabuzowany jak wulkan, więc wszyscy usuwamy się w cień w obawie przed wybuchem. Dobrze już poznałam mojego M i wiem, że muszę robić dokładnie to, co chce, żeby nie sprowokować jego irytacji. Snuje się, szukając najmniejszego pretekstu do wyładowania gotującej się w nim wściekłości. Papierosy się skończyły... Siedzę wyprostowana na kanapie w salonie, bojąc się poruszyć czy też choćby odetchnąć, i oglądam *Ogień miłości*, tanią, amerykańską telenowelę, która leci po południu na francuskim TF1, ale nie ośmielam się zwiększyć głośności ani tym bardziej zmienić kanału.

No i ŁUP! Podnosi głos i wrzeszczy na matkę, żeby dała mu trzy dinary na fajki. Mama nie ma pieniędzy. M zaciska dłonie na oparciu kanapy i, wydzierając się na nią, zaczyna demolować wszystko, co wpadnie mu w ręce. Rozwala wszystko. Słyszę krzyki i płacz mamy M, która błaga, żeby nie wywracał kredensu z cennymi porcelanowymi talerzami jeszcze po jej babci. Przez chwilę patrzy jej w oczy wyzywająco, po czym z wielką starannością przewraca mebel na ziemię tak, aby nie uchwycił się ani jeden talerz. Przerzuca się na drobiazgi stojące na półkach przytwierdzonych do ścian salonu. Modłę się, żeby się opamiętał, ale wszystkie ozdóbki z trzaskiem lądują na ziemi. Oszczędza tylko telewizor. Furia pcha go do kuchni, gdzie dalej sieje kompletne spustoszenie, ciskając wszystko na podłogę. Gruchoce nawet drewniane krzesła i grozi, że najpierw zmasakruje nimi matce twarz, a potem dopiero połamie w drobny mak.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałam zapaść się pod ziemię. Umieram ze strachu, że moje wewnętrzne drżenie przykuje jego uwagę. Siedzę na kanapie bez ruchu, czekając, aż nawałnica przejdzie.

Przechodzi... W szale wypada z domu, trzaskając z hukiem drzwiami, i pastwi się nad meblami ogrodowymi, jakie mu się nawiną. Po raz ostatni jego furia jeszcze mnie omija, ale i tak zostawia mnie samą w zamknięciu czterech ścian.

Nie mam odwagi wyjść. Poza tym, niby dokąd miałabym pójść? Kobiety w tej części kraju nie wychodzą z domu, najwyżej po to, żeby odwiedzić inną kobietę u niej. W czasie mojej pierwszej wizyty M nic sobie z tego nie robił i wszędzie się mną afiszował. Ale teraz zasady są jasne. Kiedy wrócił po sweter kilka godzin później, odważyłam się go poprosić, żeby wziął mnie ze sobą do kawiarni, bo siedzenie wśród czterech ścian zaczyna doprowadzać mnie do szaleństwa. W odpowiedzi usłyszałam kategoryczne:

– To nie jest miejsce dla kobiet. Byłabyś tam jedyna, więc zostajesz w domu.

Wrócił nad ranem. Nienawidzę kawiarni.

Od tamtego dnia zaczęłam chorować. Mam zupełnie rozregulowany żołądek. Podejrzewam, że to z powodu dodawanej do jedzenia *harissy*, która wypala mi cały przewód pokarmowy. Tutaj nic nigdy nie jest za ostre i do

wszystkiego sypie się mnóstwo silnych przypraw. Stres poprzedniego dnia zapewne mi nie pomaga, bo emocje bezpośrednio wpływają na żołądek. Śmiertelnie boję się reakcji mężczyzny, który śpi ze mną w jednym łóżku. Po raz pierwszy w mojej obecności dał się ponieść takiej pasji, że rozwalił wszystko na swojej drodze. Taka furia nie wróży nic dobrego i jego porywcze wybuchy głęboko mnie niepokoją.

Boję się o jego matkę i o jego siostrzyczkę, które tymczasem pospiesznie uprzątnęły całe pobojowisko i, zażenowane, próbowały tłumaczyć skandaliczne, w moim odczuciu, zachowanie M. Usiłuję je o to zagadnąć, wrócić do tematu i wspólnie przeanalizować całą sytuację, ale w domu panuje absolutny nakaz milczenia. Tak było zawsze i rozumiem, że wszyscy musimy po prostu położyć uszy po sobie, aż do kolejnej burzy. Zamykam się więc w mieszkaniu M i samotnie roztrząsam incydent. Ostatecznie znajduję usprawiedliwienie zachowania mojego mężczyzny. Brak wizy nie pozwala mu wrócić do Kanady, więc czuje się uwięziony we własnym kraju i nie widzi drogi ucieczki. Nic dziwnego, że targają nim skrajne emocje.

## *23. Oddychać przez tzy*

**M**czeka na mnie w samochodzie przed bramą. Przed nami długa droga do kanadyjskiej ambasady. Jestem podekscytowana – od przyjazdu tutaj nie wyściubiłam nosa z domu – ale jednocześnie mocno się niepokoję tym, czego się po mnie oczekuje. To ode mnie zależy wolność M i wszyscy członkowie rodziny wyraźnie dają mi to do zrozumienia, w nieskończoność sącząc mi do uszu dobre rady i zalecenia. Presja jest bardzo silna i nabieram przeświadczenia, że cała przyszłość M spoczywa wyłącznie w moich, osiemnastoletnich rękach.

Trafił nam się niespotykane ciepły dzień jak na luty i w starym mercedesie bez klimatyzacji panuje okropny zaduch. Boli mnie brzuch i docieram do samochodu z najwyższym trudem, zgięta w pół. Nie wiem, czy moje ciało wytrzyma pięć godzin krętej drogi, ale ze wszystkich sił próbuję ustabilizować oddech, pomimo bólu. Nie chcę się uzalać, bo boję się, że to mogłoby rozgniewać M.

Poprzedniego dnia M i jego ojciec zawieźli mnie do lekarza. Dwadzieścia dinarów później – a dla taty M to cały majątek – wyszłam wciąż bez diagnozy. Przepelniony szpital miejski mieści się na końcu stromej, piaszczystej drogi. Żeby tam wjechać, trzeba było porządnie piłować silnik, co bardzo rozsierdziło tatę M, który zazwyczaj nigdy nie narzeka. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego na szpital wybrano miejsce praktycznie niedostępne dla środków lokomocji. Wiodąca do niego droga to najeżony pułapkami labirynt wijący się wśród hałd piasku, który przykleja się do okien samochodu. W szpitalu M zabronił lekarzowi mnie badać, bo to nie do przyjęcia, żeby dotykał mnie inny mężczyzna, nawet po ramionach. Więc nie ma żadnych szans na rozpoznanie, skąd wziął się ten dojmujący i

nieustępliwy ból.

W samochodzie, podczas gdy M – rajdowiec z natury – ciśnie gaz, umiejętnie lawirując pomiędzy wozami wleczonymi przez ledwo zipiące ciągniki, pogrążam się we własnych rozmyślaniach. Czuję się dziwnie oderwana od wszystkiego, chociaż ból nieustannie przywraca mnie do rzeczywistości. Boję się, że w ambasadzie nic nie wskóram, a potem spadnie na mnie cała wściekłość M.

Czuję pieszczotę słońca i przyjemny powiew wiatru na skórze. Jest południe i w oddali odzywa się wezwanie na modlitwę. *Allahou akbar. Allahou akbar.* Nawet nie przypuszczam, że pewnego dnia sama znajdę się w meczecie, na kolanach, modląc się o to, żeby zdołać przeżyć.

## *24. Różany deszcz*

Zegar wskazuje siódmą. Spaliśmy, a w każdym razie próbowaliśmy się zdrzemnąć w samochodzie zaparkowanym tuż obok ambasady, bo nie mamy pieniędzy na pokój w hotelu czy choćby porannego rogalika. Piękno tego miasta, gdzie nawet w saharyjskie upały wieje przyjemny wiatr, na zawsze pozostanie mi w pamięci.

Kiedyś, gdy, przy okazji moich rozlicznych wizyt w ambasadzie, nocowaliśmy u Zieda, Zied zabrał mnie ze sobą na zakupy. Wynajdywał czasami taki pretekst, żeby choć na małą godzinkę, nie więcej, oddalić ode mnie szpony M i wyrwać mnie z niewoli tych zabójczych ścian. No więc załatwiliśmy piorunem sprawunki, za to w drodze powrotnej, ku mojemu zdumieniu, Zied zarządził postój na podziwianie widoków. Tyle wystarczyło, żebym mogła podzielić się z nim moją bezradnością i moją udręką i opowiedzieć mu o upokorzeniach, jakie ustawicznie muszę znosić ze strony mojego Potwora. W jego oczach wyczytałam współczucie, kiedy wsunął mi dłoń do ręki. Ruszyliśmy dalej, trzymając się za ręce, jak para kochanków spotykających się potajemnie. Wtedy właśnie zrozumiałam, że szesnastoletni Zied jest we mnie zakochany – w przyszłej żonie swojego najlepszego przyjaciela.

Jest kwadrans po siódmej. Stoję pod drzwiami ambasady, czekając na otwarcie, które ma nastąpić o ósmej. Pod drzwiami kłębi się już tłum tutejszych i nie dostrzegam nikogo z mojego kraju. M kazał mi czekać przed bramą, ale sam nie wysiadł z samochodu. Na okrągło wbijał mi do głowy, że koniecznie muszę zadać wszystkie pytania i nie dać się zbyć, zanim nie uzyskam konkretnych odpowiedzi, że jestem jego jedynym sprzymierzeńcem, jedyną nadzieją i że jego los leży w moich rękach. Nie jest



nieprzyjemny, wręcz przeciwnie – odnosi się do mnie ciepło i z czułością, dając do zrozumienia, że wierzy w moje siły. Byłoby jednak miło, gdyby stał w tej kolejce razem ze mną albo przynajmniej otworzył drzwi samochodu, którym podejżdza wraz ze mną w miarę, jak przesuwam się bliżej wejścia. No ale po co ma się pocić, skoro nie ma takiej potrzeby? Poczekaj na mnie w kawiarni na rogu, gdzie umówił się z przyjaciółmi, którzy mieszkają w stolicy. To przecież dobra okazja, żeby się z nimi zobaczyć.

Stoję w kolejce i czekam z boleśnie skurczonym żołądkiem. Serce też mam ściśnięte... Czterdzieści pięć minut, które pozostało, wlecze się w nieskończoność, a gdy tylko zegar wybija ósmą, przeciskam się do ochroniarzy z paszportem w ręce, gotowym do okazania funkcjonariuszom, którzy wpuszczają interesantów. Sam budynek wywiera na mnie duże wrażenie. Obiekty w centrum miasta cechuje bogata, ozdobna architektura z bielonymi wapnem, połączanymi ścianami i gigantycznymi rzeźbami rzymskimi, które wyglądają, jakby strzegły każda swojej budowli.

Potem długo siedzę w poczekalni, gdzie przykazano mi czekać. Próbuje zwrócić na siebie uwagę kanadyjskich pracowników, którzy krzątają się, sprawiając wrażenie bardzo ważnych i bardzo zajętych. Zastanawiam się, gdzie może być M. Czuję się bardzo samotna w tym obcym mieście. Wreszcie przez głośniki wywołane zostaje moje nazwisko. Kierunek – pokój numer 4. Sama nie wiem, dlaczego zrywam się i lecę do wskazanych drzwi w takim pośpiechu. Pewnie ze strachu, że przede mną wezwą już następną osobę.

Wchodzę więc do niewielkiego pomieszczenia przedzielonego szybą, która uniemożliwia mi bezpośredni kontakt i utrudnia rozmowę z obsługującą mnie urzędniczką. Przede mną siedzi kobieta o trójkątnej twarzy i krótkich, rudych loczkach. Gdyby psy były odbiciem swojego właściciela, to ona z pewnością miałaby rudego pudła królewskiego – lekko wyniosłego, co to uważa się za wzór elegancji, zapominając o tym, że jest tylko psem.

– W czym mogę pani pomóc? – zagaja, porządkując już i tak starannie ułożone na biurku dokumenty. Pochylam się w stronę szyby, żeby mnie lepiej słyszała i, przewycięzając kulę, która niebezpiecznie podchodzi mi do gardła, przedstawiam swoją sprawę. Modlę się z całej duszy, żeby mogła mi pomóc i żeby M mógł wrócić do Montrealu, a moje życie – do normalności.

– Mój narzeczony nie może wrócić do kraju – mówię. – Ma wizę studencką, na podstawie której może się uczyć w Kanadzie. Został zatrzymany w czasie przesiadki we Francji i teraz jesteśmy tu uziemieni. W Montrealu udało mi się odroczyć przesłuchanie, na którym musi się stawić. Mam przy sobie wszystkie dokumenty oraz upoważnienie do występowania w jego imieniu. Sam też już próbował uzyskać u państwa przedłużenie wizy, ale mu odmówiono – mówię i mówię bez końca.

Urzędniczka słucha mnie, nie przestając przekładać swoich papierów. Od czasu do czasu unosi w górę palec wskazujący na znak, żebym zamilkła i odbiera dzwoniący bez przerwy telefon. Wreszcie wstaje łaskawie i podchodzi do wypełnionej segregatorami szafy za plecami. Nie spuszcza z niej oczu, czujnie śledząc każdy jej ruch. Na ścianie wisi korkowa tablica, do której przypięto rozmaite papiery. Mrużę oczy. Na jednym z nich, w prawym górnym rogu, widnieje nazwisko M zakreślone czerwonym flamastrem. Ruda „pudlica” wraca do mnie i studiuje zawartość teczki, którą dopiero co otworzyła. Obgryzam paznokcie ze zdenerwowania, czekając na jej decyzję.

Owszem, M złożył podanie w styczniu 2001 roku i jego sprawa jest w toku. Nie udaje mi się wydusić z niej nic więcej, chociaż nalegam i zasypuję ją lawiną pytań. Odchodzę więc z niczym i to przeraża mnie jeszcze bardziej.

M czeka na mnie w pobliskiej kawiarni. Kiwam na niego z daleka i kiedy podchodzi, od razu widzi, że nie mam dobrych wieści. Zaciska usta, rzuca mi kluczyki do samochodu i wraca dokończyć swoją partyjkę kart. Załamana czekam na niego na miejscu obok kierowcy. Przez to nieudane spotkanie czuję się jak ostatnia niedojda, nieprzydatna zupełnie do niczego. Trzeba było zadać jej więcej pytań, ale nie umiem operować językiem tak zręcznie jak M. Nie zawsze potrafię się jasno wyrazić i często brakuje mi słów. Kiedy zabieram głos, mówię niepewnie, z nerwów zaczynam się jąkać – po prostu zupełna porażka. Powrót do domu to istna droga przez mękę. Ze ściśniętym żołądkiem słucham wyrzutów M. Zawiodłam go.

Następnego dnia na prośbę M do domu wezwana zostaje znachorka. Czuję się coraz gorzej i nie mogę już wytrzymać dotkliwego bólu brzucha. Kobieta ma twarz zdobioną tatuażami, które świadczą o jej bezpośrednich związkach z magią i czarami. Stojąc pod figowcem na wewnętrznym dziedzińcu, na bosaka zabiera się do sporządzania jakiejś mikstury z ziół i

kwiatów, które przyniosła ze sobą w wiklinowej torbie. Osobiście wolałabym pójść do szpitala i dostać antybiotyki, ale pozwalałam ugniatać się jej zręcznym palcom, licząc na to, że zrobi coś, żeby mi pomóc. Wylewa mi na głowę wyciąg z róż, który ścieka mi za kołnierz swetra, po czym pakuje mi do ust przygotowane lekarstwo. Cierpka gorycz wypełnia mi gardło, które zaciska się konwulsyjnie i z najwyższym trudem powstrzymuję się, żeby nie wymiotować pod rozbawionym okiem mamy M, która trzyma mnie za ramiona, żebym się nie gibnęła do tyłu. Teraz mam wypić litr wody i skropić się różanym ekstraktem trzy razy w ciągu nocy. Czarownica odchodzi, zainkasowawszy kilka dinarów za swoją konsultację.

Zrobiłam to, co zaleciła, i – może to zabrzmie śmiesznie – ale po wypróżnieniu się w toalecie, ból zniknął... Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

## 25. *Baranki trzy*

Zostało nam już niewiele czasu i myślę o tym z przestraczem. Od powrotu z ambasady dni płyną mi jeden za drugim zupełnie podobne do siebie. Ponieważ nie mam pieniędzy, żeby zwiedzać ten wciąż jeszcze mało znany mi kraj, tkwię w samotnym zamknięciu w wiosce o przestarzałych zwyczajach. Mój mężczyzna jest w podłym nastroju, a ja tak bym chciała jeszcze nacieszyć się naszymi ostatnimi chwilami. Na wszystkie sposoby usiłuję go rozpogodzić, rozpieszczam go, jak mogę: przynoszę mu kawę do łóżka i obsypuję go czułymi słówkami. Posyłam jego małą siostrzyczkę po świeże pieczywo (bagietka za dziesięć centymów to jedyny luksus, na jaki mnie stać). Uczę się przyrządzać tutejsze potrawy i pomagam w kuchni jego matce. Staram się być miła i usłużna. Niekiedy na pięknej twarzy mojego mężczyzny pojawia się uśmiech i na kilka godzin odzyskuje optymizm i pogodę ducha. Czyta mi wtedy Baudelaire'a i znowu słuchamy jego ulubionej muzyki.

Po raz pierwszy od mojego przyjazdu słyszę głos mojej kochanej mamy. Czuję ukłucie w sercu. Jest tak daleko i tak niecierpliwie czeka na mój powrót. Uspokajam ją, że moja podróż dobiega końca i że niedługo wrócę, chociaż bez M, mówię jej ze smutkiem.

Tata M, podobnie jak ja, bezskutecznie próbuje uprzyjemnić synowi życie jak tylko może. Na przykład dzisiaj przyszedł po nas w porze obiadu i oznajmił, że ma dla nas niespodziankę. Zabiera nas na przejażdżkę wiejską drogą na północ. Stary mercedes przecina wieś, po czym zagłębia się w bezkresne plantacje oliwne. Jest przepięknie. Moje oczy nie mogą nasycić się widokiem. Łapczywie wdycham zapach rozgrzanej słońcem ziemi i utrwalam w pamięci krajobrazy, które chcę zabrać ze sobą z powrotem do Montrealu.

W lewo, w prawo, w lewo i znów w lewo. Zatrzymujemy się przed drewnianą chatą, gdzie przywiązane pod dachem za nogi wiszą smętnie trzy żałosne barany, którym najwyraźniej dopiero co poderżnięto gardła, sądząc z jeszcze świeżej kałuży krwi pod ich głowami. Zwierzęta powoli się wykrwawiają, czekając, aż karłowaty mężczyzna zajęty ćwiartowaniem czwartego na starym stole obok obedrze je ze skóry.

Jestem wstrząśnięta. Zawsze byłam zagorzałą zwolenniczką obrony praw zwierząt, a tu widzę, że jeden z nich nadal się rusza. Niespodziewanie ogarniają mnie mdłości, ale ukrywam to, odwracając wzrok w stronę nieba. Doskonale wiem, że powinnam z szacunkiem przyjąć poczęstunek i pogodzić się ze zwyczajami tego kraju tak bardzo innego niż mój.

Zajmujemy miejsca przy stole w restauracji, której zdecydowanie przydałyby się gruntowne porządki i sprawna klimatyzacja. Tata M jest dumny ze swej niespodzianki. Pociera jedną dłonią o drugą i klepie się po brzuchu, szykując się na ucztę, podczas gdy we mnie wszystko się wywraca od zapachu krwi i boję się, że nie zdołam przełknąć tego trochę zbyt świeżego mięsa.

Tata M wymienia z karłem kilka słów po arabsku, na co mężczyzna przerywa pracę nad czwartym baranem i idzie nas obsłużyć. Niedbale wyciera umorusane krwią ręce w jakąś starą szmatę walającą się po kontuarze, po czym serwuje nam okazałe porcje świeżutkiej baraniny. Mój M bez wahania zatapia zęby w *mechoui*. Nieśmiało idę w jego ślady i odkrywam wybornie delikatne mięso. Ale nie mogę wyrzucić z pamięci obrazu wykrwawiających się zwierząt zawieszonych za nogi, z wywalonymi ozorami i strugami krwi spływającej po szyi. W głowie kielkuje mi myśl o wegetarianizmie.

Poddaję się. Moje ciało jest zdrętwiałe z zimna. Wychodzę, opuszczam je. Unoszę się ponad sobą. Z góry przyglądam się swoim prawie zwłokom leżącym na ziemi, którymi wstrząsają konwulsje. Uśmiecham się. To koniec. Już więcej nie zaznam cierpienia.

## 26. Pieskie życie

Koniec lutego. Ląduję w Kanadzie po długiej podróży z dwunastogodzinną przesiadką w Paryżu. Padam ze zmęczenia, a do tego jestem przygaszona i smutna, że musiałam wyjechać z kraju piasku bez ukochanego, bo czuję, że nie zdołałam zrobić nic, by go sprowadzić do domu. Do mojego domu. Naszemu rozstaniu na lotnisku w kraju M towarzyszyły silne emocje. M nie chciał mnie puścić i pożegnaliśmy się z pękniętym sercem, obiecując sobie, że zobaczymy się za mniej niż miesiąc, bez względu na wszystko. Jeżeli on nadal nie będzie mógł przyjechać, ja pojedę do niego.

Jest mi ciężko na duszy i już za nim tęsknię. Znużona, odbieram wreszcie mój zbyt ciężki bagaż, który kilkakrotnie mija mnie na taśmie. Udaje mi się go wreszcie wyłuskać przy pomocy jakiegoś uprzejmego pana, który zlitował się, widząc, jak na próżno szamoczę się z masywną walizką, a potem puszczam i ponawiam próbę z kolejnym okrążeniem.

Przed wyjazdem przyszły do mnie jedna po drugiej wszystkie okoliczne mamy, prosząc o zabranie paczki dla studiującej w Montrealu latorośli. Te słynne czarne reklamówki zdobiące przydrożne kaktusy. Są dosłownie wszędzie, zaśmiecając krajobraz i środowisko. Przywiozłam więc w walizce wszystkie te prezenty dla przyjaciół M, nie wiedząc, co zawierają. Są tak pieczołowicie zapakowane, że nie odważyłam się ich pootwierać.

Posuwam się naprzód w kolejce, a w oddali, z każdym odprawionym podróżnym wychodzącym przez automatyczne drzwi, które rozsuwają się i zamykają zaraz potem, widzę moich rodziców wypatrujących mnie na palcach, z wyciągniętą szyją. W końcu mnie zauważyli. Wyrzucają ramiona w górę i machają do mnie w euforii. Nawet z oddali wyraźnie wyczuwam ich

ulgę i niezmierną radość. Sama tak samo się cieszę i w jednej chwili znowu jestem ich małą córeczką. Opuszczam ramiona i wreszcie udaje mi się rozluźnić.

Przede mną malutki piesek ciągnie za sobą na smyczy spacerującego celnika, który uważnie lustruje tłum pasażerów. To zdaje się wyżeł, uwielbiam te słodkie zwierzaki. Wzrusza mnie jeszcze bardziej, kiedy podchodzi do mnie i całym ciałem rozwała się na mojej walizce. Jestem już przy drzwiach. Za każdym razem, kiedy się otwierają, widzę ojca obejmującego mamę ramieniem. Dzieli mnie od nich dwa kroki, lecz nagle okazuje się, że piesek wcale nie jest taki uroczy jak sądziłam, a celnik jeszcze mniej.

– Pani pozwoli na prawo.

Zauważam konsternację na twarzach moich rodziców, kiedy widzą, jak odbijam w bok, zamiast wyjść na halę. Pod wpływem zmęczenia i bezsilności do oczu nabiegają mi łzy. W miarę jak celnicy przetrząsają moją walizkę, narasta we mnie obawa, a już do reszty tracę oddech, kiedy jeden z nich podnosi na mnie ciężki wzrok i pyta, co przewożę w tych czarnych workach.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam bezmyślnie.

Otwiera każdy pakunek, jeden po drugim, i wyciąga kolejno puszki tuńczyka, herbatniki LU, tubki *harissy* i domowe wypieki. Oddycham z ulgą, myśląc jednocześnie, że to kompletny absurd wysyłać rzeczy, które bez problemu można znaleźć w arabskiej dzielnicy w Montrealu. Ale pies graniczny nie wariuje z powodu puszki tuńczyka... Celnik przeciera reklamówki kawałkiem białego materiału, a drugim omiata wnętrze mojej walizki. Przepuszcza je przez jakąś maszynę, która, ku mojemu zdumieniu, zaczyna donośnie pikać. Celnik pyta mnie, czy zażywam narkotyki, czy pozostaję w kontakcie z osobami stosującymi narkotyki i czy przewożę substancje odurzające. NIE! NIE! I JESZCZE RAZ NIE!

– Proszę pani, skaner wykazuje, że przewozi pani narkotyki. Na pani szczęście wykryliśmy tylko znikome ślady, więc nie ma podstaw do aresztowania.

Mała dziewczynka we mnie ma ochotę zaskowyczeć z ulgi, ale się powstrzymuję.

– Możliwe, że znalazła się pani w miejscu, gdzie przyjmowano narkotyki, albo te czarne torby miały z nimi kontakt. Dla pani własnego bezpieczeństwa pouczam panią, żeby przy okazji następnych podróży nie godzić się na przewożenie cudzych rzeczy.

Unoszę głowę i, skonana, dziękuję mu cicho przez ściśnięte gardło. Celnicy wychodzą, zostawiając mnie z elementami mojej bielizny rozgrzebanymi na całym stole, walającymi się wokół pootwieranymi kosmetykami i wybebeszoną walizką. Byle jak wciskam wszystko z powrotem, marząc tylko o jednym: odszukać rodziców, którzy na pewno zaczynają niepokoić się tym długim oczekiwaniem.

Nie znoszę celników.

W Afryce jest taki pies, którego M nazwał po prostu Pies. Prześliczny jamnik z domieszką jakiejś innej rasy, pewnie kundla, jak twierdzi M. Zwierzak mieszka między domem a przybudówką M, w kojcu, który prawdopodobnie kiedyś służył za składzik. Drobną skrawek przestrzeni, nie więcej niż trzy metry na trzy. Nie można powiedzieć, że Pies ma pieskie życie. Pieskie życie byłoby lepsze od tego, które otrzymał.

Mam nadzieję, że zdechł. Strasznie to brzmi, ale kiedy przypominam sobie Psa, rodzi się we mnie sprzeciw i chciałabym oszczędzić mu cierpienia.

Pies nigdy nie widział świata zewnętrznego i od urodzenia tylko krąży jałowo po swojej celi. Na swoje szesnaste urodziny mój M zażyczył sobie zwierzaka. A kiedy go dostał, zamknął go w tej mikroskopijnej klatce i od czasu do czasu rzuca mu resztki jedzenia pozostałe z posiłku. Codziennie zabawia się, kładąc jedzenie na ziemi pod drewnianymi drzwiami, dokładnie tuż poza zasięgiem Psa. Na koniec ciska mu je ponad ogrodzeniem i zapomina o jego istnieniu aż do następnego wieczora.

Psa nikt nigdy nie głaskał, nie dał mu pobiegać, nie pozwolił mu żyć. Czasem w nocy słyszałam jego żałosne skomlenie. Wiedział, że nie może czekać ani wyć. M opowiedział mi, jak go wspaniale wyszkolił. Kiedy Pies był mały i zaczynał czekać, M wchodził do jego komórki i ciskał nim o ścianę. Któregoś dnia podczas mojej pierwszej wizyty, gdy przysługiwały mi jeszcze specjalne prawa, uprosiłam M, żeby go wypuścić do ogrodu przed domem. Gdy otworzyłam drzwi, Pies wypadł na dziedziniec i, przerażony,



puścił się przed siebie na oślep jak opętany.

– Sama widzisz – powiedział M. – Właśnie dlatego musi być zamknięty, on jest szajbnięty, ten pies.

Koniec Psa.

## *27. Odzyskany oddech*

Nareszcie rzucam się w ramiona moich rodziców, którzy już nie mogli się mnie doczekać, i udaje mi się w końcu normalnie odetchnąć. Moja mama, z zapłakaną twarzą, otwiera ramiona i przytula mnie do siebie z siłą całej swojej matczynej miłości. Napawam się jej zapachem, zawsze tym samym. W końcu osuwam się na jej ramię, skrajnie wyczerpana po tej nerwowej podróży. Następnie zapadam się w ramiona ojca, uszczęśliwionego z powodu mojego powrotu. Jak zwykle mama i tata zadają mi mnóstwo pytań, jak minęła podróż, i chcą wiedzieć, czy M będzie ostatecznie mógł wrócić do kraju. Status quo.

Przemilczam wybuchy agresji M i upiększam nieco moją opowieść, wspominając tylko o interesujących i wesołych przeżyciach. W domu na wyścigi witają mnie siostry i czuję się otoczona absolutnie bezwarunkową miłością, taką jaką może dać tylko rodzina. Czeka na mnie mój pokój i moje wygodne łóżko. Czuję się bezpiecznie w roli małej córeczki i na jakiś czas moje zgryzoty uchodzą w cień.

Mama przygotowała kolację: swój słynny makaron z owocami morza w sosie śmietanowo-winnym, który tak uwielbiam. Jest najlepszą kucharką na świecie. Odnajduję mój znajomy świat, mojego psa Mousse, którego tulę ze zdwojoną czułością, jakiej nie mogłam okazać Psu w Afryce. Rodzice pozwalają mi nawet zadzwonić do mojej najlepszej przyjaciółki Martine, która studiuje na Kubie i za którą niesamowicie tęsknię.

Świeżo wyprana pościel pachnie lawendą. Mama nie może sobie odmówić i – tak jak wtedy, kiedy byłam mała – przychodzi do mnie wieczorem pogłaskać mnie po włosach i życzyć mi dobrej nocy, zanim zapadnę w głęboki, kojący sen. Nie sprzeciwiam się, bo tak bardzo się za nią

stęskniłam.

## 28. *Bezpowrotnie*

**M**arzec. Nie daję rady, jestem u kresu sił. Codziennie dzwonię za granicę dwa razy, przy czym każda rozmowa trwa około godziny i to mnie wykańcza. Mój M chce wiedzieć o wszystkim, co robię w najdrobniejszych szczegółach. Nie może znieść tego, że nie ma mnie u jego boku. Bywa, że ponoszą go nerwy i wtedy wyzywa mnie od najgorszych, a zaraz potem staje się czarującym księciem, który mnie tak urzekł. Czuje się jak w klatce i błaga mnie, żebym przyjechała, ponieważ jestem JEGO kobietą i to nienormalne, że mnie przy nim nie ma. Przesyła mi faksem listy miłosne, jedne piękniejsze od drugich, a ja ze swej strony robię to samo. Zachęca mnie też do czytania rozmaitych tekstów, żeby Allah miał mnie w swojej opiece, i postanawiam gruntownie zapoznać się z Koranem, żeby lepiej zrozumieć religię mojego mężczyzny i dać mu powód do dumy.

Tymczasem spędzam długie godziny w montrealskim konsulacie, próbując wyrzucić presję, i udaje mi się nawiązać kontakt z Ministerstwem Sprawiedliwości. Staram się, jak mogę, popchnąć sprawę do przodu, ale, jak twierdzi M, powinnam raczej być tam i pertraktować na miejscu w ambasadzie Kanady, a nie tutaj.

Na prośbę M jego przyjaciele opiekują się mną i „chronią”. Codziennie dzwonią albo wpadają z wizytą, a zawsze po zajęciach czeka na mnie najmłodszy członek bandy, który ma za zadanie upewnić się, że nikt się do mnie nie przyczepia, chociaż mnie się wydaje, że chodzi raczej o to, żebym przypadkiem nie nawiązała nowych znajomości. Potem telefonicznie albo mailowo zdają M raport. Nieustannie czuję na sobie oczy śledzące każdy mój ruch, wolę więc nie spotykać się z nikim, żeby potem nie było awantury. Stopniowo odcinam się od otoczenia i chodzę cała na czarno, chociaż nastąpiła

już wiosna.

Zbliżają się przesłuchania w szkołach teatralnych. Ze wszystkich sił próbuję skupić się na tekstach i przygotowaniach, ale w tyle głowy bez ustanku dźwięczy mi surowy głos M jak fałszywa melodia:

– Jak możesz nawet myśleć o tym bezużytecznym zawodzie, kiedy ja tkwię tutaj jak w potrzasku? Po prostu nie masz serca, co z ciebie za kobieta? Prawdziwa kobieta opiekuje się swoim mężczyzną i stawia jego dobro na pierwszym miejscu. A ty co? Tylko ci w głowie ten dziwkarski zawód! Chcesz, żeby cię pokazali w telewizji? MOJA kobieta nie będzie się wdzięczyć do kamer.

Tak bardzo chcę być CZYJAŚ kobietą, a zwłaszcza tego mężczyzny, który kocha mnie ponad wszystko. On jeden naprawdę mnie kocha. Jest jedyną istotą, która mnie rozumie i potrafi docenić moją wartość. Gówna prawda. Tego właśnie dnia nauczyłam się kłamać. Zarówno przed nim, jak i rodzicami. Mimo jego nacisków nie chcę rezygnować z zawodu, który sobie wymarzyłam już w wieku lat jedenastu. Ukrywam przed rodzicami moje codzienne telefony za granicę i plan, żeby jak najszybciej znów do niego pojechać. Gram na dwa fronty. Rodzina ma wierzyć, że znów koncentruję się na studiach i szkole teatralnej, a jego zapewniam, że ma absolutną rację i że nie zamierzam brać udziału w przesłuchaniach. Tak, to rzeczywiście dziwkarski zawód.

Zawaliłam przesłuchania w szkołach. Ukradłam pieniądze, które rodzice odkładali na moje studia, odkąd się urodziłam. I kupiłam bilet.

Tej nocy spakowałam walizkę i potajemnie ukryłam ją u ojca w samochodzie, kiedy wszyscy spali.

Następnego ranka wstałam jak zwykle, po czym wsiedliśmy z tatą do samochodu i pojechaliśmy do niego do pracy. Od powrotu z Afryki pracuję u niego w firmie na pół etatu. W południe poprosiłam ojca o kluczyki do samochodu pod pretekstem, że zostawiłam w środku torebkę. Wyciągnęłam walizkę z samochodu i wsiadłam do autobusu na lotnisko.

Nic mnie nie powstrzyma. Jestem zdecydowana i nieustępliwa, nikt mi nie przeszkodzi pojechać do mojego M. Byk o długich blond włosach z głową osła – to cała ja. Urodziłam się w maju, nic na to nie poradzę.

Mając odprawę celną za sobą, gdy nie ma już możliwości odwrotu, znajduję kabinę telefoniczną, wrzucam ćwierćdolarówkę i wybieram numer do taty.

– Tato... – Głos mi się załamuje. – Jestem na lotnisku. Mam samolot za niecałą godzinę... Wyjeżdżam.

Nigdy nie zapomnę głosu mojego ojca, który nagle stał się zupełnie drżący i słaby.

– Sophie... Nie rób tego... Nie możesz, Sophie, córeczko, kochanie, proszę cię. Poczekaj, nie wyjeżdżaj.

Po twarzy spływają mi łzy, ale decyzja zapadła. I żeby na pewno wytrwać w moim postanowieniu, kupiłam bilet tylko w jedną stronę. Bez powrotnego.

– Powiedz mamie, że ją kocham i żeby się nie gniewała. Kocham cię, tato.

I odwiesiłam słuchawkę.

Zostawiłam swoje życie, rodzinę, przyjaciół i samą siebie. Wszystko poświęciłam dla ukochanego mężczyzny i, jak w filmie, gdy samolot oderwał się od ziemi, mnie pękało serce.

## *29. Przepraszam, tato*

**W** biurze mecenasa Savoie mój tata znowu zabiera głos. Widzę, że w tym momencie musi coś dodać od siebie. Może chce, żebym lepiej zrozumiała tamtą jego rozpacz? Już dawno zrozumiałam. Do dzisiaj nie mogę wybaczyć sobie cierpienia, jakie sprawiłam moim rodzicom, tego, że ich okradłam i prawdopodobnie zniszczyłam ich małżeństwo. Mam do siebie żal i nigdy nie uda mi się o tym zapomnieć.

– Od miesiący widzę, jak moja córka mizernieje w oczach i rujnuje wszystko, co budowała przez tyle lat, zarówno swoją osobowość, jak i marzenia o pracy aktorskiej. Poświęciła całe swoje życie dla tego człowieka, którego nie chcemy oceniać, ale który manewruje nią na odległość, to jest dla nas jasne. Razem z żoną próbowaliśmy na spokojnie przemówić jej do rozsądku, ale czasem puszczały mi nerwy i starałem się nią potrząsnąć. Nijak nie udawało się do niej dotrzeć, ani prośbą, ani groźbą. Siłą zaciągnęliśmy ją do psychiatry, bo podejrzewaliśmy u niej depresję, ale kategorycznie odmówiła jakiegokolwiek współpracy. Od miesiący ma w głowie tylko jedno i jesteśmy wobec jej decyzji całkowicie bezradni. Najchętniej bym ją porwał i zamknął jak najdalej od niego. Po tym dniu, kiedy zawiozłem ją do biura, nie wiedząc, że mam jej walizkę w bagażniku, nie widziałem mojej córki przez wiele miesięcy. Było mi ciężko. Czuję się kompletnie bezsilny.

## 30. *W nowym domu*

Mój M przyjechał po mnie na lotnisko i przez długie minuty obejmowaliśmy się bez umiaru, nie mogąc się na siebie napatrzeć i nawzajem nacieszyć słodyczą swoich ust. Biorę jego twarz w dłonie i zaglądam mu w te najczarniejsze, pałające oczy.

– *Y'all baby* (to było nasze pieszczotliwe przezwisko), nie mam biletu na powrót. Przyjechałam na dobre i nie wyjadę, chyba że z tobą.

M z dumą wypina pierś. Przyciska sobie moją głowę do serca i głaszcze mnie delikatnie po włosach. Mój M jest wysoki, więc zapadam się cała w jego ramiona jak w specjalnie dla mnie odlaną foremkę. Drży. Też schudł i jest cały blady. Wygląda na zmęczonego i osłabionego.

– Moja kobieta – mruczy mi do ucha. – Chodź, idziemy.

Ciarki przebiegają mi po plecach. Sposób, w jaki wypowiada „MOJA kobieta” pozostawia mi na dnie gardła niesmak. W tym momencie pojęłam, że mój brak biletu powrotnego daje mu przewagę, której nie zawaha się wykorzystać.

Po raz kolejny pokonujemy trudną drogę do rodzinnej miejscowości M. Rozpoznaję znajomy zapach diesela, ziemi i piasku. Upał wyciska mi na czole kropelki potu. Znów obejmuję wzrokiem krajobraz naznaczony kaktusami i gajami oliwnymi. Ściskam prawą rękę mojego M, podczas gdy on lewą kieruje starym mercedesem i przy pełnej prędkości wymija rozlazłe, pełne siana furmanki i osły wlokące góry śmieci o wiele za ciężkie na ich mizerne możliwości. Mamy przed sobą pięć godzin drogi. M pyta mnie o moje zajęcia w Montrealu. Opowiadam mu najlepiej jak potrafię, co wydarzyło się w ostatnim miesiącu, podkreślając, jak bardzo się męczyłam z



daleka od niego i jak strasznie za nim tęskniłam. Na dworze jest jeszcze jasno. Zachwycam się pięknem tego kraju, który będzie moim domem przez kilka najbliższych tygodni. Tygodni, z których potem zrobią się miesiące.

## 31. Maski opadają

To tyle, mój status gościa to już zamierzchła przeszłość. Uświadomiłam to sobie, kiedy mama M wchodzi do salonu, gdzie przesiadujemy bez końca przed telewizorem, i stawia na stole górę prania. Od mojego przyjazdu minęło kilka dni i M nie przynosi mi już kawy do łóżka. Wstaje rano, wychodzi z mieszkania i pokonuje krótką odległość, jaka dzieli go od domu rodziców. Pierwszego dnia czekałam, aż wróci, ale w końcu mi się znudziło, więc ubrałam się lekko, bo słońce mocno prażyło, i poszłam go szukać. Leżał rozwalony na kanapie w salonie z kawą w dłoni i przygotowanym przez matkę śniadaniem przed nosem.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie, ale napiłabym się kawy – odpowiedziałam z uśmiechem.

– *Y'a Ma!* Przynieś Sophie kawy.

Jego matka stanęła w drzwiach i fuknęła zjadliwie:

– Nie jestem jej służącą. Niech sobie sama zrobi kawy! I niech jeszcze posprząta po tobie!

Nawet mi do głowy nie przyszło, że miałyby podawać mi kawę. Zacerwieniona i z lekko rozchylonymi ustami przetrawiałam jej zmianę w zachowaniu. Spojrzała na mnie wyniośle i z dezaprobatą i rzekła do M:

– I niech się tak nie pokazuje. Co za wstyd.

No i tak. Nie jestem już przyjezdnią. Spuściłam wzrok po sobie. No już bez przesady, ubrałam się w podkoszulkę i krótkie spodenki.

M skrzywił się.

– Słyszałaś. Matka ma rację. To wstyd. Znajomi niedługo wpadną, więc idź się przebrać.

Chciałam zaprotestować, ale żeby nie pogarszać sytuacji i nie prowokować M, wróciłam bez słowa do domku przebrać się w spódnicę do kostek i bluzkę z długim rękawem. Rozumiem konserwatyzm prowincji (bo w dużych miastach młode kobiety są wyzwolone i ubierają się tak, jak chcą), ale nie sądziłam, że będę musiała się mu podporządkować – ja, Amerykanka.

I jak to: znajomi wpadną? Najwyraźniej M nie ustala już ze mną ani nie pyta mnie o zdanie na temat tego, co będziemy danego dnia robić.

Przyjaciele M przesiadują u nas w domu cały czas. Pierwszy przychodzi Ahmed, bardzo wcześnie, jeszcze przed południem, a wychodzi ostatni, późnym wieczorem. Zawsze przynosi dla wszystkich papierosy, jakby to była jego przepustka, żeby się wkupić w łaski towarzystwa. M nie będzie marnował czasu, energii i elokwencji, gdy mu się to nie opłaca. Ze zdumieniem patrzę, jak wszyscy okoliczni chuligani zbierają się wokół M, jakby był najbardziej pociągającą na planecie przynętą. Ahmed ma trzydzieści cztery lata i wciąż mieszka z rodzicami, bo jeszcze nie znalazł sobie żony. Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, ile ma lat, dawałam mu raczej bliżej czterdziestu pięciu. Jest najstarszy spośród dziewięciorga rodzeństwa, z których najmłodszemu dopiero co zdjęto pieluchy, i dzieli pokój ze swoim młodszym bratem. Jest suchy, ma zapadłą twarz poprzecinaną bruzdami i przygarbione ramiona. Przyglądam mu się. Ma smutne oczy uciekające w dół i mówi tylko o jednym: jak znaleźć sposób, żeby wyrwać się z wioski i urządzić się za granicą. Nie pracuje i żyje na utrzymaniu rodziców. Zwyczaj nakazuje, żeby dzieci opuściły dom dopiero, gdy zawierają małżeństwo.

I tak Ahmed i M rozsiadają się na dziedzińcu i rozprawiają całymi godzinami, grając w karty i paląc papierosy – sławetne marsy, najtańsze. Zaczynam nienawidzić tego dziedzińca. Wysokie, betonowe mury okalające dom i przybudówkę zasłaniają mi widok na ulicę. Siadam z nimi i próbuję włączyć się do rozmowy, ale nic z tego, bo mam zbyt słabe rozeznanie w języku. Rozmowa toczy się głównie po arabsku i, chociaż co rusz wychwytyuję francuskie słowo, to nie wystarcza, żebym mogła brać udział w konwersacji. Przeważnie spędzam więc czas nad ulubioną książką w

oczekiwaniu na telefon z ambasady informujący, że M może wrócić do mojego kraju. Tak bardzo bym tego chciała! I tak bym chciała, żeby Ahmed wreszcie się usunął, żebyśmy mogli z M pobyć trochę we dwoje. Minęło ledwie kilka dni od mojego przyjazdu, a już kumple ściągają do niego jak ćmy do światła.

Mama M staje w drzwiach wejściowych i podaje mi aparat telefoniczny:

– Sophie, dzwonią twoi rodzice.

Czuję gwałtowne spiętrzenie emocji. Po drugiej stronie czeka mama. Wiem, że M nienawidzi moich rodziców i wszystkiego, co ma związek z moją północnoamerykańską kulturą. Wzbiera we mnie stres. Z jednej strony doskwierało mi ich milczenie, odkąd tu przyjechałam, ale z drugiej obawiam się, że w gardle urośnie mi wielka kula i nie zdołam jej przewyciężyć. Boję się, że nie zapanuję nad łkaniem. Od chwili, gdy samolot oderwał się od mojej ojczyzny, próbuję zapomnieć o rodzicach i głęboko zamrozić swoje uczucia, bo inaczej ból jest nie do zniesienia.

M przygląda mi się kątem oka. Jest tak spokojny, że to aż podejrzane. Podnosi do góry palec wskazujący na znak, żebym zaczekała. Nie rozumiem, ale posłusznie trwam ze słuchawką ciasno przyciśniętą do ucha i się nie odzywam. Wiem, że tych kilka sekund zwłoki kosztuje rodziców majątek. M znika w domu i słyszę odgłos podnoszonej słuchawki drugiego aparatu. Ja chyba śnię. On naprawdę myśli mnie podsłuchiwać?

Rodzice dzwonią razem i, kiedy udaje mi się wykrztusić w miarę spokojne powitanie, mama wybucha płaczem i, z typową dla siebie słodyczą, zadaje mi masę pytań. Zachowuję równowagę i dystans. Radosnym głosem melduję, że dojechałam bez przygód i wszystko u mnie w porządku. Próbowali się do mnie dodzwonić wiele razy, ale nigdy nie mogłam podejść do telefonu zgodnie z tym, co słyszeli od mamy M. Zaciskam zęby. Jak ona mogła tak ich okłamywać i w ogóle po co? Mówię im, jacy jesteśmy z M szczęśliwi, że jesteśmy razem i że robimy wszystko, co się da, żeby otrzymał wizę. Wymyślam tak dłuższy czas, tworząc wizję jakiegoś życia z bajki, a naprawdę chcę tylko wrzasnąć, że popełniłam błąd, że nigdy nie powinnam była znowu tu przyjeżdżać, że szlag mnie trafia z nudów, że M jest dla mnie niemiły i nic go nie obchodzi. Tak bardzo bym

chciała wyznać im, że jest mi źle i że potrzebuję biletu w drugą stronę. Kończymy rozmowę, umawiając się na telefon raz, dwa razy w tygodniu.

– Macie pozdrowienia od M – mówię – i całej rodziny. Wszyscy strasznie by chcieli was poznać (nieprawda).

W chwili, gdy odkładam słuchawkę, M przechodzi obok, taksując mnie przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów. Znika w domku, po czym wyłania się znów z moim paszportem w dłoni. Wsuwa go sobie do kieszeni spowolnionym ruchem, rozmyślnie, żebym dobrze widziała.

## 32. *Rozbiegane bestie*

To dla mojego bezpieczeństwa, oznajmia. Mój paszport jest o wiele bezpieczniejszy w jego rękach niż w mojej walizce w mieszkaniu, skąd każdy mógłby go łatwo podwędzić, choćby nawet któryś z jego znajomych. Nie dowierza nikomu, sprawa jest poza dyskusją. Mój paszport jest w bezpiecznym miejscu, które zna tylko on sam. Przyznam, że trafiają do mnie jego argumenty, ale to, że podsłuchiwał moją rozmowę z rodzicami, i że bez pytania zawłaszczył sobie mój paszport, budzi moją nieufność. Co go znowu ugryzło? Skąd naraz ta paranoja?

– Nie szukaj robactwa tam, gdzie go nie ma – odpowiada twardo. – Wychodzisz dziś, więc lepiej się zachowuj.

À propos robactwa! Kiedy podniosłam dziś rano chodnik w mieszkaniu, żeby pod nim zamieść, aż wrzasnęłam na widok chmary owadów z długimi czułkami, które zwróciły się w moją stronę. Wypadłam z domu, wymachując rękami i otrzepując się nerwowo z obawy, że mnie oblażą. Okazało się, że pod dywanem zadomowiło się stado karaluchów, nie licząc tych na ścianie w pokoju i tych pod kanapą. Uniosłam lewą nogę i z chrzęstem rozgniotłam jednego, po czym uciekłam na dwór. Zaalarmowany moim krzykiem M wychynął z głębin swojej telewizyjnej stagnacji i przyszedł mi pomóc. Nie znosi karaluchów tak samo jak ja i wspólnie, łopata i środkiem owadobójczym, wytlukliśmy te rozbiegane bestie. Mieliśmy też przy tym z siebie niezły ubaw, gdy razem, każde z łopata, czyhaliśmy na owady pierzchające w tempie olimpijskich sprinterów. Pokładaliśmy się długo ze śmiechu i za nic nie mogliśmy się uspokoić. Cudownie było tak się razem pośmiać – tak dawno już nam się to nie zdarzyło. Napięcie prysnęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a M wyrwał się ze swego ponurego

nastroju.

Ponieważ nie mam prawa wychodzić sama z domu, cieszę się jak wariatka na tę niespodziankę, jaką obmyślił dziś dla mnie mój M. Wiem, że nie jestem tu już „na wakacjach” i życie wygląda inaczej niż za moich wcześniejszych pobytów, ale zakaz wychodzenia na serio mnie dołuje i obniża moje poczucie własnej wartości. Odkąd tu przyjechałam, nie robię zupełnie nic. Całymi dniami oglądam TF1, wypalając swój przydział papierosów. Nie mam ani grosza, bo spłukałam się na bilet lotniczy, więc moje papierosy, jedzenie i wszystko inne pokrywa M. Nie ma mowy, żebym znalazła tu pracę. Zresztą, nie zakładam, że mielibyśmy tu zostać na tyle długo. Koniec końców postanowiliśmy zadowolić się tym, co mamy, i przetrwać przy wsparciu rodziców M.

Świadomość, że jestem od kogoś zależna to najgorsze uczucie, jakie znam. Po historii z M przez długi czas nikomu nie pozwalałam się o siebie troszczyć i sobie dogadzać. Kwestia ambicji, rzecz jasna, ale w ogóle zawsze miałam awersję do wszelkich form podległości. Lubię być wolna i teraz jak ognia unikam sytuacji, w których czuję się podporządkowana lub zobligowana.

Zakładam koszulę, która wydaje mi się odpowiednia, i długie spodnie z białego lnu, idealne na taki ciepły, gwiazdzisty wieczór jak dzisiaj. Gwiazdy tutaj są fenomenalne i rozciągają się aż po horyzont. Miejscowość jest słabo oświetlona, nic więc nie przesłania spektaklu na nieboskłonie. Podziwiam widok przez dłuższą chwilę z głową zadartą do góry, gdy do moich uszu dobiega wezwanie na modlitwę dudniące w głośnikach w całej wsi. Wsłuchuję się w tę nawołującą melodię i korzystam z okazji, żeby pomodlić się po swojemu. Modlę się za moich rodziców, żeby mogli zrozumieć moją decyzję. I za M, żeby wyrwał się z tego marazmu, odzyskał radość życia i wrócił do dawnego siebie. Modlę się za siebie, żebym miała siłę go wspierać i przetrwać z nim tę próbę i modlę się, żebyśmy jak najszybciej mogli razem powrócić do Kanady.

Najwyraźniej zapomniałam pomodlić się, żeby dzisiejszy wieczór przebiegł bez konfliktu. M jest wyjątkowo zadowolony z mojego wyglądu i popisuje się mną przed znajomymi na imprezie przy publicznym basenie. Mężczyźni i kobiety tańczą w rytm muzyki raï, stoły uginają się od jedzenia,

a z palm zwisają baloniki. Krąży nawet alkohol potajemnie wniesiony przez co większych śmiałków, w tym przez mojego M, który taszczy ze sobą plecak pełen lokalnego piwa. Nie wiem, czy to z braku kontaktu z ludźmi, czy z powodu długotrwałego zamknięcia, ale rozsadza mnie taka energia, jak małą dziewczynkę pierwszego dnia w szkole. Praktycznie podskakuję w miejscu. Ciągnę M za rękę na środek parkietu, a jego koledzy w tym czasie zajmują wolny stolik nad wodą. Na ułamek sekundy czuję się zupełnie jak wtedy na dachu wieżowca w Montrealu, idealnie zjednoczona z moim mężczyzną. W pewnej chwili jednak wydaje mi się, że energia mojego M się odmienia, i powracam do rzeczywistości: nie jestem w Montrealu, jestem w jakiejś zapadłej dziurze w Afryce, a mój M nie chce już tańczyć.

– Dosyć – mówi i rusza do stolika, przy którym czeka już na niego białe, plastikowe krzesło.

Idę za nim i siadam obok. Całą przyjemność psują mi spojrzenia grupy mężczyzn, którzy gapią się na „białą laskę” i działają M na nerwy.

– Wracasz do domu! Jak zwykle musisz zrobić wokół siebie cyrk, żeby wszyscy się na ciebie gapili. Nie można cię normalnie wypuścić między ludzi – syczy.

Protestuję i przysięgam, że nie będę już tańczyć i tylko spokojnie posiedzę sobie przy nim, ale jest nieugięty.

– Ahmed, odwieź ją.

I moje wyjście kończy się tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło. Po jakie licho polazłam na parkiet? Co prawda kiwało się tam już kilka innych dziewczyn, z czego jedna bardzo ładna, nawet mój M się jej przyglądał.

Jestem rozżalona i zła na siebie, na niego i na mężczyzn, którzy się na mnie patrzyli. Zamykam się w mieszkaniu, za jedyne towarzystwo mając nasze karaluchy. Tego wieczoru płaczę. Próbuję pojąć, dlaczego mój M tak się zmienił. Tęsknię za swoim życiem, za rodzicami i przyjaciółmi. Powoli, bardzo powoli zaczynam pakować walizkę. Tak naprawdę nigdzie się nie wybieram. Zresztą nie mam ani paszportu, ani pieniędzy na jedną z tanich taksówek na lotnisko. Poza tym, żeby dotrzeć na postój taksówek, musiałabym się tłuc przez całą wieś w środku nocy, pieszo i z bagażem. Chcę tylko, żeby M przyłapał mnie na pakowaniu, żeby wziął mnie w ramiona,



przeprosił i błagał, bym została, i żeby mi obiecał, że będziemy razem szczęśliwi do końca życia.

Wraca niewiele później ze swoją ferajną i faktycznie zastaje mnie przy pakowaniu. Pozostali czekają na dworze. Z krzywym uśmiechem zaczyna mi bić brawo. Uderza dłonią o dłoń, a ja stoję naprzeciw i czuję, jak w środku wzbiera we mnie wściekłość. Mówi mi, że dobrze go zrozumiałam.

– Brawo, *ya kahba*. Czytasz w moich myślach. Wynoś się, nie potrzebuję tu dziwki, która wiecznie musi z siebie robić widowisko.

Trzaska drzwiami i siada na dziedzińcu wśród swoich wielbicieli.

Nie wiem, co robić. Mój plan zawiódł mnie w ślepy zaułek. Rozpakowuję walizkę i idę za nim. Podchodzę do niego nieśmiało i otaczam go ramionami, szepcząc mu przeprosiny do ucha. Rozluźnia się i sadza mnie sobie na kolanach. Resztę wieczoru spędzam w ramionach mojego mężczyzny, co jakiś czas przepraszając go po raz kolejny, słuchając dźwięków ich arabskiej rozmowy i tonąc we własnym świecie.

### 33. *Drzemiący wulkan*

Jest połowa kwietnia i z każdym dniem robi się coraz bardziej gorąco. Wioskę ogarnęła nieoczekiwana fala upałów. Ponieważ to, co zwykle noszę w trakcie lata w Ameryce, jest tu niedozwolone, mogę tylko śnić o morzu i kąpeli w rajskich śródziemnomorskich wodach, gotując się w wiosennym swetrze z długim rękawem. Marzy mi się też jakaś podróż sam na sam z M, żebyśmy znów mogli się do siebie zbliżyć. Od pamiętnego wieczoru nad basenem, który skończył się awanturą, całe dni spędzamy przed telewizorem pod wentylatorami i obijamy się beczynniami po domu, próbując zabić czas. Nie proszę go już o wyjście, bo wolę się nie narażać na kolejny wybuch.

Mój M nieco złagodniał. Jego wewnętrzny wulkan chyba na razie przysnął. Czasem wychodzi kupić nam butelkę coli, ale zaraz potem wraca, na całe szczęście, bo ilekroć przekracza próg, w głowę zachodzę, jak długo przyjdzie mi tym razem czekać – samej, w otoczeniu betonowych murów.

Czasem, kiedy M nie pogrąża się w swojej apatii, mam wrażenie, że moglibyśmy zawojować świat. W te dni sprawia, że czuję się piękna jak antyczna bogini. Moje ego się regeneruje. Chłonę jego słowa i skrzętnie chowam je do małej szufladki w głowie, żeby potem karmić się nimi w najczarniejszych chwilach. Któregoś ranka nawet przygotował dla mnie kawę, więc dostałam swoją dawkę czułości, innym razem kupił nam na lunch *kesra bech'ham*, smażoną na jagnięcym tłuszczu bułkę z mięsem lub serem. Sprzedają je na stoisku na rogu ulicy, skąd czasami do domu dociera zapach pieczywa, szczególnie wczesnie rano, kiedy piece idą w ruch przed śniadaniem.

Po obiedzie kochamy się. Czepiam się kurczowo tych cudownych chwil, kiedy mogę na moment odżyć.

## 34. Obrączka na palcu – pętla na szyi

Pobraliśmy się 25 kwietnia 2001 roku. Nie było żadnych oficjalnych oświadczeń, zostało mi to raczej przekazane w formie komunikatu, któremu nie miałam się jak przeciwstawić. Od małego marzyłam o tym, jak przez jedną noc w życiu królować na wielkim przyjęciu w pysznej, bufiastej sukni przystrojonej koronkami i białymi kwiatami. Już wtedy obmyślałam sobie cały plan: wyjdę za mąż, zanim skończę dwadzieścia cztery lata, zaraz potem urodzę dzieci i zamieszkać w ogromnym domu z basenem i ogrodem. Po prostu *american dream*.

Któregoś wieczoru, gdy rozprawiamy razem o islamie, a M wyjaśnia mi podstawowe zasady, w oczach pojawia mu się nagły błysk. Nieoczekiwanie stwierdza, że nie może już znieść tego, że nie jestem jego w oczach Boga i że musimy się jak najprędzej pobrać. Prawda, że daleko temu do mojej wizji wzruszających oświadczeń z osłupieniem i łzami w pakiecie. Rozbawiona jednak tym spontanicznym pomysłem, każe mu przynajmniej upaść na kolana i oświadczyć się jak należy, co też posłusznie czyni.

– Sophie, dziś wieczorem pod moim niebem proszę cię, żebyś została moją żoną i żyła ze mną w pełnej przyzwoitości. Chcę, żebyś była moja przed Allahem.

Przyjmuję oświadczenia i rzucam mu się na szyję, obsypując go gorączkowo pocałunkami. A może, kiedy się pobierzemy, Bóg przywróci spokój w naszym życiu i złagodzi huśtawki nastrojów M, a jego wewnętrzny wulkan już więcej się nie przebudzi? Może będzie mu łatwiej ubiegać się o wizę, może ślub jest kluczem do naszego szczęścia? Niemniej, zakładając mi na palec obrączkę, tym samym zawiązuje mi pętlę na szyi, a mój podpis zatwierdza pakt z diabłem. Nikt nie chce być żoną potwora.

Rodzicom przekazuje nowinę tak po prostu. Ze swej strony nie mogę się doczekać, kiedy im powiemy. Oczami wyobraźni już widzę scenę z filmu: ja i M, w otoczeniu rodziny i przyjaciół, uroczyście ogłaszamy naszą rewelację. Ale gdzie tam. Z najwyższą obojętnością M zamawia u matki kuskus na kolację i, gdy siedzimy przy stole, mówi im zwyczajnie, że za trzy dni wieczorem pobieramy się w wiejskim urzędzie i że w ten sposób nie muszą się zwalniać z pracy.

Jego ojciec, jak to on, mówi „*behi*”, czyli po arabsku „dobrze”.

Mam wrażenie, że w ciągu całego mojego pobytu u nich tata M nie wypowiedział nawet jednego pełnego zdania. Z jednym wyjątkiem, pamiętam... Wrócił do domu pijany, a ja siedziałam na dworze samotna jak nigdy, z okropnym bólem brzucha. Byłam tu już od miesięcy bez żadnego kontaktu z rodziną i przyjaciółmi. Tata M usiadł koło mnie na schodach i wymamrotał coś dziwnego:

– Wiesz... Gdyby coś wam się nie układało z moim synem, po prostu odejdź i tyle. Jasne? M nie jest łatwy do życia.

Podniosłam głowę zdziwiona tak bezpośrednim wyznaniem, w czym zapewne pomógł mu alkohol. W jego oczach zobaczyłam współczucie. Dobrze znał jego wybuchy i humory, nie raz widział brutalność i furję, z jaką niszczył wszystko na swojej drodze, i chciał mnie w ten sposób ostrzec. Nie było potrzeby, żebym znosiła bestialstwo oraz terror jego syna.

A więc *behi* ze strony ojca i „Ach tak?” ze strony matki. Rechocze cicho, nie rozumiem dlaczego, a potem ironicznym i protekcyjnym tonem pyta, co mam zamiar na tę okazję włożyć. Cóż, nie mam w torbie białej sukni Kopciuszka, więc mama M proponuje, żebym przejrzała jej garderobę i wybrała sobie coś ładnego. Nie chcę jej robić przykrości, więc w dniu mojego ślubu wystąpię w jej kreacji, chociaż jest ode mnie o ponad głowę niższa i kilka rozmiarów szersza... Znowu próbuję się przypodobać.

Dzień D.

Jestem gotowa. Dużo czasu spędziłam na skręcaniu moich długich blond włosów, bo M nie pozwolił mi iść do kobiety, która czesze dziewczyny we wsi, bojąc się, że mogłaby ogolić mnie na zero, albo z czystej zazdrości ufarbować mi włosy na czarno.

– Mówię ci, Sophie, kobiety tutaj to prawdziwe żmije.

Nie wiem, czy wmawia mi te teorie, żeby mnie chronić czy lepiej kontrolować, czy też tutejsze kobiety naprawdę są takie. Wiem tylko, że nie mam już zaufania zupełnie do nikogo, nie otwieram się przed nikim i rozmawiam wyłącznie z M.

Wpięłam we włosy kwiaty z białego materiału i zrobiłam dyskretny makijaż: pociągnęłam cieniutkie czarne kreski na powiekach, potem nałożyłam tusz i trochę różu, żeby ożywić policzki. Wreszcie niechętnie zdjęłam szlafrok i włożyłam strój wybrany przez mamę M... Gdyby to ode mnie zależało, poszłabym do ślubu w koszuli nocnej. Moja podomka jest przynajmniej biała i pasuje do mojej wiotkiej figury.

A tak wyglądam jak fioletowy ziemniak. Przez część nocy mama M próbowała przerobić swój kostium, ale mimo jej tymczasowych poprawek wcale nie leży na mnie lepiej. Czuję się brzydka, brzydka, brzydka i zwyczajnie śmieszna. Oddycham głęboko, żeby się nie rozmazać, ale uporczywie powracająca myśl o mojej mamie skutecznie psuje wszystko. Co ja wyprawiam? Wychodzę za męża bez moich rodziców, za człowieka o nieobliczalnym charakterze, w kraju, który mnie nie chce, w otoczeniu obcych i ubrana w fioletowy habit, w dodatku na mnie za duży. Niedobrze mi. Mamo. Gdzie jesteś, mamo? Stojąc sama w mieszkaniu, uspokajam oddech i staram się o niej zapomnieć. To jest piękny dzień, M wsunie mi obrączkę na palec, a więc zdarzy się to, o czym marzę od maleńkości i wszystko się wreszcie ułoży. Poza tym mam nadzieję, że po ślubie łatwiej nam będzie sprowadzić M z powrotem do Kanady. Osuszam łzy i poprawiam makijaż. Wychodzę z domku zamaszystym krokiem z uśmiechem przyklejonym do opalonej twarzy.

Mój M ma na sobie białą, dopasowaną koszulę lekko rozpiętą pod szyją, odsłaniając fragment jego boskiego ciała. Jest zniewalający.

Idziemy pieszo do urzędu, który znajduje się kilka kroków od domu. Przynajmniej raz mogłam włożyć buty na obcasie i spodziewam się, że dzisiaj nikt nie będzie mi miał tego za złe.

Spacer wiejskimi uliczkami dobrze mi robi i widok czegoś innego niż tych przeklętych murów pozwala mi lżej oddychać. Mijamy kilku znajomych

popijających kawę, którzy pozdrawiają nas skinieniem dłoni. Mam wielką ochotę wziąć mojego mężczyznę za rękę, ale to zabronione w miejscach publicznych. Muszę sobie powtarzać, że nie jestem już tylko turystką. Może wszystko się zmieni, jak tylko poświęcimy nasz związek przed Bogiem?

Wioska jest malutka, więc w krótkim czasie docieramy do urzędu, gdzie czeka na nas pierwszy zastępca mera w roli urzędnika stanu cywilnego. M i ja siadamy naprzeciw jego biurka, a nasi świadkowie, pani i pan M, zajmują miejsca za nami.

Urzędnik mówi po arabsku. Nic nie rozumiem, więc M cicho tłumaczy mi jego słowa. Małżonkowie mają się o siebie „troszczyć”. Mają obowiązek wychować potomstwo i wykonywać swoje powinności małżeńskie „zgodnie z tradycją i obyczajem”. Mąż, który jest głową rodziny, powinien „w miarę możliwości” dbać o potrzeby żony i dzieci, a żona może coś wnieść, o ile ma jakieś dobra. Urzędnik kończy, prosząc, żeby położyć na stole wykupne. M wyjmuje z kieszeni jednodolarówkę i kładzie ją na wskazanym miejscu.

Urzędnik kontynuuje, tym razem po francusku:

– Czy pani wyraża zgodę na zawarcie związku małżeńskiego i czy bierze pani za męża pana M za równowartość jednego dolara?

Jednego dolara? Rozumiem, że chodzi o symboliczny gest, ale mimo wszystko przełykam ślinę, nie wierząc, że wyszłam za mąż za jednego dolara...

Patrzę na M i mruczę mu na ucho:

– To teraz jest czas na „Tak”?

Potwierdza głową.

Narasta we mnie wzruszenie, ale to nie miejsce ani nie czas na wylewność. Opanowuję się i jednym tchem mówię:

– Tak.

Nigdy nie zapomnę zjadliwego uśmiechu jego matki, która, nie wiedzieć czemu, nagle demonstruje skrajną nonszalancję. Kiedy wymieniamy obrączki, wymyka się jej idiotyczny chichot, ale mam wrażenie, że słyszę go tylko ja. Pewnie wolałaby, żeby jej syn ożenił się z dziewczyną, którą sama

dla niego wybrała przy zachowaniu wszystkich tradycji i rytuałów tych stron. Ale nie, on jak zawsze musi postawić na swoim i ożenić się z Amerykanką, która nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. Wiem, że tak właśnie myśli w głębi duszy. Zresztą, dlaczego miałyby traktować mnie z szacunkiem, gdy widzi, jak odnosi się do mnie jej syn?

M wypowiada swoje „Tak” i otwiera małe, czerwone pudełeczko z moją obrączką. MOJĄ obrączką! Jest złota z kwadratowym brylancikiem w środku. Jestem przeszczęśliwa i niezmiernie dumna, kiedy wsuwa mi obrączkę na palec, bo nawet nie wiedziałam, że zdążył ją dla mnie kupić. Zadbął też o obrączkę dla siebie, którą wkładam mu na serdeczny palec. Mężczyźni tutaj nie noszą złota, więc jego jest posrebrzana, prosta i bardzo wąska.

– Wzięliśmy ślub, *y'all baby!*

Jest szczęśliwy. Trzeba tylko jeszcze podpisać oświadczenia. Moje akta są po francusku, więc mogę przebiec je wzrokiem. Zwracam uwagę na zapis: „Obie strony opowiadają się za wspólnotą majątkową”. Później o tym porozmawiamy, czas nagli i nie chcę roztrząsać tego teraz, przed urzędnikiem i naszymi świadkami – mamą i tatą M.

W domu okazuje się, że nieodłączny cień M, Ahmed, czeka w ogrodzie z tortem zrobionym przez młodszą siostrę, której specjalnie przykazał udekorować go w całości na biało. Rodzice M wrócili do pracy, a ja idę zerwać z siebie to fioletowe gieżło, bo inaczej zaraz pobiegnę rzucić się w pustynię. Tak bardzo bym chciała zadzwonić do rodziców i podzielić się z nimi nowiną, ale tłumię w sobie to przemożne pragnienie. Nie chcę psuć sobie nastroju, a wiem, że wieść o moim ślubie by ich przygnębiła. Przybieram więc moją maskę i chowam tę myśl w najgłębszym zakątku duszy.

Rozliczni przyjaciele przychodzą na kawałek ciasta, z prawdziwym uznaniem odnosząc się do M, człowieka, który ożenił się z „białą”. Następuje wzajemne poklepywanie się po plecach i wymiana pełnych podziwu spojrzeń, a porozumiewawcze kiwanie zgodnych głów mrozi mi krew w żyłach. Mam ochotę wrzasnąć, że pobraliśmy się z miłości, a nie dla papierów.

Zjadłam trzy, jeśli nie cztery kawałki ciasta. Rewelacyjna ta beza! Powinnam być w siódmym niebie, ale nie wiem, dlaczego coś mi zakłóca ten wieczór i tamuje radość. Jest mi tak smutno, że mogłabym umrzeć. Gdzie moi przyjaciele, moja rodzina, moi bliscy? Ślub bierze się raz w życiu i w głębi duszy czuję, że zmarnowałam swoją okazję. Mała Sophie mówiła „nie”, ale duża jej nie słuchała. Stojąc w kącie ogrodu wśród mężczyzn, których nie rozumiem, i z psem rozpaczającym nad swoim sierocym losem, przełykam łzy i zdaję sobie sprawę, że chociaż właśnie wyszłam za mąż, jeszcze nigdy nie czułam się tak bardzo samotna.



## 35. Skopana do snu

M wyszedł dziś rano. Miał iść do kawiarni na nie więcej niż godzinę. Dochodzi południe, a jego ciągle nie ma. Jestem sama w domu i depiluję sobie nogi pęsetką. Przeczytałam już wszystkie książki, jakie znalazłam w mieszkaniu. Dosyć mam bezmyślnych telenoweli, które non stop lecą w popołudniowym paśmie na TF1 albo M6 i nie chce mi się już samej wkuwać arabskiego. Siedzę więc sobie na słońcu zamknięta w czterech murach z dala od cudzych spojrzeń i machinalnie wyrywam sobie włoski jeden po drugim. Włosek za włoskiem, wyszarpuję je po kolei, nisko pochylona i z ciężkim sercem.

To boli, ale w ten sposób czas mija mi szybciej. Od tygodni żyję w zamknięciu, uwięziona za tymi betonowymi murami, i do szalu doprowadza mnie ciągle ten sam widok, godzina za godziną, dzień po dniu. Walę głową w ścianę, drę parkiet paznokciami i krążę po moim więzieniu jak obłąkana. Czasem biorę nóż i nacinam sobie skórę na przedramionach, żeby na chwilę przemieścić źródło bólu. Sprawiam sobie cierpienie na inne sposoby, żeby zapomnieć o codziennej udręce i samotności. W sekrecie przed innymi wypuszczam Psa. Kiedy jestem sama, może biegać po ogrodzie, ile tylko chce i próbuję się trochę z nim bawić, zachowując jednak ostrożność, bo Pies ma skrzywioną psychikę i temperament po swoim panu. Nie wiem, czy jest zdolny mnie ugryźć, ale ewentualne ślady zębów mogłyby mnie zdradzić.

Nad furtką pojawia się czubek ciemnowłosej głowy. Rozumiem, co po arabsku pokrzykuje kobiecy głos po drugiej stronie:

– Halo! Tu Leïla! Jest tam kto?

Rzucam pęsetkę i w pośpiechu rozglądam się za spodniami. Niepewnie

podchodzę do furtki i otwieram. Przede mną stoi piękna kobieta w moim wieku ubrana w zwykły T-shirt i obcisłe dzinsy.

Jestem zakłopotana, bo ja mam na sobie tradycyjny strój, który dostałam od mamy M: granatowe *dzellaba* do kostek z półdługimi rękawami wyszywanymi złotem. Jestem wprawdzie uczesana i umalowana, ale mój ubiór do mnie nie pasuje i odbiera mi pewność siebie i tak stopniowo zanikającą z każdym dniem.

– Dzień dobry – mówi po francusku z wyraźnym akcentem. – Jesteś pewnie nową żoną mojego kuzyna?

Jej pozytywna energia i życzliwość są dla mnie jak świeży powiew. A do tego mówi po francusku! Okazuje się, że jest córką najlepszej przyjaciółki mamy M i właśnie przyjechała do rodziny na kilka tygodni, więc pomyślała, że wpadnie z wizytą. Trochę z szacunku, a trochę z ciekawości, wyznaje otwarcie.

Skoro poza mną nie ma w domu nikogo, przyjdzie później, ale zaprasza mnie dziś po południu do *hammamu*, żeby nieco poprawić sobie wygląd. Mam wielką ochotę się zgodzić. Tyle już słyszałam o tutejszych łaźniach oraz ich salach wodnych i pomieszczeniach parowych w rzymskim stylu, które pozwalają rozszerzyć pory w skórze, ułatwiając głębokie oczyszczenie. Marzy mi się oczyszczenie skóry i może jednocześnie pozbycie się śladów agresji, które mam w kilku miejscach.

Zapytam M, kiedy wróci, ale strasznie bym chciała to zobaczyć i wyjść wreszcie z tego cholernego ogrodu, który do dzisiaj przeklinam.

M ciągle nie ma i powoli zaczynam mieć wszystkiego dosyć. Na chwilę powraca dziewczyna, którą kiedyś byłam, która nikomu nic nie jest winna i sama decyduje o swoim życiu. I tak, kiedy Leïla zagląda ponownie, zbieram się na odwagę i przyjmuję jej zaproszenie.

Idziemy przez wieś po piaszczystych ulicach. Boję się, że po drodze natknę się na M. Przyspieszamy kroku i wkrótce docieramy do niepozornych drzwi – wejścia do *hammamu*, którego nigdy sama bym nie znalazła. Do głowy by mi nie przyszło, że za tymi drzwiczkami może kryć się wspaniała komnata wykładana mozaiką z tysiąca kolorów, która mieni się w snopie jaskrawego światła oblewającego całe wnętrze. Ciepłe powietrze przesycane

jest wilgocią. Zostawiamy ubrania przy wejściu i poddajemy się przyjemnemu działaniu gorąca. Leïla wręcza mi długi kawałek nieprzejrzystego materiału, który owijam sobie wokół nagich bioder, żeby ukryć nagość. Na schodach wyleguje się wiele starszych kobiet z piersiami opadającymi na brązowe brzuchy, z niebieskawymi tatuażami na twarzach i rękach, i kropelkami potu perlącymi się na skórze. Panuje błoga cisza. Czuję, że te kobiety uważnie obserwują każdy mój ruch i bezceremonialnie gapią się na moje nieosłonięte ciało. Jestem cudzoziemką, w dodatku białą, a wiele z nich pewnie nigdy nie widziało zachodniej kobiety. I do tego blondynki. Leïla parska śmiechem, bierze mnie za rękę i prowadzi do pogrążonego w mroku pomieszczenia w głębi. Wykładany kafelkami sufit zwisa nisko, pewnie, żeby zapobiec wydostawaniu się ciepła. Jest wspaniale. Siadamy bezpośrednio na ziemi i sięgamy po karafki pełne ciepłej wody, którą wylewamy sobie na głowę. Z dachu toczą się wodospady i dają się ukołysać szmerowi cieknącej wody, całkowicie oczarowana tym pięknym i relaksującym zakątkiem.

Spędziłyśmy tak w ciszy kilka godzin, rozkoszując się tym przyjemnym ciepłem i spokojem. Stara masażystka złuszcza moją skórę wprawnymi rękami za pomocą szorstkiej gąbki, a następnie naciera mnie oliwą.

Jak bosko!

Zaróżowione, z lśniącą skórą i mokrymi włosami wychodzimy z Leïlą z *hammamu*, zregenerowane i odrodzone. Nie mam pojęcia, która jest godzina i w miarę jak zbliżam się do domu, serce zaczyna mi bić coraz szybciej. Mam nadzieję, że mój M jeszcze nie wrócił, i zaczynam żałować swojego wyskoku. Leïla żegna się ze mną przed domem, naciskając, żebym koniecznie wpadła na herbatę do jej rodziców, zanim wyjedzie z powrotem do miasta. Odchodzi beztroska i rozluźniona.

Otwieram furtkę i staję jak wryta na widok mojego M, który, oparty o figowiec, z założonymi rękami czeka na mój powrót. Jest wściekły. Zbliża się do mnie szybko, miotając przekleństwa. Pyta, gdzie się podziewałam, i ryczy, że mam zakaz wychodzenia za drzwi. W jego oczach widzę tę samą furję jak wtedy, gdy zdemolował cały dom. Jego porywczość osadza mnie na miejscu i zaczynam dygotać.

Łapie mnie za ramię i wlecze do mieszkania na oczach swej młodszej siostrzyczki kryjącej się na ganku. Ledwie dotykam nogami ziemi. Potykam się, usiłując za nim nadążyć i chcę mu powiedzieć i wytłumaczyć, że nic mi nie groziło i że byłam z Leilą, ale on mnie nie słyszy. Moje słowa toną w jego wściekłym jazgocie, kiedy wyzywa mnie od suk i ścierw. Bolesnie wpija mi palce w ramię.

Drzwi do mieszkania są otwarte i wrzuca mnie do środka, jakby ciskał na ulicę worek śmieci. Przewracam się na ziemię, a on zajadle tratuje mnie nogami. Zwijam się w kłębek. Kopie mnie prosto w żebra, a ja krzyczę z bólu i błagam go, żeby przestał. Skurczona na dywanie, chowam głowę w ramionach i zaciskam oczy, próbując chronić się przed niemiłosiernymi uderzeniami jego butów. Nagle pochyła się nade mną, chwyta mnie za włosy i siłą odchyła mi głowę do tyłu, niebezpiecznie zbliżając swoją twarz do mojej. Jestem na kolanach z głową brutalnie odrzuconą do góry, po policzkach ciekną mi strugi łez i szlochając, proszę go, żeby przestał. Niskim, chrapliwym głosem, warczy mi do ucha:

– Zrób to jeszcze raz, a się nie pozbierasz.

Wychodzi z mieszkania i dwa razy przekręca klucz w zamku. Przez dłuższy czas trwam tak skulona w miejscu, płacząc z bólu i z przerażenia. Po raz pierwszy dosięgły mnie jego sadystyczne łapy. Jeszcze o tym nie wiem, ale to początek dalszej drogi do piekła. Właśnie obudziłam potwora i obawiam się, że już nigdy nie zaśnie na dobre. Tej nocy przeraźliwie brakuje mi mamy. Chciałabym mieć cztery lata i schować się w jej objęciach, gdy głaszcze mnie po włosach i śpiewa kołysankę po szwedzku. Chciałabym mieć przy sobie swój paszport oraz siłę, żeby dotrzeć do postoju taksówek u wylotu ze wsi i zamówić kurs na lotnisko. Chciałabym, żeby Zied był tu na miejscu i zdołał uciszyć gniew swojego kumpla. Chciałabym zniknąć za pstryknięciem palców.

Słyszę szcęk otwieranej zasuwki i zdaję sobie sprawę, że musiałam przysnąć na podłodze, bo wewnątrz tonie we wczesnym świetle poranka. M nachyla się nade mną i podnosi mnie z ziemi, przyciskając sobie do piersi. Nie mam siły powiedzieć mu, żeby mnie nie dotykał, a poza tym tak strasznie potrzebuję czułości właśnie w tej chwili, że otaczam mu szyję ramionami i wybucham płaczem. M kładzie mnie delikatnie na łóżku i sam wyciąga się

przy mnie. Jest spokojny. Potwór zniknął. Tuli mnie mocno w ramionach, przeprasza, sam siebie nazywa potworem, sam nie wie, jak mógł tak skrzywdzić swoją żonę.

– Tak się o ciebie martwiłem, *y'all baby*... Mogłaś mi zostawić wiadomość, dokąd idziesz. – Bez końca prosi o przebaczenie i cały drży od wstrząsającego nim szlochu. – To się już nie powtórzy, przyrzekam. Straszny ze mnie potwór. Błagam cię, wybacz mi.

Płaczemy oboje, aż wreszcie zasypiam w jego objęciach, umęczona i oszołomiona, ale spokojna, że to był ostatni raz.

Jak ja mogłam kochać tego człowieka? Zdaje się, że wszystkie bite kobiety mają ten sam syndrom. Cały czas spodziewamy się, że znów będzie tak, jak przez pierwsze pół roku, czekamy, aż wróci raj i cudowna harmonia dusz i ciał. Jesteśmy niczym czcicielki guru w sekcie, a w moim przypadku mój mistrz jest moim mężem. To najlepsze określenie, jakie przychodzi mi do głowy, żeby go opisać... Przywódca sekty urabia sobie członków jednego po drugim, aż staną się całkowicie zależni od jego dobrej woli. Muszą myśleć, że guru jest jedyną istotą zdolną ich zrozumieć i pokochać za to, jacy są, oraz pomóc im radzić sobie ze swą ponadprzeciętnością. Guru krok po kroku eliminuje otoczenie swych wyznawców, krytykuje ich przeszłość i wpaja im przekonanie o ich wyższości nad innymi. A my, uczniowie, zaczynamy ostatecznie tak ślepo mu wierzyć, że jego słowa stają się w końcu jedyną prawdą, i zupełnie ignorujemy własną tożsamość. Ja długo swoją ignorowałam, ale na szczęście cierpliwie na mnie czekała.

## *36. Potwór nigdy nie zasypia naprawdę*

Znów jestem w ambasadzie z dokumentami, które otrzymaliśmy faksem, potwierdzającymi, że M jest zarejestrowany na uniwersytecie w Montrealu i że jego zajęcia rozpoczynają się we wrześniu. M uważa, że lepiej, żebym dostarczyła je osobiście do rąk własnych, wtedy na pewno nic się nie zawieruszy, i ja też jestem tego samego zdania. Tym bardziej że wyjazd do miasta to dla mnie możliwość wyjścia, powiew wolności, a przede wszystkim okazja do spotkania z Ziedem, który nas przenocuje w domu swoich rodziców. Zied jest całkowitym przeciwieństwem M. To chodząca łagodność i wiem, że jest moim jedynym sprzymierzeńcem. Jest maj. Jutro skończę dziewiętnaście lat i mam zamiar zrobić to z przytupem.

Ambasada – podejście ente. Czekam. Rozmawiam z rudą, kręconą, durną pudlicą zza szyby. Składam dokumenty i wychodzę bez odpowiedzi. Sprawa jest ciągle w toku, ale te ważne papiery mogą posunąć coś naprzód.

Wychodząc z ambasady, chowam paszport do torebki i mam nadzieję, że M o nim zapomni, ale nie. Mój Potwór jest czujny i nic mu nie umyka. Jak tylko wsiadam do auta, wyciąga po niego rękę i chowa do kieszeni.

W mieście jest mnóstwo ludzi. Dziewczyny przechadzają się piękne, w zachodnich ciuchach, turyści spacerują z aparatami fotograficznymi dyndającymi na szyi, samochody trąbią i życie toczy się wartkim rytmem. Pomyśleć tylko, że jeszcze ledwie kilka miesięcy temu ja też byłam taką turystką. Od tamtej pory stałam się cieniem samej siebie i sama się nie poznaję. Schudłam jeszcze bardziej, a ostatni atak do reszty mnie załamał. Nie potrafię odzyskać nadziei i radości życia, żyję w ciągłym napięciu, żeby

tylko nie rozdrażnić M. Chodzę jak na sznurku, a na twarz nałożyłam teraz nową maskę – idealnej żony.

Ahmed jedzie z nami, bo on też chce się przewietrzyć. Został jakby nadwornym pieskiem M. Nie trawię już tego faceta, który nie mówi po francusku i zajmuje nie tylko mojego męża, ale i moje miejsce z przodu w samochodzie. Siedząc za ich plecami, pogrążam się w swoich rozmyślaniach, starając się odpędzić wspomnienia o moich rodzicach i przyjaciółach, które nawiedzają mnie coraz częściej.

To nie jest droga do domu Zieda, M pojechał jakoś inaczej i znowu kierujemy się na południe. Kiedy pytam, zbywa mnie, mówiąc, że przekonam się za pół godziny. Na twarz wypływa mi uśmiech. W końcu jutro są moje urodziny, może szykuje się jakaś niespodzianka?

No i proszę, pół godziny później w oddali majaczy Morze Śródziemne, bezkresny błękit i plaża. Wiszę na samym brzeżku fotela, z głową wystawioną za okno, i zachłannie wdycham przesycone solą powietrze. Ogarniam wzrokiem setki palm stojących wzdłuż drogi do kompleksu luksusowych hoteli biało-niebieskiego miasta. Wypinam pas i obejmuję mojego M od tyłu, całując go żarliwie po szyi. Samochód zatrzymuje się przed hotelem o wiele mniej eleganckim niż te, które mijaliśmy wcześniej, ale co tam! Wyskakuję z auta i kręcę się wokół siebie z ramionami w górze. Co za niespodzianka! Gdyby tylko nie było z nami Ahmeda. A skąd wzięło się jeszcze trzech kolejnych znajomych, którzy czekają na nas w hotelowym lobby przy lokalnym piwku? Nie pozwolę, żeby zepsuli mi frajdę, wręcz przeciwnie. Im więcej, tym weselej, myślę sobie. Poza tym to jest miejsce dla turystów, więc precz z ciuchami mniszki. Dziś wieczorem zakładam letnią sukienkę. Rozglądam się za Ziedem, ale musiał zostać w mieście, bo nałapał jakichś zaległości na uczelni. Żal ściska mnie za serce, tak bym chciała mieć przy sobie moją bratnią duszę.

Znajomi śpią razem w dużej wieloosobowej sali, podczas gdy ja i M mamy dla siebie przestronny pokój z łóżkiem osłoniętym baldachimem i białymi moskitierami. Pokój, wykładany biało-niebieskimi płytkami tak jak całe miasto, pachnie jaśminem. Dzisiaj nie mogę ścierpieć tego zapachu. Jaśmin kojarzy mi się wyłącznie z tym okresem, kiedy bezskutecznie próbowałam wypuścić pączki z mojego uschniętego badyła i zakwitnąć w

tym makadamie.

Wiele kwiatów rośnie w makadamie, ale nie ja... Nigdy więcej jaśminu.

Hotel jest skromny, lecz czysty, a gdy okazuje się, że mamy w pokoju osobną łazienkę, kamień spada mi z serca, bo lubię mieć dla siebie trochę prywatności. Cieszę się z tego wypadu nad morze. Wypakowuję rzeczy M i moją małą walizkę, w której mam kilka drobiazgów, między innymi moją niebieską letnią sukienkę, którą spróbuję włożyć dziś wieczorem. M oczywiście nie ma czasu mi pomóc. Siedzi w pokoju obok i gawędzi sobie z przyjaciółmi. Przywitali się ze mną życzliwie, ale jako jedynej kobiecie w tym gronie, nie wypada mi tam do nich pójść. Więc zostawiam ich samych sobie i korzystam z naszego pokoju.

Niedługo potem przychodzi M, cały rozkoszny i rozmiłowany. Wiem, że bardzo potrzebował wyrwać się spod tej małomiasteczkowej presji i na chwilę poczuć się anonimowo. Zamykam oczy i delectuję się chwilą, w której pojawiają się dawni „my”.

– Odwróć się – mówię do niego.

Wkładam moją niebieską letnią sukienkę na cienkich ramiączkach, która sięga mi nieco powyżej kolan oraz moje śliczne buty na wysokim obcasie.

– Ta-da! Co myślisz?

Czekam na jego odpowiedź, modląc się, żeby mu się spodobało. Tak bym chciała mieć ją dzisiaj na sobie.

– Chcesz się tak ubrać? – pyta z uśmiechem igrającym w kąciu ust.

– Tak... To moja sukienka na specjalne okazje. Mogę? Proszę, proszę, proszę. – Przymilam się do niego dziecinnie z błagalnym wyrazem twarzy.

Podnosi głowę. Zdawało mi się, czy... Czyżby to było „tak”? Rzucam mu się na szyję i całuję go zapalczywie.

Wychodzimy na spacer po plaży. Słońce pieści mi skórę, a przyjemny wietrzyk przynosi orzeźwienie. M trzyma mnie za rękę, a ja ściskam go w obawie, żeby mnie nie zostawił. Przypatruję mu się kątem oka i moje plecy rozluźniają się na widok jego spokoju i błogiego zadowolenia. Nie do wiary, nagle znów mam przy sobie człowieka, którego, jak myślałam, już utraciłam.



Jest uroczy w swoich szortach khaki i czarnej, dopasowanej koszuli. Uwielbiam te drobne zmarszczki, które tworzą mu się wokół ust, kiedy się uśmiecha. Zatrzymuję go i przywieram do jego skóry, obejmując go ramionami w talii i zastygamy tak, zapatrzeni w morze. Podnoszę na niego oczy i dziękuję mu za tę niespodziankę, a zwłaszcza za tę chwilę sam na sam.

Dołączamy do reszty w restauracji. Nieszczęsny Ahmed czeka na mnie z wieńcem z kwiatów jaśminu. Nie mam wyjścia, muszę być miła dla tego darmozjada, który tak się stara wkupić w moje łaski. Przy stoliku obok imprezuje mniej więcej dziesięcioosobowa grupa cudzoziemek i wśród przyjaciół M szybko budzą się instynkty zdobywców. Mój facet rozgrywa rzecz w swoim zwykłym stylu. Uwodzi intrygującym milczeniem i pozą wycofania. Jak na dłoni widzę grę, która zaczyna się toczyć między nim a jedną z turystek, wysoką brunetką o wspaniałej figurze, ubraną w czerwoną suknię z głęboko wyciętym dekoltem. W ogóle się nie przejmując, że siedzę tuż obok, bezustannie zerka na mojego M. M wstaje do łazienki i celowo przechodzi tuż za krzesłem dziewczyny, niby przypadkiem muskając jej szyję wierzchem dłoni. Serce zaczyna tłuc mi się w piersi i cała się spinam z poczucia urazy i upokorzenia. Jak on śmie tak mnie znieważać?

Gdy wraca z toalety, dziewczyna oczywiście zagaja z nim rozmowę i on musi pochylić się niżej, żeby dobrze słyszeć. Aż się we mnie gotuje. Po krótkiej chwili wstaje i podchodzę do niego, przytulając się ostentacyjnie. Rzuca mi spojrzenie tak czarne, że opada mnie strach. Cholera. Trzeba było zostać tam, gdzie siedziałam. Ale to po prostu nieludzkie.

Chwytam końcówkę ich rozmowy i, rzecz jasna, laska zaprasza jego i jego przyjaciół na imprezę, która odbędzie się późnym wieczorem na plaży. M wraca do stolika, kipiąc ze złości, którą stara się pohamować największym wysiłkiem woli. Wyjaśniam mu cicho, że takie zachowanie i prymitywne flirciki sprawiają mi przykrość, ale do niego nic nie dociera. Łapie mnie mocno za dłoń i zaciska palce, wykręcając mi silnie nadgarstek. Z trudem powstrzymuję krzyk.

Do ucha sączy mi się jego szorstki głos, który wymyśla mi od zazdrośnic, wariatek i wypomina zaborczość. Puszczą moją dłoń, którą rozcieram z bólu. Przez resztę wieczoru nie zwraca na mnie uwagi. Jego przyjaciele, wyczuwszy napięcie między nami, naśladują swojego lidera. Alkohol leje się

strumieniami i ludzie zaczynają się mieszać. Wśród nas szybko pojawiają się dziewczyny od stolika obok i M z perfidnym upodobaniem bezceremonialnie kontynuuje zaloty, żeby mi dokuczyć.

Zastosował już kiedyś ten chwyt w Montrealu i zrobi to w przyszłości jeszcze nie raz.

Wychodzimy z restauracji. Nie mam dokąd pójść, a zdecydowanie nie chcę wracać do hotelu sama. Nie pozostaje mi nic innego jak w poczuciu największego wstydu dreptać za M i jego kumplami. Na szczęście nie poszliśmy na tę imprezę na plaży, bo nie zniosłabym, gdyby M znowu zaczął podrywać tę wysoką dziewczynę. Zamiast tego przechadzamy się po uliczkach rajskiego zakątka. Przełykając łzy, wlokę się z tyłu za grupą i próbuję zachować pogodną twarz. W hotelu M co prawda kładzie się ze mną w jednym łóżku, ale odwraca się do mnie plecami. Porządnie pijany, szybko zapada w sen. Normalnie nigdy nie chrapie, ale tej nocy mam w łóżku traktor u boku. Mija północ. Wszystkiego najlepszego, Sophie, mówię sobie.

Śpię niespokojnie, nieustannie przewijając w głowie wydarzenia dzisiejszego wieczoru. Nie mogę pojąć, jak on mógł się tak zmienić od naszego pierwszego spotkania. Wiele bym dała, żeby znowu był taki jak dawniej, ale nadzieja na to kurczy się stopniowo razem z moją pewnością siebie, a plecy pochylają mi się coraz bardziej do przodu. Następnego dnia rano wychodzi wypić kawę z resztą szakali. Pakuję moją małą walizkę i, ponieważ nie zanosi się na to, żeby prędko wrócił, znajduję pretekst, żeby zobaczyć, co robi. Wsuwam głowę przez drzwi do dużej sali sypialnej i grzecznie proszę M o papierosa.

– Czego tu chcesz? Już cię tu nie ma! Pakuj się i wynocha! Wracaj do Montrealu i żebyś cię więcej nie widział! – Napada na mnie przy wszystkich swoich kolegach, którzy jeden po drugim wbijają wzrok w ziemię.

Zszokowana wracam do pokoju. Idzie za mną, ani na chwilę nie przestając mi ubliżać. Krzyczy tak głośno, że musi go słyszeć caluteńki hotel. Każde słowo przeszywa mi serce jak sztylet. Siadam na łóżku i, chcąc ochronić się przed tym potokiem bluzgów, podciągam kolana pod brodę i chowam głowę w ramionach, a on ciska mi pojedyncze papierosy prosto w twarz.

– WYNOCHA!!! – wrzeszczy na koniec i wypada z pokoju.

Wychodzę. Staję z walizką przed wejściem do hotelu. Jestem przerażona, bez pieniędzy i bez paszportu. Dokąd mam pójść? Jak mam się stąd wydostać? Orientuję się szybko, że jestem o jakąś godzinę drogi od lotniska, ale nie wiem, jak mogę tam dotrzeć. W głowie zaczynają wirować mi chaotyczne myśli. Staram się wykombinować jakiekolwiek wyjście. Potwór nie ma oporów, żeby traktować innych jak śmieci i odganiać ich jednym ruchem dłoni, szczególnie kiedy wie, że stoją pod ścianą. Wtedy może zniszczyć ich bez trudu, bo nie pozostaje im żadna droga ucieczki.

Siadam więc na schodach przed hotelem i modłę się, żeby spłynęło na mnie jakieś rozwiązanie. Cała aż dygoczę z bólu i upodlenia. Niedługo potem M ze swoją bandą przechodzą koło mnie, jakbym była powietrzem. Wsiadają do samochodu i M zapuszcza silnik. Jestem pewna, że mnie tu zostawi. I nie mylę się. Odprawiam wzrokiem odjeżdżający samochód. Zaczyna mnie łupać w skroniach, czuję się całkowicie zagubiona i zupełnie sama w tym nieznanym miejscu. Tkwię przed hotelem jeszcze długą chwilę, mając nadzieję, że może Zied przyjedzie po mnie jak księżę na białym koniu i wyrwie mnie z mojej niedoli. M najwyraźniej zatoczył koło po okolicy, bo widzę jego samochód nadjeżdżający z przeciwnej strony. Opuszcza szybę.

– Wsiadaj.

Wsiadam. Bez słowa. Ze spuszczoną głową i zdeptanym sercem.

Jedzie na plażę pełną wczasowiczów i mieszkańców z przyjemnością wygrzewających się w słońcu. Morze jest wzburzone, ale nie na tyle, żeby się nie wykąpać. M i jego kompania zajmują stojący na piasku stolik tuż przy wodzie, osłonięty od słońca wielobarwnym parasolem. Zamawiają jedzenie. Ja dla nich nie istnieję. Znajduję więc sobie plastikowe krzesło nieco dalej, gdzie nie sięga już cień parasola. Chce mi się jeść, ale tylko patrzę, jak M i jego koledzy wcinają swoje szaszłyki i nie mam śmiałości poprosić mojego męża o kąsek z jego stołu. Słońce praży niemiłosiernie. Robi mi się gorąco. Siedzę w pełnym skwarze. Ogarnia mnie uczucie wstydu i oszołomienia. Morze mnie przyzywa i najchętniej poszłabym się w nim utopić i zakończyć tę nieszczęsną historię.

Wstaję i bez słowa idę do restauracji przebrać się w łazience. Zakładam

T-shirt i szorty i wchodzę do wody, brnąc przez fale, które się o mnie rozpryskują. Odpływam tak daleko, jak mogę, a potem pozwalam falom swobodnie kołysać się na powierzchni. Wszelki strach przed głębokością, rekinami czy prądem zniknął dzisiaj w południe. Brzeg powoli niknie mi z oczu i odpływam jeszcze dalej w głąb tej bezkresnej masy słonej wody. Parasoli na plaży już praktycznie nie widać, a woda staje się coraz czarniejsza.

Prześlągnięte wodą szorty i koszulka zaczynają mi ciążyć i zaczynam powoli tracić siły. Woda nie unosi mnie już na powierzchni i zapadam się w otchłań. W pewnym momencie naprawdę się boję, że mogłabym utonąć, więc resztkami energii wracam w stronę brzegu.

Prąd zniósł mnie daleko i jestem wycieńczona, kiedy wreszcie udaje mi się wyczuć dno pod stopami. Ciężko dysząc, padam na chwilę na piasek i z zamkniętymi oczami rozgrzewam się w słońcu. Kiedy się wreszcie podnoszę, odkrywam, że podryfowałam na tyle daleko, że nie mogę znaleźć stolika ani bandy. Wreszcie dostrzegam M stojącego tuż przy linii wody i niespokojnie wpatrującego się w morze. Wydaje się spięty. Wracam i znowu siadam na plastikowym krześle.

M chyba naprawdę przejął się, że coś mi się stało, bo najwyraźniej złagodniał. Posyła mi wymowne spojrzenie. To ja mam przełamać to ciężkie milczenie wiszące między nami. Przelykam więc resztki już prawie nieistniejącej dumy i proszę o wybaczenie.

## 37. Nieodgadniony świat M

Niezrozumiałe zachowania M stają się coraz częstsze. Jakby uchyliły się jakieś drzwi i nic już nie stało na przeszkodzie, żeby do woli się na mnie wyżywać, a ja wpadam w piekielną spiralę wyrzutów i poniżenia. Żongluje moimi uczuciami i robi ze mną, co chce, jak lalkarz w teatrze. A ze mnie jest idealna marionetka, zagoniona w kąt domku dla lalek jak do nory.

Poniża mnie bez ustanku. Czasami wystarczy, że spojrzy na mnie z odrazą albo gwałtownie odepchnie jak najdalej w trakcie stosunku. Jestem brzydka i do niczego. Ma do mnie pretensje, że nie umiem sprawić mu przyjemności w łóżku, i żyję w ciągłym strachu, żeby go nie zirytować, więc zaczynam na siłę przeistaczać się w kogoś, kogo, jak sądzę, pragnie. Sęk w tym, że jego pragnienia zmieniają się równie często jak jego nastrój, więc koniec końców nigdy nie udaje mi się utrafić we właściwy stan ducha lub prawidłową odpowiedź. Odzywa się do mnie cicho, niemal szeptem, i ciągle muszę go prosić, żeby powtórzył, aż zaczynam się zastanawiać, czy nie mam problemów ze słuchem.

Któregoś wieczoru siedzimy w mieszkaniu z kilkoma jego naśladowcami, słuchając, jak rozwodzi się nad polityką amerykańską. Milczę, bo nie chcę przeciwstawiać się jego rasistowskim stwierdzeniom, które, moim zdaniem, są kompletnie bez sensu. Bezwzględnie torpeduje każdego, kto odważy się w jakikolwiek sposób podważyć jego wywody. Potrafi po mistrzowsku wszystkich nas zagadać, a na koniec i tak przyznajemy mu rację.

Daleko mi jeszcze do swobody w arabskim, ale mogę już teraz nadążać za rozmową, szczególnie dzięki wplatanym gdzieniegdzie francuskim słowom, które pomagają mi złapać ogólny sens.

Nagle daje się słyszeć nieśmiałe pukanie. Uchylam drzwi, a w progu stoi tata M i z dumą prezentuje kilka porcji pizzy, po które poszedł specjalnie z myślą o nas. Co jeszcze bardziej uszczęśliwia M, ma też ze sobą piwo... Tata M ustawia niezliczone butelki przy drzwiach. Zapraszam, by usiadł z nami, żebyśmy mogli dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ale odmawia. Rzadko go widuję, bo wychodzi do pracy wcześniej rano i wraca najczęściej późnym wieczorem. Podejrzewam, że ma inną kobietę, ale nigdy nie odważyłabym się zapytać o to M. Zrobiłby ze mnie pasztet.

Pizza ze stoiska na rogu to prawdziwy luksus, dziękuję mu więc serdecznie, dając do zrozumienia, że bardzo doceniamy jego gest, po czym zostawia nam poczęstunek, a sam wraca do domu. Odwijam kawałek pizzy z folii aluminiowej niczym prezent gwiazdkowy, biorę kawałek do ust i smakuję powoli.

– Nie tak się je pizzę! – syczy M w moją stronę.

Doprawdy nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Proszę?

Powtarza jeszcze głośniej:

– NIE TAK SIĘ JE PIZZĘ!

To jakiś absurd, myślę. Czyżby w przedziwnym świecie M naprawdę istniał jeden właściwy sposób jedzenia pizzy?

– To jak niby mam ją jeść?

O jedno zdanie za dużo.

– Nie będziesz mi tu pyskować! Już, wynocha stąd!

Mamroczę jakąś niezrozumiałą odpowiedź, ale jest już za późno. Wyrzywa mi pizzę z rąk i razem ze swoim kawałkiem wyrzuca przez okno. Przy wszystkich zebranych wypycha mnie z mieszkania, a w ślad za mną w ogrodzie ląduje moja walizka. Ciska na dziedziniec moje ubrania, buty, książki i wszystko, co mam, rycząc, że nie chce mnie więcej widzieć, że zawsze wszystko psuję, że jestem niczym jak tylko ciężarem i że przeze mnie zmarnował sobie życie.

Co za wstyd. Cały ten makabryczny spektakl rozgrywa się na oczach

mamy M, która siedzi przy stole w ogrodzie ze swoją przyjaciółką, matką Leïli, oraz siostrzyczką M. Nie odzywają się słowem, tylko spuszczaają oczy i odwracają się tyłem.

Jest coś około dwudziestej. Zapada zmrok. Rozbita i upokorzona, zaczynam zbierać moje osobiste rzeczy i wrzucać je jak bądź do walizki. M wychodzi z mieszkania jak rozjuszony tygrys, wyrywa mi walizkę z rąk i przerzuca ją ponad murem, po czym otwiera bramę i wygania mnie na ulicę. Zatrząskuje drzwi i oto stoję samotnie na ciemnej ulicy z wielgachną walizką u stóp, przerażona, rozdarta i sponiewierana.

Podnoszę walizkę i ruszam piaszczystą drogą na południe, nie oglądając się za siebie. Zakładam, że jak mu przejdzie, to wyjdzie po mnie i każe mi wracać, albo że przynajmniej rodzice i przyjaciele przemówią mu do rozsądku, ale nie. Idę i idę, z wysiłkiem wlokąc za sobą masywną walizkę i przeklinam w duchu swój nieszczęsny los. Docieram na koniec opustoszałej ulicy, a wciąż nikt nie wychodzi mnie szukać. Umysł przestaje mi funkcjonować i w głowie mam tylko jeden wielki huk. Posuwam się jeszcze trochę, po czym przystaję, żeby wziąć się w garść i spróbować zrozumieć, co się wydarzyło, gdy nagle drobna dłoń chwyta mnie za rękę. Nie jestem już sama. Przyszła po mnie mała siostrzyczka M, drobniutka i wątła.

– Chodź. Pójdziemy do Leïli.

Nie mogę wydobyć głosu. Gardło mam suche i ściśnięte – jeżeli otworzę usta, boję się, że wyrwie mi się z nich jedynie zbolące wycie.

Na szczęście Leïla mieszka niedaleko i gdy widzę, jak szybkim krokiem zmierza w naszą stronę, wiem, że usłyszała już o wszystkim od swojej matki. One wszystkie wiedzą, że M jest psychopatą, widzę to w ich oczach. Na widok jej serdecznego i przepojonego współczuciem spojrzenia coś we mnie pęka i wybucham rozpaczliwym płaczem. Łzy leją się ze mnie niewyczerpanym strumieniem. Jest mi wstyd. Wszystko mnie boli. Czuję się jak kompletne zero. Chcę się zapaść pod ziemię na wieki.

Leïla mieszka w niskim budynku na drugim piętrze. We trzy próbujemy razem wtaszczyć moją kobylastą walizkę na górę. W domu jest jej wujek i starsza siostra. Od progu ogarnia mnie atmosfera ciepła i serdeczności. Siadamy wszyscy przy stole w jadalni i zaczynają opowiadać mi o M i jego

powtarzających się napadach furii, które ma od zawsze. Mówią mi, że teraz, jako jego żona, muszę nauczyć się sobie z tym radzić, a przede wszystkim robić wszystko, żeby go uspokoić, kiedy go tak ponosi.

Siostra M głaszcze mnie łagodnie po ręce. Czuję, jak jej drzenie synchronizuje się z moim. Tak się boi brata, że aż wstrzymuje oddech, kiedy on jest w pobliżu. Mam wrażenie, że jestem pierwszą osobą, która czuje to samo co ona, i bez słów nawiązuje się między nami nić porozumienia. Ma dwanaście lat, jest drobna, ale śliczna. Ma w sobie jakiś dziwny spokój, oczy jednocześnie pełne światła i smutku, i czegoś nieuchwytnego, co sprawia, że wydaje się nad wyraz dojrzała, o wiele za bardzo jak na swój wiek. Nigdy nie słyszałam, żeby się śmiała albo mówiła pełnym głosem. Jeżeli już się odzywa, to raczej szeptem.

Przychodzi mi do głowy zaskakująca myśl, że mama M musi się w sumie cieszyć z mojej obecności, bo teraz cały gniew M ogniskuje się najpierw na mnie, a w mniejszym stopniu na niej. Leïla rozmawia ze swoją matką przez telefon, po czym z westchnieniem odkłada słuchawkę i mówi mi, że M czeka na mnie w domu. Jej wujek zaraz mnie odwiedzi. Sama już nie wiem. Nie chcę tam wracać. Czuję się pusta w środku, wściekła, a przede wszystkim głęboko zraniona. Nie pozostaje mi nic innego jak ich jednak posłuchać. Wprawdzie pytam Leïlę, czy nie mogłaby mnie przenocować, ale nie chce ryzykować, że rozwścieczony M wpadnie do niej do domu.

– Lepiej zrób to, czego chce, Sophie.

Jestem niewolnicą w tym kraju – bez paszportu, bez pieniędzy i bez możliwości kontaktu z rodzicami, co okropnie daje mi się we znaki. Wiem, że wielokrotnie próbowali się do mnie dodzwonić, ale nikt mnie nigdy nie woła do telefonu. Przesłali mi kilka listów, które najpierw przeczytał M, żeby następnie cisnąć mi je w twarz, przeklinając istnienie moich rodziców, którzy według niego nie zasługują nawet na miano istot ludzkich wobec Boga. Jedyne list, którego nie przeczytał, to ten, który mama napisała do mnie po szwedzku. Najpierw mi kazał tłumaczyć, ale szybko mu się znudziło i pozwolił mi doczytać samej.

U wujka w samochodzie godzę się ze swoim losem, a moje ramiona kulą się jeszcze bardziej. Mój tyran czeka na mnie. W jakim stanie? Tego nie



potrafię przewidzieć...

## 38. Śmierć w kraju piasku

Żadnej drogi ucieczki. A kiedy żyjesz z manipulantem, pierwsza zasada to brać nogi za pas i zwiewać tak szybko i tak daleko, jak tylko się da, bezpowrotnie i nie oglądając się za siebie. Ponieważ nie mam takiej możliwości, moja ucieczka rozgrywa się w mojej głowie.

Połowa lipca. Lato płynie powoli i wraz z nim gaśnie nadzieja na to, że M dostanie wizę. Nie mamy żadnych wieści z ambasady i zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek wrócę jeszcze do swojego kraju. M za wszelką cenę chce wracać do Montrealu, ale ze specyficznych powodów. Ciągłe powtarza, że pojedzie tam bez względu na wszystko tylko po to, żeby móc potem olać Amerykę i znowu wrócić tutaj. Twierdzi, że nikt nie będzie mu mówił, co ma robić, i że chce wrócić do Montrealu, żeby z własnej woli stamtąd wyjechać. Ależ on ma rozdęte ego, ten mój M.

Zaczynam snuć marzenia, że kiedy wreszcie znajdziemy się u mnie, wszystko będzie znów tak jak kiedyś. Będę się ubierać, jak chcę, widywać rodzinę i przyjaciół, wychodzić na miasto, cieszyć się wolnością i odzyskam mojego M sprzed roku, gdy tylko zniknie konieczność podporządkowywania się obyczajom jego kultury. Wmawiam sobie, że jego zachowanie wynika głównie z presji tutejszej społeczności.

W ciągu lata uczestniczę w pogrzebie dziadka M. Z zafascynowaniem obserwuję, jak wszystkie kobiety z wioski w czerni wypełniają dom, wyjąc, rozpaczając i wylewając rześiste łzy, jakby w oczach miały fontanny. Nadciągają grupami po dziesięć, krzyczą, rzucają się w spazmach na ziemię i rozpaczliwie wzywają Allaha. Zdumiewają mnie te wizyty i nie pojmuję tak demonstracyjnie okazywanej żałoby i cierpienia. M wyjaśnia mi, że większość z nich nie znała jego dziadka, ale korzystają z okazji, żeby

rozładować emocje, które muszą w sobie tłumić na co dzień. Mój M wbija we mnie swoje czarne oczy i bierze mnie w ramiona. Kładzie mi dłoń na ramieniu i nagle na jego twarzy pojawia się wyraz dotkliwego bólu. Jestem zszokowana i poruszona, bo już dawno nie zdarzyło się, żeby uzewnętrzniał przede mną swoje emocje.

– Jestem tu, kochanie, wyrzuć to z siebie...

Pocieszam go jak najłagodniej, szczęśliwa z powodu tej chwili czułości, w której znowu czuję, że go kocham. Wydaje się całkiem mały w moich objęciach i, kiedy widzę go w takim stanie, nie mogę powstrzymać łez. Tak bardzo go kocham. Kocham go za te chwile słabości, kiedy nieco mięknie ta jego skorupa. Kocham go za te chwile, kiedy jest czuły i taki rozkoszny. Wtulam mu nos w szyję i wdycham jego zapach niezmiennie rozpalający we mnie ogień namiętności. Jest taki kruchy, a ja czuję się prawdziwą kobietą, jego kobietą. Gdyby tylko częściej pokazywał tę stronę siebie...

Uroczystości pogrzebowe trwają trzy dni. Kobiety nie biorą udziału w ceremonii pochówku, a podczas całego obrzędu kobietom i mężczyznom nie wolno przebywać w jednym pomieszczeniu. Jestem więc skazana na trzy długie dni z mamą M. Zbolałe okrzyki kobiet ze wsi nie cichną i odbijają się echem po całym domu. Znajduję sobie zajęcie: przygotowuję podwieczorki, sprzątam, serwuję herbatę i przyjmuję gości, którzy zjawiają się bez ustanku, korzystając z okazji, że jedzenie i picie są podawane za darmo. Wieczorem, kiedy zostaje już tylko najbliższa rodzina, dołączam do M i pozostałych mężczyzn. Paradoksalnie ta przymusowa rozłąka wychodzi nam na dobre, bo gdy spotykamy się dopiero wieczorem, jesteśmy bardziej siebie spragnieni, a przez te trzy dni żałoby spędzamy wieczory tylko we dwoje. Dziś w nocy się kochamy, chociaż to zakazane w trakcie pogrzebu, i jest dla mnie niezwykle delikatny.

Podrywam się. Rozwieram oczy i czuję, że jest jeszcze ciemno. Jest mi tak zimno, że dostaję drgawek. Czy ja nadal leżę na tej zimnej i brudnej podłodze? Niestety chyba tak. Mój organizm pozbył się pochłoniętych lekarstw. Nie umarłam. Niestety. Boli mnie skóra.

## 39. Przy mnie

*Tato... Nie chciałbyś na trochę wyjść z sali? Niezręcznie mi to opowiadać przy tobie, zwłaszcza że widzę, jak zaciskasz szczękę i pięści. Tato, proszę cię, zakryj uszy.*

**M**ecenas Savoie jakby czytał mi w myślach. Przerywa mi opowieść i pyta mojego ojca, czy na pewno chce być obecny przy dalszej części zeznania. Z wykrzywioną bólem twarzą ojciec jest nieustępliwy. Będzie przy mnie od początku do końca, żeby wynagrodzić mi swoją nieobecność przez ostatnie lata.

## *40. Znowu zobaczyć śnieg*

Muszę się uszczypnąć. Pierwsze dni września są chłodne. Figowiec stracił owoce, a ja już teraz wiem, że znowu zobaczę śnieg i zawieruchy, że poczuję zimny pocałunek mojego miasta na twarzy. Nadchodzi moment, na który z niecierpliwością i w gorączkowym napięciu czekałam od tak dawna. Mój kraju, przystrój się pięknie, bo moje stopy już niedługo staną na twojej ziemi i obejmą cię moje nagie ramiona. Dostaliśmy telefon z ambasady i jedziemy odebrać mój akt wyzwolenia. Po długich miesiącach czekania M w końcu przyznano wizę na sześćdziesiąt dni, żeby mógł się stawić na przesłuchanie, które po raz kolejny odsunięto w czasie. Potem jeszcze raz wrócimy do wioski pożegnać się ostatecznie.

Z żalem oglądam się przez tylną szybę na niknące stopniowo miasto, podczas gdy mkniemy w stronę piaszczystych wydm i mojej celi z betonu. Najchętniej od razu wsiadłabym do samolotu i wyjechała z tego niszczącego mnie kraju, ale wiem, że i tak to zaraz nastąpi, trzeba tylko kupić bilety. Mam wrażenie, jakby z ramion zdjęto mi ogromny ciężar, i nie mogę się zmusić, żeby się nie uśmiechać. M wydaje się obojętny, ale czuję, że emanuje zadowoleniem. Jedziemy tak już trzecią godzinę, kiedy kładzie mi dłoń na kolanie i przesuwa w górę po wewnętrznej stronie uda. Pieści mnie tak przez jakiś czas, a ja rozluźniam się, odchylając głowę do tyłu, a samochód tymczasem wspina się na wzgórze. Nagle M hamuje z piskiem opon i w ostatniej chwili unika zderzenia z grupą samochodów stojących pośrodku drogi, blokujących przejazd. Nie widać, ile samochodów stoi po drugiej stronie góry.

– Odwróć głowę i nie patrz.

Nie słucham. A powinnam. Po prawej stronie leży na boku biała

furgonetka, która najwyraźniej kilka razy dachowała, a w końcu rozbiła się o drzewo. Szyby są potrzaskane, a karoseria całkiem powyginana. Jakiś wóz też się wywrócił, a obok kona osioł z rozprutym brzuchem i zmiądzoną głową. Na małym wzniesieniu leżą trzy zakrwawione dziecięce ciała, jedno obok drugiego. Z ust wyrywa mi się okrzyk, gdy widzę te nieruchome postaci bez życia.

W furgonetce między kierownicą a fotelem kierowcy zakleszczył się mężczyzna. Nigdy nie zapomnę jego rozdzierającego krzyku ani jego twarzy rozoranej kawałkami przedniej szyby, która rozprysnęła się pod wpływem zderzenia.

M wyskakuje z samochodu i biegnie do furgonetki, żeby pomóc uwięzionemu mężczyźnie i innym kierowcom, którzy daremnie próbują wydostać go z samochodu.

Skamieniała przyglądam się scenie w zupełnym szoku. Patrę w dal, żeby wypatrzeć karetkę, ale dobrze wiem, że między stolicą a najbliższą większą miejscowością nie ma żadnego szpitala ani linii telefonicznej. Zanim nadciągnie pomoc, ten człowiek zdąży potwornie się namęczyć, a może nawet umrzeć.

Jakaś kobieta przykrywa zwłoki dzieci białą płachtą.

Czekamy na miejscu wypadku jeszcze ponad godzinę, kiedy wreszcie nadjeżdża ambulans. Człowiek w samochodzie nie umarł na moich oczach, ale nigdy nie dowiem się, co się z nim potem stało.

M otacza mnie ramionami i chowam mu twarz na piersi, próbując zatrzeć w pamięci te obrazy, które nękają mnie jeszcze do dzisiaj. Droga powrotna jest długa i pełna emocji. Modłę się za tego mężczyznę, za dzieci, które już uleciały do światła, a nawet za osła, którego dobito uderzeniem młotka w łeb, żeby skrócić jego cierpienie.

Modłę się za moje siostry i moich rodziców, których mam nadzieję niedługo zobaczyć. Modłę się za siebie, żeby moje ciało szybko się zagoiło, a mój koszmar nareszcie się skończył.

## *41. 11 września 2001*

Lato rzeczywiście się kończy i upały nie są już tak dokuczliwe. Lekki północny wiatr pozwala mi łatwiej oddychać, a szczelne ubrania jakoś mniej mi ciąży, bo już się w nich tak nie duszę. Życie na Saharze też nie wydaje się już tak przytłaczające, bo wiem, że niedługo wyjeżdżam. Liczę dni, godziny i sekundy do dwudziestego drugiego września. Trochę ponad jedenaście dni. Staram się jednak wykorzystywać czas, jaki mi pozostał, i okazywać szacunek mamie M mimo jej niezmiennej szorstkości wobec mnie.

Jesteśmy we dwie w kuchni i przygotowujemy kolację, jakiej zażyczył sobie mój M: słynny kuskus z jagnięciną – specjalność jego mamy, a teraz także i moja. W kuchni stoi piec opalany drewnem i malutka lodówka, która cały czas głośno hałasuje. Siedzę przy stole pośrodku pomieszczenia i starannie kroję warzywa, uważając, żeby nie posiekać ich zbyt drobno, jak to zdarzyło się kiedyś i nie spodobało się M, który rzucił wszystko psu. Pies sobie wtedy niezłe použíwał. Od tamtej pory uczeń przerósł mistrza i mój kuskus mógłby spokojnie dostać gwiazdkę Michelin. Mama M robi czerwony sos, rzucając mi co jakiś czas wrogie spojrzenia, ale uparcie się do mnie nie odzywa. Milczy. Jakaś agresywna energia bije od tej kobiety o kwadratowej figurze i włosach jak zawsze ściągniętych w ciasny kok.

Oddaję się więc szatkowaniu warzyw, gdy nagle do kuchni wpada rozgorączkowany tata M.

– Jakiś samolot uderzył w budynek w Nowym Jorku! *Yalla, yalla* (szybko, szybko), chodźcie zobaczyć!

– Co ty opowiadasz? Jesteśmy zajęte, widzisz chyba. No już, idź mi stąd.

Nie rozumiem po co tata M zawraca nam głowę jakąś tam sceną z filmu,

jeszcze pewnie amerykańskiego. To do niego niepodobne tak się emocjonować i tak stanowczo naciskać.

Odkładam w końcu nóż i idę za nim do salonu, gdzie M aż podskakuje na stojąco przed telewizorem. I widzę. Wpatruję się w odtwarzany w kółko obraz samolotu wbijającego się prosto w jedną z wież World Trade Center. Mój Nowy Jork, miasto, które tak kocham, zaatakował Boeing 767. Skupiam się, żeby zrozumieć relację reportera Al Jazeera po arabsku, ale mówi tak szybko, że nie udaje mi się złapać wszystkiego. Przykuci do telewizora chłonimy każdy szczegół, gdy nagle, BAM, kolejna eksplozja. Inny samolot wpada w drugą wieżę.

Mój M z niedowierzaniem łapie się za głowę. Z radości klaszcze w ręce, wyrzuca ramiona ku niebu w geście zwycięstwa i kręci się triumfalnie wokół własnej osi. Oszołomiona, z otwartymi ustami, z trudem uzmysławiam sobie ogrom tragedii, która w tej samej chwili rozgrywa się w najbliższym sąsiedztwie mojego kraju. Z chwili na chwilę otrzymujemy coraz więcej szczegółów i wreszcie chwytam to, co M pojął już wcześniej: terroryści z Bliskiego Wschodu atakują największą potęgę świata, a ja przyglądam się temu na żywo z terytorium wrogiego państwa.

Z ulicy dobiegają krzyki i miarowe dudnienie bębnow. M i tata M przybijają piątkę, a mama M zanoszą się cichym śmiechem. Zaraz też dom zapełnia się od sąsiadów.

– Widzieliście? Ale im dołożyliśmy! Jesteśmy najpotężniejsi, czas, żeby cały świat to zrozumiał. Koniec z Ameryką!

Słucham wiwatowania na cześć tego, że Bliski Wschód podbija Amerykę, a moje ciało ogarnia dziwne odrętwienie przepojone rozpaczą. Serce wali mi w rytm grzmiącej muzyki na zewnątrz. Narasta we mnie wrzenie i tylko wielkim wysiłkiem woli udaje mi się opanować bunt wobec otaczającego mnie entuzjazmu.

M odwraca się do mnie i przy wszystkich mówi:

– I co, Amerykanka? Co powiesz teraz, kiedy rozbiliśmy was na miazgę?

Nie mogę powiedzieć tego, co myślę, ani wyrazić całej desperacji, jaką czuję wobec tych porażających wydarzeń, które rozgrywają się w sąsiedztwie



moich bliskich. Wieże runęły i nie pojmuję radości miejscowych z powodu śmierci tysięcy ludzi. Nie mogę pogodzić się z tą szampańską atmosferą wesołości i satysfakcji dookoła.

Nie odpowiadam. M i tak nie czeka na moją odpowiedź. Idzie do kawiarni poświętować z innymi, a ja modłę się za wszystkich ludzi dotkniętych nieszczęściem. Zostaję w salonie do białego rana i oglądam relację na francuskim kanale. Przeżywam skalę masakry i bezmiar użytej przemocy. Ze strachem myślę, że terroryści mogliby także zaatakować Montreal. Chciałabym zadzwonić do rodziców i upewnić się, że nikt z bliskich nam osób nie przebywał akurat w Nowym Jorku w tym czasie. Całkiem opuszczona, chciałabym porozmawiać z kimś ode mnie, poczuć obecność kogoś mi podobnego. Zasypiam na kanapie w obawie, żeby to nie utrudniło nam powrotu do Montrealu.

## 42. Powrót

Dwudziesty drugi września 2001 roku. Moje myśli unoszą się tak wysoko jak samolot, w którym się znajduję, a serce łomocze mi szybko, podczas gdy maszyna pruje chmury w stronę mojego domu. Już kilka razy musiałam się uszczypnąć. Nie mogę spać. Lot trwa długo, a masa ludzi na lotnisku Paris-Charles-de-Gaulle wzbudza u mnie popłoch. Wiele długich miesięcy spędziłam w mojej samotni w wiosce pośród piasków, trudno się więc dziwić, że gwałtowna dynamika zatłoczonego lotniska wytrąca mnie z równowagi.

Przez okno dostrzegam światła mojego miasta, rozpoznaję ulice, mosty, rzekę Saint-Laurent. Czekałam na tę chwilę od tylu miesięcy, że mam poczucie, jakby stopniowo wracały mi siły. A jednak nie mogę uwolnić się od wrażenia niepokoju i paniki i na czoło występuje mi pot. Z trudem przełykam ślinę. Boję się, że będę musiała znów przystosowywać się do życia pośród ludzi. M jest tak samo podekscytowany jak ja i ściska mnie mocno za rękę. Podchodzimy do lądowania, a moje pulsowanie w piersi jeszcze bardziej przyspiesza.

Dziewięć długich miesięcy oczekiwania, żeby M mógł znowu stanąć na moim kontynencie. Koła szorują wreszcie po kanadyjskiej ziemi i rozlegają się oklaski dla pilota, który dowiózł nas bezpiecznie do celu. M jak Montreal, M jak Miłość, M jak Mama... Nareszcie! Powstrzymuję się od wybuchów radości i wymachiwania rękami, bo, rzecz jasna, to denerwuje M. Wpadam w euforię na dźwięk mojego ojczystego języka, na widok swobodnego zachowania ludzi, białej skóry, kolorowych ubrań, džinsów i espadryli podróżnych. Jak dobrze jest poczuć zapach jesieni, usłyszeć swojską muzykę i znaleźć się w miejscu, gdzie wszystko dobrze znam.

Podaję paszport celniczce, ładnej blondynce, która zadaje mi szybko kilka pytań. Tak, z miłości. Wyjechałam z kraju z miłości. Na jej twarzy pojawia się domyślny uśmiech. Na oko moja historia musi wydawać się taka piękna i romantyczna, myślę. Z miłości do kogoś, nie z miłości własnej. Ta ostatnia została w wiosce zakopana w piasku.

Przechodzimy odprawę bez przeszkód i już mamy wychodzić na halę, gdy tuż przed drzwiami zatrzymuje mnie urzędnik bezpieczeństwa granicznego i daje mi znak, żeby zboczyć na prawo. M idzie za mną, zarzucając mnie nerwowymi pytaniami, w obawie, że coś mogłoby mu grozić. Nie wrócisz do siebie, M, myślę sobie.

Przetrząsają mi rzeczy jak ostatnim razem. M nie podoba się, że moja bielizna wala się po stole na publicznym widoku. Widzę, jak przestępuje z nogi na nogę, z trudem powściągając złość, ale dobrze wie, że musi się opanować.

Wychodzimy wreszcie na halę, gdzie czeka na nas rozpromieniony Chafik, szeroko otwiera ramiona na powitanie swojego przyjaciela i długo się obejmują. Wita się ze mną i tak samo przytula mnie do siebie. Bardzo miły ten Chafik... Ale trochę taki „sympatyczny idiota”, już o tym zapomniałam. Zostaję trochę z tyłu, za plecami M, a oni rozmawiają przez kilka chwil. Dolatują mnie poszczególne zwyczajowe słowa związane z podróżą.

Wbijam oczy w ziemię. To dla mnie za dużo, tylu obcych ludzi, cały ten hałas, no i przede wszystkim boję się skrzyżować spojrzenia z jakimś mężczyzną, co grozi wybuchem wściekłości ze strony mojego M. Za żadne skarby nie chciałabym zepsuć tego powrotu, więc zachowuję się, jak należy, starając się nie uśmiechać i zbytnio nie poruszać. W końcu wyjeżdżamy z lotniska samochodem, który Chafik specjalnie wynajął na tę okoliczność. Na pewno tym pięknym jeepem cherokee chciał sprawić przyjemność M i uczcić nasz powrót do kraju. M ma fioła na punkcie samochodów.

W samolocie tak się złożyło, że na miejscu koło M siedział młody Arab, który z widocznym przejęciem opowiadał nam, że jedzie do Kanady studiować. Pierwszy raz leciał samolotem, podróżował sam, nie miał w Montrealu żadnych znajomych i nie wiedział, co ze sobą po przylocie zrobić.

Razem z M podczas długich godzin lotu, obmyślali plan działania i, rzecz

jasna, M wziął go pod swoje skrzydła. Trochę mi ten chłopak zepsuł podróż, bo wyobrażałam sobie raczej romantyczny powrót we dwoje, pełen uniesień, i miałam nadzieję, że M odzyska swoją dawną energię. Lecz on swoją energię poświęcił temu młodemu i praktycznie przez cały lot nie zwracał na mnie uwagi.

I tak ten młody chłopak jedzie teraz z nami w samochodzie. Siedzę z tyłu i upajam się moim miastem. Z bezgraniczną ulgą przyglądam się szarym, betonowym budynkom, miejscowym samochodom i z zaskoczeniem stwierdzam, że lubię nawet korki.

Zajeżdżamy pod dom Chafika w arabskiej dzielnicy i wspinamy się na trzecie piętro do jego mieszkania. W starych, wąskich i ciemnych korytarzach charakterystycznych dla tej części miasta unosi się silny zapach pleśni. Sufity są niskie, a ze zmurszałych ścian obłazi farba. Z miejsca dostaję duszności w tym klaustrofobicznym przejściu. W budynku musi być pewnie ze trzydzieści mieszkań, a Chafik mieszka w ostatnim, na końcu korytarza. Otwiera drzwi swojego dwupokojowego mieszkanca i mimo niewielkiego metrażu zaprasza nas na obchód. Na lewo znajduje się prymitywna łazienka, a zaraz za nią maciupenka kuchnia połączona z salonem, gdzie stoi niewielka kanapa, która zapewne posłuży nam dzisiaj za łóżko. Tuż obok na ścianie panoszy się gigantyczny, płaski telewizor – wielka duma Chafika. Jego łóżko znajduje się w małym pokoju. Właśnie sam odmalował ściany na wybrany przez siebie kolor. Pomarańcz... Jaskrawy, tandetny pomarańcz. Mój wzrok natychmiast pada na telefon i aż czuję mrowienie w dłoniach, tak bym chciała zadzwonić do rodziców i powiedzieć im, że wróciłam. Nie mogę przestać o tym myśleć od momentu, gdy dotknęłam stopami kanadyjskiej ziemi. Mam też ochotę wziąć prysznic i pójść na spacer ulicami mojego miasta, za którym tak się stęskniłam.

– Wykluczone, Sophie. Zostajesz tutaj, a ja i Chafik odwieziemy chłopaka do hostelu w centrum. Odpocznij sobie, dobrze ci to zrobi.

M zarządził – sprawa zamknięta. Wychodzą wszyscy trzej i znów zostaję sama, nie mając odwagi wyjść z mieszkania ze strachu przed M. Od miesięcy marzyłam o tej chwili, wyobrażałam ją sobie bez ustanku i przeżywałam w myślach dzień w dzień. Modliłam się i wzywałam niebiososa, żeby pozwoliły mi wrócić do mojego kraju. Okaleczałam się z rozpacz i bezsilności, żeby

mimo zniewolenia poczuć, że jeszcze żyję, a teraz, kiedy już jestem tutaj, boję się wyjść z domu. Co się ze mną stało? Zwijam się w kłębek w małym montrealским mieszkanku i uświadamiam sobie, że wyrwałam się z pokoiku w Afryce oddalonego od stąd o tysiące kilometrów, żeby teraz dać się zamknąć w takiej samej klitce, ale w Montrealu. Nic się nie zmieniło, czyli nic się nigdy nie zmieni... Ta sama historia, tyle że gdzie indziej.

Mam wrażenie, że telefon mnie obserwuje, woła, naśmiewa się ze mnie i z mojego tchórzostwa. Wywiązuje się walka i przez długie minuty wyzywamy się nawzajem spojrzeniem. To jakiś absurd, że mogłabym tak po prostu usłyszeć głos moich rodziców, a czuję się jak w kajdanach, choć nikt mnie nie pilnuje.

Poddaję się, pragnienie jest zbyt silne. Z przejęciem wybieram numer komórki mojego taty, żeby nie ryzykować i dodzwonić się na sto procent. Liczy się każda minuta, M może wrócić w każdej chwili. Lubi tak sobie czasem ze mną perfidnie pogrywać: wychodzi, pozwalając mi sądzić, że długo go nie będzie, po czym wraca wcześniej, niż zapowiadał, żeby mnie na czymś przyłapać i w ten sposób znaleźć pretekst, żeby mi przyłożyć albo porozbijać wszystko wokół siebie w drobny mak.

– Halo?

Niemożliwe. Czy to naprawdę mama po drugiej stronie linii? Pękam. Odgradzający mnie od rodziców mur, który zbudowałam w sercu, żeby nie dopuszczać do siebie najbardziej bolesnych uczuć i nie popaść tym samym w najczarniejszą rozpacz, wali się w jednej chwili i powstrzymywane od miesięcy łzy spływają jedna za drugą.

Na dźwięk głosu mojej kochanej mamy zaczynam dygotać.

– Halo... Tu Sophie...

– ...

Czekam z gardłem zaciśniętym z emocji.

– Sophie?! Boże, to ty? Gdzie jesteś?

Słyszę w tonie jej głosu, że jest zupełnie wstrząśnięta.

– Właśnie przyjechałam do Montrealu. Wróciłam, mammo.

W szoku powtarza w kółko, że nie może uwierzyć.

– Córeczko! Ty żyjesz! Jesteś w Montrealu! Mów do mnie, kochanie.

Nie spuszczam oczu z drzwi wejściowych i zachowuję maksymalną czujność. I wtedy słyszę szczęk otwieranego zamka i widzę, jak gałka przekręca się powolutku, ledwo dostrzegalnie. Z żalem ciskam słuchawkę na widełki, ucinając rozmowę z mamą, która pewnie nie zmruży teraz oka zaniepokojona tak brutalnym zakończeniem naszego pierwszego kontaktu. Po drugiej stronie M porusza się jak najciszej. Mam nadzieję, że nie słyszał dźwięku mojego głosu. Rozlega się skrzypienie wiekowych drzwi i pojawia się zarys jego sylwetki. Wyprostowany, jak włamywacz ogarnia wzrokiem zastanę sytuację. Nie pomyliłam się. Chciał mnie po prostu nakryć. Błyskawicznie przybieram swoją maskę i rzucam lekko:

– Już jesteś? Tak się cieszę!

Wchodzi do mieszkania, rozglądając się podejrzliwie za jakimkolwiek śladem przewinienia z mojej strony, ale ponieważ nic mu się nie nasuwa, daje za wygraną i bierzemy się do rozpakowywania bagaży. Po lekkim podwieczorku kładziemy się spać na rozkładanej kanapie, którą przeznaczył nam Chafik.

Męczy mnie tęsknota za mamą i tatą. Głos mamy przypomniał mi o bólu, jaki im sprawiłam, i sama też cierpię ponad siły. Tej nocy przechodzę prawdziwe katusze.

## 43. *Ciche porozumienie*

Jesteśmy w biurze mecenasa Savoie. Tata przerywa moją relację i pozwalam mu opowiadać dalej, żeby chwilę odpocząć i złapać oddech.

– Sophie i M przyjechali do Montrealu bez uprzedzenia i dwa dni później znowu odebraliśmy od naszej córki telefon, ale tym razem z rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Prosiła, żebyśmy przyjechali po nią jak najszybciej. To był pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku. Jej matka i ja, już od dawna żyjący w ciągłym pogotowiu, wskoczyliśmy do samochodu i pojechaliśmy pod adres, który nam podała. W panice gnałem z przedmieścia sto czterdzieści na godzinę, tak strasznie chciałem zobaczyć moją córkę. Czekala na nas na ulicy, u Chafika pod blokiem. Żadnego śladu M... Od razu zauważyliśmy, jak przeraźliwie schudła. Była blada, z zasinionymi oczami i ubrana na czarno od stóp do głów, chociaż był piękny, słoneczny dzień końca września. Jeszcze dobrze nie zaparkowałem, a moja żona już była przy niej. Spotkanie było burzliwe i bardzo trudne. Z jednej strony odczuwaliśmy niepomiarłą radość, ale widok Sophie, która stała się duchem samej siebie, poważnie nas zasmucił. Oczy biegały jej niespokojnie na boki i ponaglała nas, żeby jak najprędzej wsiąść do samochodu i odjechać. Moja żona usiadła z tyłu razem z nią, a ja z piskiem opon wypadłem z tej ulicy i z tego osiedla. Spędziliśmy więc z Sophie krótki czas w restauracji niedaleko miejsca, skąd ją zabraliśmy. Staraliśmy się nie wywierać na nią żadnej presji, żeby znowu nie zniknęła bez wieści. Opowiadała nam o swoim ukochanym, jak bardzo się przy nim rozwija i jaka jest dumna, że się z nią ożenił. W ten prosty sposób nasza córka obwieściła nam, że wyszła w tym czasie za mąż. Byliśmy wstrząśnięci i skołowani, bo to, co mówiła, zupełnie nie odpowiadało jej zachowaniu, a z jej spojrzenia bił wyraz jakiejś tępej rozpacz. Jej mama i ja

nie chcieliśmy jednak zarzucać jej pytaniami i, w cichym porozumieniu, oboje postanowiliśmy się do niej dostosować, chociaż w głębi duszy najchętniej siłą zabrałbym ją z powrotem do domu i wydobyłbym z niej odpowiedzi na tysiące pytań, które cisnęły mi się na usta. Na oczekaniu wymyśliła jakąś banalną historię, by wytłumaczyć swoje podbite oko, i zrelacjonowała nam swój pobyt w Afryce w monotony i pokrętny sposób, rozwodząc się nad krajobrazami i pięknem tego kraju. Nie przyszło nam do głowy, przez jakie piekło przeszła w ciągu ostatnich miesięcy. Po południu z krwawiącym sercem odwieźliśmy ją do tego mieszkania. Co za ojciec odprowadza córkę w łapy jej tyrana? Nienawidzę się za to, że nie zorientowałem się w kłamstwach mojej córki. Kiedy wracaliśmy później do domu, musieliśmy się z żoną zatrzymać przy drodze, tak byliśmy wzruszeni, przytłoczeni i rozgoryczeni tym przelotnym spotkaniem, ale przynajmniej wiedzieliśmy teraz, gdzie mieszka i że jest po naszej stronie oceanu.



## 44. Łup, łup, buzi

*Po napadzie szalu zwykle następuje okres szczęśliwości, kiedy potwór przeprosza i zapewnia ofiarę, że jest jego księżniczką i jego oczkiem w głowie.*

Od naszego powrotu minął już tydzień i wygląda na to, że między nami zapanował jako taki spokój. Jest mi lekko na duszy, a M jest cały troskliwy i opiekuńczy i obiecuje mi, że niedługo wynajmiemy sobie luksusowe mieszkanie. Bardzo złagodniał od tego dnia po naszym przyjeździe, kiedy mu odbiło, i wyładował na mnie swoją frustrację. Nie potrafi kontrolować emocji i chce nauczyć go mówić o tym, co czuje, zamiast wybuchać tak nagle z byle powodu. To właśnie po takim wybuchu zgodził się na moje spotkanie z rodzicami... *Keff, keff, boussa. Łup, łup, buzi.*

Jestem w montrealским metrze i snuję się wzdłuż ścian, bo przytłacza mnie ta chmara ludzi. Czuję się zagubiona w rozbieganym tłumie i ciągle nie mogę się przyzwyczać do wielkomiejskiego pędu. Po raz pierwszy od niemal roku wyszłam z domu sama i przechodzę powrotny szok kulturowy wśród tych wszystkich lekko ubranych ludzi. Moje drobne ciało obezwładnia lęk i tylko największym wysiłkiem woli zmuszam się, żeby nie zrezygnować z rozmowy rekrutacyjnej, o której informację znalazłam w lokalnej gazecie.

M nie może pracować, a skąpe oszczędności, jakie dostaliśmy od taty M, nie wystarczają na życie. Tym bardziej że bez pracy nigdy nie uda nam się znaleźć takiego mieszkania, jakie obiecał mi M, a zaczynamy mieć dość siedzenia Chafikowi na głowie. Więc pilnie zaaranżowaliśmy z M moją rozmowę o pracę sekretarki w grupie pośredników nieruchomości. Mogłabym poprosić o pomoc rodziców, ale M wpada w szał, jak tylko o nich napomykam. Staram się więc w miarę możliwości o nich nie wspominać.

Dlaczego jest na nich taki cięty? Potwór izoluje swoją ofiarę, wmawiając jej, że jej rodzina i przyjaciele chcą zniszczyć ich związek i mają zły wpływ na jej dalszy rozwój. Na moje nieszczęście słucham tego, co mówi, i znowu zamrażam w sobie uczucia do ludzi, którzy kochają mnie ponad wszystko.

Rozmowa przebiega pomyślnie i od najbliższego poniedziałku zaczynam pracę w dużym przedsiębiorstwie rodzinnym. W drodze powrotnej doznaję uczucia, że stanęła przede mną jakaś nowa szansa, i teraz zacznie się dla mnie całkiem nowe życie. Moje poczucie własnej wartości nieco się umacnia i nie mogę się doczekać, żeby przekazać M dobrą wiadomość. Ależ będzie ze mnie dumny. Wracam prosto do domu.

Ani M, ani Chafik nie dali mi kluczy, muszę więc czekać pod blokiem, aż wrócą. Czekam długo... Bardzo długo. Wczoraj reaktywowałam pager schowany głęboko na dnie mojej walizki podczas pobytu w Afryce, ale nie mam od M żadnej wiadomości. A obiecał mi, że będzie czekał na mnie w domu. Ani widu, ani słychu. Przez cały dzień na niebie gromadziły się złowrogie chmury i oczywiście właśnie teraz musi mi spaść na głowę rześisty, jesienny deszcz. Niech to szlag. Pięć minut – okej, ale nie zostanę tu na deszczu kolejnej godziny, szczególnie że zrobiło się zimno. Rozpętuje się burza, więc chronię się przed ulewą pod daszkiem nad drzwiami i czekam. Trzy godziny później pojawia się M. Nie mogę się powstrzymać i robię mu wyrzuty z powodu takiego lekceważenia.

– Długo tak czekasz?

– Ponad trzy godziny... Długo, gdzie byłeś?

– Trzy godziny? Nie mogłaś iść do kawiarni na rogu i tam na mnie poczekać?

Mogłam, pewnie. Ale gdybym to zrobiła, zaraz miałby pretekst, żeby na mnie napaść i wyładować ten wiecznie kipiący w nim wulkan gotów eksplodować o każdej porze dnia i nocy. Czuję się jak ostatnia idiotka i jak zwykle przy nim nie wiem, skąd wiatr zawieje.

– Uspokój się, znalazłem dla nas mieszkanie. Jutro rano idziesz podpisać umowę o wynajem. Dostałaś tę robotę, mam nadzieję?

– Tak.

– *Behi.*

*Behi...* Po prostu „dobrze”? A gdzie: „Och, kochanie, jestem z ciebie dumny!”, albo: „Wspaniale, gratuluję!”? Nie, zwykłe *beh.* Ani słowa wyjaśnienia, dlaczego się spóźnił, ani powitalnych uścisków. Tylko jakieś dziwne wrażenie, że coś jest nie tak.

– Przestań się na mnie gapić i wchodź.

– To gdzie byłeś?

Nie odpowiada i wpycha mnie do środka. Moje trzecie oko coś zaczyna dostrzegać i czuję, jak w gardle zaciska mi się supeł.

– Idę pod prysznic – mówi, wchodząc do mieszkania.

Korzystam z okazji i myszkuję mu po kieszeniach. Rachunek z restauracji za dwie osoby... Adres i numer telefonu zanotowany kobiecą ręką na serwetce stołowej. Od naszego powrotu minął ledwie tydzień, a on już włączy się nie wiadomo z kim i wyprawia nie wiadomo co.

Po raz pierwszy od dawna wpadam w prawdziwą złość. Wkraczam do łazienki i, wymachując rachunkiem, domagam się wyjaśnień. Gwałtownym szarpnięciem odsuwa prysznicową zasłonkę, wychodzi z kabiny i łapie mnie za gardło. Przyciska mnie brutalnie do ściany, unieruchamiając mnie prawą ręką. Oczy wychodzą mi z orbit, krew nabiega do twarzy i nie mogę złapać powietrza. Zbliża twarz tuż-tuż do mojej. Dyszy zajadle z wściekłości, aż czuję podmuch jego oddechu na skórze. Nagi i ociekający mydlinami przewierca mnie pełnym wściekłości spojrzeniem.

– Nic ci nie jestem winien. Nie tłumaczę się przed nikim, a już na pewno nie przed tobą. WYNOŚ SIĘ!

Zdejmuje rękę z mojej szyi i bez słowa wraca pod prysznic. Z trudem łapię oddech i, krztusząc się, chwiejnym krokiem wychodzę z łazienki. Osuwam się na łóżko i staram się odzyskać równowagę.

Od tej chwili nie pytam go już, gdzie chodzi i co robi. Odsuwam wątpliwości i na wszystkie maski, jakie już mam wytatuowane na twarzy, nakładam kolejną. Przez trzy następne dni noszę sweter z golfem, bo na szyi zostały mi wielkie ślady palców i jest mi okropnie wstyd.

## *45. Potwór zawsze stawia na swoim*

**K**u mojemu zaskoczeniu którejś niedzieli rano M stwierdza, że najwyższa pora, żeby znów spotkał się z moją rodziną. Jestem zdziwiona i oszołomiona tak nagłym zwrotem w jego zachowaniu, a instynkt każe mi zachować ostrożność i dobrze przyjrzeć się całej sytuacji przed podjęciem jakichkolwiek kroków. Czy to jakiś podstęp, żeby coś ugrać? W Montrealu M nie ma absolutnie niczego, poza walizką wypełnioną drogocennymi ciuchami, o które dba, jakby były co najmniej ze złota. Ja też nie mam nic, jedynie mój umeblowany pokój, którego nie widziałam od wieków. Ponieważ nasze mieszkanie jest już przygotowane i mamy się niezwłocznie przeprowadzić, wydaje mi się, że wiem, skąd ta nagła chęć, by zobaczyć moich rodziców. Na pewno będzie chciał, żebym ogołociła mój dawny pokój w domu i zabrała meble do naszego nowego mieszkania.

W jego obecności dzwonię do mamy i nie mogę zetrzeć z twarzy wielkiego uśmiechu, kiedy radośnie oznajmiam jej, że dziś wieczór przyjdziemy do nich z M na kolację. Od mojego powrotu rodzice wielokrotnie już nagrali mi się na pagerze, prosząc, żebym odwiedziła ich w domu i spotkała z siostrami, które bardzo by chciały się ze mną zobaczyć. Mama jest taka szczęśliwa, że dzwonię. Pewnie nie może usiedzieć na miejscu. Tata przyjedzie po nas na dworzec autobusowy u podnóża góry, na której się wychowałam.

Niewiele później po południu wsiadamy z M do metra. Przedtem starannie czeszę długie, jasne włosy i maluję się dyskretnie za zgodą mojego M, który prawi mi komplementy. Z lustra spogląda na mnie zmęczona twarz o zapadniętych policzkach. Próbuję trochę polepszyć mój wygląd i sprawić nieco mniej zabiedzone wrażenie. Może nie powinnam była aż tak się starać.

W metrze M chwytą spojrzenie mężczyzny, który mi się przygląda. Ja nic nie zauważyłam. Słyszę tylko, jak M zaczyna mi wymyślać, po czym wywleka mnie siłą z wagonu. Ciągnie mnie na siedzenie, sadza sobie na kolanach i, żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości, zamyka ramiona wokół mnie. Jak zwykle tylko do ucha wylewa mi cały swój jad, nazywając mnie głupią dziwką i szmatą. Twierdzi, że świadomie prowokuję mężczyznę, i od tej pory nie wolno mi się malować. Koniec dyskusji.

Po około trzech kwadransach jazdy autobusem znajdujemy się wreszcie u mnie. Jestem szczęśliwa i smutna jednocześnie. Grają we mnie sprzeczne emocje. Z jednej strony czuję przygnębienie istoty, której odebrano prawo istnienia, ale także radość małej dziewczynki wracającej do domu, do rodziny i do swoich korzeni. M jest na mnie wściekły i od dłuższego czasu nie odezwał się do mnie słowem. Jak niby mam kontrolować spojrzenia innych ludzi? Dlaczego to zawsze na mnie skrupia się jego złość? Po co ja w ogóle żyję? Różnymi sposobami próbuję przemówić mu do rozsądku. Wybacz mi w końcu w ostatnim momencie, tuż przed tym, jak docieramy na miejsce.

Tata już na nas czeka i wita się z M mocnym uściskiem dłoni. Podaje rękę diabłu... Po plecach przechodzą mi ciarki.

M to wytrawny gracz. Spędzamy wspólnie uroczy wieczór, chociaż mam wrażenie, że między M a moją rodziną wyrasta jakiś mur. Wyczuwam u rodziców niechęć wobec niego, a moje siostry stają na rzesach, żeby nie doprowadzić do ponownego zerwania naszego kontaktu. M nie kryje swoich poglądów politycznych i jasno daje do zrozumienia, jak strasznie nie cierpi Quebecu. Nikt przy stole nie bierze tego do siebie, nie chcąc psuć atmosfery. Nakładam M jedzenie i sprzątam po nim talerze pod uważnym spojrzeniem mojej mamy, która w duchu zauważa moje podporządkowanie.

Nikt nie ośmiela się zadawać zbyt wielu pytań. Nie dopuszczamy do żadnego konfliktu. Wszyscy za bardzo się boją, żebyśmy znów nie zniknęli... A M robi swoją maskaradę, demonstracyjnie nadskakując mi na każdym kroku i odnosząc się do mnie z przesadną czułością. W końcu na stół wjeżdża deser i z żalem znów muszę rozstać się z rodziną. Mama jest taka miła, że proponuje, że powiezie nas do metra, co oszczędzi nam jazdy autobusem, ale M kategorycznie odmawia. Mama nie nalega. Mój pokój zostaje nietknięty, ale M ustala z ojcem, że zabierzemy tych kilka mebli,

które się w nim znajdują do urządzenia naszego nowego mieszkania. W przyszły weekend moja rodzina pomoże nam w przeprowadzce.

## 46. *Wiecznie mało*

Od poniedziałku chodzę już do pracy i wracam do domu wykończona po całym dniu w biurze. Co rano tłukę się autobusem i metrem, co łącznie zajmuje mi godzinę i czterdzieści pięć minut, plus czas na przesiadki, potem cały dzień w pracy i ta sama przeprawa z powrotem. Mieszkanie, które znalazł dla nas M, jest daleko na północnym wschodzie, a moje biuro mieści się na zachód od centrum miasta.

Ciągle nie mamy mebli i po powrocie z pracy zabieram się do sprzątanía, malowania i gotowania kolacji. Właściciel podarował nam farbę, więc wieczorami odmalowuję ściany na biało. Odwiedziłam też sklep „wszystko za dolara” i kupiłam kilka najpotrzebniejszych rzeczy: garnek za dolara, dwa talerze za dwa dolary, dwie szklanki, dwie łyżki, dwa widelce i dwa noże.

Nasze pierwsze gniazdko jest niewielkie, ale odnowione. Budynek jest czysty, ale ściany są niezwykle cienkie i słyszymy wszystko, co dzieje się u sąsiadów, jakby mieszkali z nami. Nadal nie mamy zasłon. Na ziemi leży tylko dmuchany materac, który służy nam za łóżko. Zabrałam z domu tylko moje poduszki i pościel do czasu, aż wszystko dojedzie w przyszły weekend.

Gdy wracam, w mieszkaniu jest ciemno. M nie ma w domu – jak zwykle pewnie włóczy się po kawiarniach. Ponieważ nie miał jeszcze czasu dorobić kluczy, chowa je pod schodami. Wchodzę do mojego nowego domu i zabieram się do malowania. Odmalowuję wielkie, czteropokojowe mieszkanie sama, po trochu każdego wieczoru, a podczas przerw pichcę smakowite posiłki dla mojego ukochanego, czekając na jego powrót.

Kupiłam nam obojgu bilety miesięczne, więc do pierwszej wypłaty zostało mi tylko siedem dolarów. Jestem bez grosza, ale kombinuję z

puszkami ze sklepu za dolara: soczewica, groch, bób z boczkiem. Kupiłam też chleb i masło. Przyrządzam proste dania, jak sądzę – do zjedzenia, a przynajmniej takie, żeby zaspokajały głód.

W pracy nie jem, bo nie mam pieniędzy (z wyjątkiem dni, kiedy przynoszę ze sobą jedną lub dwie kromki chleba), dopiero po powrocie do domu siadam do kolacji razem z M.

Któregoś wieczoru, gdy akurat maluję ściany w salonie i przętykam żal, że M nie chce zajmować się naszym nowym mieszkaniem razem ze mną, wparowuje z łoskotem kompletnie zalany. Posuwa się powoli, przytrzymując się ścian, żeby nie upaść. Ewidentnie wstawiony, z piwem w ręce, bełkocze po pijacku słowa, których wolałabym nie rozumieć. Złorzeczy mi. Był u swojego przyjaciela i jego żony, którzy podjęli go prawdziwie po królewsku: mięsem, świeżymi warzywami, winem i mnóstwem piwa. Mają wspaniałe mieszkanie w centrum miasta z wielkim, płaskim telewizorem. A ja, jego „żona”, mówi z pogardą, karmię go groszkiem na maśle, nie mam samochodu ani nawet telewizora.

– Jesteś u siebie w kraju, a i tak nic nie umiesz załatwić. *Kahba!*

Mówi mi, że jestem niedorozwinięta, żałosna i do niczego. Ale najgorsze są wyzwiska rzucające po arabsku. W Quebecu przekleństwa bazują na odwołaniach kościelnych, a w kraju M wulgaryzmy odnoszą się do sfery seksualnej i obrażają nie tylko konkretną osobę, ale też jej rodzinę.

Staję jak wryta. Jak on śmie? Wstaję codziennie o piątej trzydzięci i wracam o dziewiętnastej. Nie tylko nas utrzymuję, ale też zajmuję się całym domem. Fakt, nie dostałam jeszcze pierwszej pensji, ale on... Co takiego on robi przez cały dzień poza przepuszczaniem naszych pieniędzy na życie? Jak chce utrzymać rodzinę? Czy robi coś w mieszkaniu, żebyśmy mogli zacząć żyć jak ludzie? Nie, nie, i jeszcze raz nie. Nie robi nic. Porażona słucham jego obelg i czuję, jak w głębi narasta we mnie złość. Jest tak urżnięty, że nawet nie może zrobić mi awantury, przeciwnie, raczej walnie się na materac i będzie chrapał do rana. I tak też właśnie robi.

Jestem tak wściekła, że nie mam najmniejszej ochoty kłaść się obok niego, ale zmieniam zdanie na myśl o twardej podłodze bez przykrycia. Kładę się więc tyłem, ale udaje mi się zasnąć dopiero o świcie.



## 47. *Na sznurkach*

**I** już rano. Budzik dzwoni i rzucam się go wyłączyć, żeby nie obudzić M, który nie lubi, gdy budzik dzwoni więcej niż raz. W lustrze w łazience odkrywam spuchniętą od płaczu twarz i oczy zaczerwienione od łez. Biorę szybki prysznic, starając się robić jak najmniej hałasu, i wkładam ubranie, które mam zwyczaj wieszać w przeddzień przy drzwiach, żeby już nie wracać do pokoju i nie budzić śpiącego tam człowieka. Na palcach wymykam się z mieszkania, chwytając w locie torebkę.

W drodze na przystanek autobusowy, który znajduje się o dwa kroki od nas, czuję jakieś dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Przechodzi mnie dreszcz. Moje trzecie oko. Czuję na sobie czyjś wzrok, jakby ktoś szedł tuż za moimi plecami.

Odwracam się szybko i omiatam ulicę spojrzeniem, ale nie widzę nikogo. Podnoszę głowę i zauważam M w oknie naszego mieszkania, jak stoi w mroku i przygląda mi się intensywnie.

Patrzę prosto na niego ze smutkiem i zwieszam ramiona. Jakim cudem dam radę przetrwać ten dzień z takim bólem w sercu? Kiwa na mnie, żebym wróciła. Jednocześnie nadjeżdża mój autobus i jeśli na niego nie zdążę, spóźnię się do pracy. Posyłam mu całusa i pokazuję, że muszę lecieć, wskazując palcem autobus.

M otwiera okno, wystawia głowę i wrzeszczy:

– *Ya kahba*, wracaj tu!

Zamieram. Myślałam, że chciał mi tylko pomachać na pożegnanie, ale widzę, że raczej pomacha sobie po mojej twarzy, jeżeli nie zawrócę. Nie

mam wyboru, przegapiam autobus. Wbiegam na górę i otwieram drzwi do mieszkania. Widzę, że ze strachu i ze zmęczenia trzęsą mi się ręce...

Stoi w przedpokoju w samych bokserkach. Piękny, a jednocześnie taki odstręczający.

– Kawa się skończyła. Kup, jak będziesz wracać. No, spadaj.

– Po to kazałeś mi wracać? Właśnie przegapiłam autobus – mówię rozgoryczona.

Ma to gdzieś i zatrząskuje za sobą drzwi do sypialni, żeby jeszcze dospać. Tego ranka musiał mną podrygować – pokazać mi, że cały czas pociąga za sznurki, a ja wciąż jestem jego posłuszną marionetką. Drażni go, że przez pracę nie jestem na każde jego zawołanie w ciągu dnia, i w ten sposób, wredny i samolubny, wypala mi w sercu znak, że niezależnie od wszystkiego, zawsze mam być do jego usług.

Podaję na nowo moją podróż. Przeszując z nogi na nogę, czekam na następny autobus, który się spóźnia. Denerwuję się, że nie dotrę do pracy na czas. W autobusie, który zawozi mnie do metra, które zawozi mnie do autobusu, który zawozi mnie do pracy, maluję sobie oczy i tuszuję ślady mojego cierpienia. Na maskę kamuflującą uczucia nakładam maskę pudru. A w drodze powrotnej starannie zmywam makijaż i wyrzucam wacik do kosza obok kierowcy, żeby zatrzeć ślady mojego nieposłuszeństwa.

## 48. Zachować pozory

Sobota. Tak jak uzgodniliśmy, mój tata i mama pomagają nam przewieźć moje rzeczy. Wyglądam ich niecierpliwie, podekscytowana, że pokażą im moje pierwsze mieszkanie. We dwa samochody przywieźli z przedmieścia pod wskazany przeze mnie adres wszystko, co miałam w pokoju (komodę, lampy, materac i stół kuchenny oraz stare krzesła od dawna schowane w piwnicy). W ciągu minionego tygodnia M zamówił instalację linii telefonicznej. Oczywiście na moje nazwisko. Paradoks polega na tym, że zabrania mi podawania komukolwiek naszego numeru i ustawił dzwonek najciszej, jak można, więc i tak nie słyszymy, gdy dzwoni. Po jakie licha mam płacić za podłączenie telefoniczne, które niczemu nie służy? Bo tak.

Tego ranka M nie ma w domu. Wszedł wcześniej spotkać się z przyjaciółmi, jak powiedział. Nie poznałam jeszcze tych nowych kumpli z dzielnicy, a o tych, którzy pilnowali mnie zimą w zeszłym roku, słyszę bardzo rzadko.

M powinien wrócić na czas pomóc w przeprowadzce. Moi rodzice już i tak się namęczyli, dźwigając wszystko z domu do samochodu. Naprawdę przydałyby się jego silne ramiona przy wnoszeniu tego teraz na trzecie piętro kamienicy w Montréal-Nord. Wypatruję ich przez okno w sypialni i, kiedy dostrzegam materac kołyszący się na dachu auta mojego ojca, już wiem, że M nie weźmie udziału w imprezie.

Podskakuję jak mała dziewczynka, kiedy biorę za rękę moją mamę i oprowadzam ją po całym mieszkaniu. Potem wyładowujemy wszystko z samochodów i wnosimy na górę. Kochana mama, pomaga mi wyszorować szafki w kuchni, ale kiedy otwiera lodówkę, nie może powstrzymać pełnego wyrzutu okrzyku:

– Sophie!

– Wiem, mamo, że nic nie ma, ale nie dostałam jeszcze pierwszej wypłaty.

Mama oburza się na mnie bez złości i każe sobie obiecać, że mam dać jej znać, jeżeli tylko mi czegoś potrzeba.

Och, mamo, gdybyś tylko wiedziała, czego mi potrzeba... Potrzebuję się stąd wydostać, zostawić mojego M. Potrzebuję pozbyć się strachu, znowu poczuć się wolna, tak jak kiedyś. Chciałabym znów mieć cztery lata i nigdy nie dorosnąć. Boję się nocy, boję się życia i nie mam już siły znieść tej wszechobecnej przemocy, tych słów, tych ciosów, tych gwałtów na moich miejscach intymnych i na mojej skórze. Gdybyś tylko wiedziała, mamo, jak gęste kłamstwo mam w tej chwili na twarzy. Czy ty nie widzisz, jak się męczę? Nie widzisz, że chcę umrzeć? Nie widzisz, że potrzebuję pomocy? Zbyt wiele mi potrzeba, mamo.

Głowę wypełniają mi te żarliwe zaklęcia, ale po moich pustych oczach mama odnosi wrażenie, że mam do niej żal.

– Nie obrażaj się, mówię to, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć, kochanie.

Niebieskie oczy, pełen słodczy głos i gorąca miłość mojej mamy rozdzierają mi serce.

– Wiem, mamo. Teraz jest trudny okres... Ale wszystko się jakoś ułoży.

Znając moją mamę, podejrzewam, że zaraz wyskoczy do sklepu na rogu i wypakuje nam lodówkę jak na wojnę, a mój ojciec nie byłby sobą, gdyby nie wsunął mi kilku banknotów do kieszeni płaszcza. Akurat, żeby dotrzeć do wypłaty.

Tymczasem pojawia się M. Wszystko zostało zrobione, moi rodzice zbierają się do wyjścia i witają się z nim oziębłe. Po raz pierwszy od dawna mam okazję zobaczyć, jak M potulnie spuszcza głowę i przybiera postać malutkiego chłopca, pytając, czy się gniewają. Ja nie daję się nabrać, ale moi rodzice mu wierzą. Żałują, oczywiście, mówią, ale to już nieważne. Moja lodówka pęka w szwach, a mieszkanie jest wygodnie urządzone, więc po długim uścisku żegnam się z nimi, obiecując, że od teraz będę się odzywać

co tydzień. Gdy tylko wychodzą za próg, kurtyna opada i stworzony przez M chłopczyk rozplywa się w powietrzu.

Tego wieczoru zaprasza swoich nowych kumpli do domu na kolację. Czują się jak u siebie, wyżerają nam wszystkie zapasy i imprezują do późna, paląc haszysz i popijając piwo... Haszysz i piwo, za które ja płacę. Żaden z nich mi się nie podoba, wręcz przeciwnie. Gdy patrzę na tych mężczyzn o pogardliwym, pysznym spojrzeniu, czuję w ustach gorzki posmak, a w sercu pojawia się lęk. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, traktują mnie jak służącą i wydają mi polecenia tak jak M. M im na to pozwala. Ja też.

Gdzie jestem? Całe ciało mam ścierpnięte. Słońce wschodzi i dobiega mnie poranny świergot ptaków. Podnoszę głowę, a wtedy przenika mnie dotkliwy ból. W uszach brzęczy mi jednostajny szum, a wszystkie moje mięśnie kurczą się na nowo. Moje życie stało się gehenną.

## 49. Na mój koszt

*Potwór uwielbia swoją ofiarę jednego dnia, a drugiego jej nienawidzi. Hołubi ją, rozpieszcza i jej nadskakuje po to, żeby tym mocniej ją potem sponiewierać. To jego przyjemność.*

**M**oja bezpośrednia przełożona, dla której wypełniam dokumenty i odbieram telefony, jest dla mnie miła. Jest nieco przy kości i wygląda jak typowa babcia, o której wszyscy marzymy. W sumie to ja mam taką babcie, co to zawsze ma w domu ciasto, czerwone lukrecje i ciasteczka domowej roboty, ale rzadko ostatnio o niej myślę. Nie widziałam jej od miesiący, już prawie rok. Tego dnia w południe szefowa prosi, żebym poszła razem z nią do kuchni, gdzie otwiera zamrażalnik i pokazuje mi przezroczystą torbę pełną podzielonych na małe porcje dań własnej roboty.

– Bardzo lubię gotować i tym razem wyszło mi za dużo. Zamroziłam wszystkiego po trochu z myślą o tobie. Możesz je sobie odgrzać i zjeść na lunch... Wszystko – mówi żartobliwie i z przyganą dźga mnie palcem w zapadły żołądek.

Gdyby mi je tylko pokazała i nie powiedziała, że to dla mnie, nigdy bym się nie ośmieliła tak po prostu coś sobie wziąć i podgrzać. Łzy napływają mi do oczu i, wzruszona, dziękuję jej za życzliwość. Między mną a jedzeniem pojawił się ostatnio jakiś konflikt i mój żołądek tak się skurczył, że nie daję rady zjeść wszystkiego do końca. Gdybym tylko miała jakieś jednorazowe opakowanie, najchętniej wzięłabym coś ze sobą do domu na wieczór, ale ryzyko jest zbyt wielkie. Boję się, że M odkryje resztki z mojego obiadu. Pewnie poczułby się upokorzony i zrobiłby wszystko, żeby i mnie upokorzyć.

Wracam więc po całym dniu w biurze tak szybko, jak tylko pozwala mi na to autobus, zdenerwowana i niespokojna. Tego wieczoru musiałam zostać w pracy trochę dłużej i boję się, że w domu zbiorę cięgi za późny powrót.

M jest w domu i czeka na mnie. Jest gładko ogolony i wystrojony jak z żurnala – prawdziwy model w mojej kuchni. Wyczuwam pozytywną energię wokół jego boskiego ciała, więc uśmiecham się i rozkoszuję tą bliskością między nami. Podbiega do mnie, łapie mnie na ręce i obraca w powietrzu. Patrzy mi prosto w oczy i bez końca powtarza: „Kocham cię”, całując mnie jednocześnie po szyi. Zanoszę się śmiechem, bo łaskocze mnie tymi swoimi miodowymi ustami. To dzięki takim chwilom jak ta utrzymuję się jeszcze przy życiu i chociaż nie zdarzają się często, to, kiedy już się trafią, robi mi się lekko i radośnie na duszy.

M prowadzi mnie do kuchni i z dumą prezentuje stół nakryty dla dwojga. Muszę się uszczypnąć, ja chyba śnię. Jestem oszołomiona. On naprawdę przyrzędził dla mnie kolację!

– Siadaj, wszystko gotowe.

Obejmuje mnie i zadowolony ciągnie w stronę krzesła, po czym odwraca się i sadza mnie sobie na kolanach.

Rozweselona, ośmielam się przymilnie zapytać:

– Co to za okazja, kochanie?

Siada naprzeciwko, trzymając w rękach talerze z kurczakiem *halal* podsmażonym na oliwie i skórce pomarańczowej. Pachnie smakowicie. Przeklinam przysmaki mojej szefowej, bo nie jestem aż tak wygłodzona jak zwykle, ale wyśmienity aromat kurczaka ożywia mój nos i pobudza apetyt.

M zaczyna szybko opowiadać mi o swoim dniu. Nie powiedział mi tego wcześniej, żebym się nie martwiła, w razie gdyby coś miało pójść nie tak, ale dzisiaj rano odbyła się rozprawa w sądzie w związku z jego napaścią na Yasmine. Jeden plus jeden... W ułamku sekundy zaczynam sobie tłumaczyć jego zachowanie z ostatniego weekendu i usprawiedliwiam sama przed sobą jego agresję i popędliwość. Mój biedny, mały M, musiał zadręczać się z niepokoju, a ja w ogóle nic nie rozumiałam i miałam do niego pretensje, zamiast okazać mu wsparcie i jeszcze większą miłość. Robię sobie wyrzuty.

W napięciu cała zamieniam się w słuch.

Pałaszując wysuszonego i przesolonego kurczaka, opowiada dalej.

– Policja nic na mnie nie ma... Ta zdzira zasłużyła sobie na łomot i umorzyli sprawę.

– I przedłużyli ci wizę? Możesz normalnie zostać?

– Nie. To znaczy, że nie będę miał wpisu o karalności w papierach, ale wiza zostaje taka, jak była. Zresztą niedługo się kończy, ten twój pieprzony kraj wydał mi pozwolenie tylko na sześćdziesiąt dni, ale mam to gdzieś.

– Okej, ale... To niezgodne z prawem, prawda?

– I co z tego? Mam znajomych, którzy wyrobią mi lewe papiery.

Czy ja dobrze słyszę?

– No więc plan jest taki: potrzebujemy kasy, bo to, co zarabiasz, nie wystarczy na takie życie, jakie mam zamiar prowadzić. Dzisiaj, kiedy byłem w kawiarni i rozmawiałem z Nabilem, przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Cały czas jesteś na liście studentów, no nie?

Już dawno przestałam chodzić na uczelnię, ale tak, zapewne wciąż jestem w spisie. Nie wiem, do czego zmierza, ale już czuję niepokój w dole brzucha. Już się boję tego świetnego pomysłu, czy też tego nowego koleżki Nabila, o którym słyszę pierwszy raz w życiu.

– Złożysz podanie o pożyczkę i zasiłek.

BUM. O, nie! Boże mój, wszystko, tylko niech mnie nie miesza do swoich machlojek. W grę wchodzi moja reputacja i moje życie, nie jego. Chodzi o moje studia, moją wiarygodność. Jeżeli to zrobię, będę musiała potem ponieść konsekwencje, a wiem przecież, że M nie zwróci mi tych pieniędzy. Próbuję przemówić mu do rozsądku i tłumaczę, że to nie jest takie proste. Trzeba wypełnić masę dokumentów, a potem musiałabym faktycznie uczestniczyć w zajęciach, ale ucina ostro stwierdzeniem, że tak ma być i koniec. Zamykam się i mam tylko nadzieję, że nie wciągnie mnie w ten swój przekręt i sam w końcu zrozumie, że takie kombinowanie nie ma sensu.

Jestem rozczarowana takim obrotem sprawy, ale przytakuję potulnie i wbrew sobie mówię, że to dobry pomysł i warto spróbować. Tak się



obawiam jego reakcji i jego pięści, że żadne protesty nie wchodzą w rachubę, tyle się już nauczyłam. Usta wypełnia mi gorzki posmak i całkowicie tracę apetyt. On natomiast puszcza wodze fantazji i planuje, co zrobimy z pieniędzmi, obiecuje mi biżuterię i piękne podróże. Podróże? Jak niby myśli podróżować, skoro pozostaje w Quebecu nielegalnie? Jak ma zamiar żyć, skoro nie pracuje? Jak mamy przetrwać z mojej skromnej pensji? Opowiada sobie jakieś niestworzone bzdury i tworzy kompletnie nierealistyczne wizje. Kochamy się, ale nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Pozwalam mu wleźć na siebie jak zwierzęciu i wyładować swoje szaleństwo w moim udręczonym ciele.

## 50. Koszmar

Ciągle jeszcze się trzęsę w lodowatym mieszkaniu w Montréal-Nord. Jestem osaczona przez drapieżców. Banda sępów przesiaduje u nas pod czujnym okiem M. Kiedy wracam z pracy, okupują mieszkanie, za które JA płacę, wyżerają jedzenie, które JA kupiłam, i przepuszczają pieniądze, które JA w pocie czoła zarabiam. Wszystko idzie z dymem. Potwór drzemiący w M staje się jeszcze bardziej rozpasany, kiedy najara się zioła, haszyszu albo *free base*. Ten szajs budzi w nim najgorsze demony.

Gdy tylko przekraczam próg, M łapie mnie brutalnie za włosy tuż nad karkiem i wlecze mnie do pokoju. Jestem tak zaskoczona, że nie mogę wydusić słowa przez ściśnięte gardło. Nie mam czasu się bronić ani ogarnąć, na co się zanosi. Omiatam wzrokiem mieszkanie i widzę czterech bezwładnych mężczyzn, kompletnie pijanych, rozwalonych na podłodze w jadalni wśród butelek po rumie, pustych pudełek po pizzy, opakowań po chipsach, puszek z piwem i wypełnionych po brzegi popielniczek. Ich czarne oczy, śniada skóra i krzywe uśmiešky nie wróżą nic dobrego.

W ogóle ich nie znam, bo to są nowi koledzy M – towarzysze z kawiarni, gdzie zdarza mu się niekiedy spędzać całe dnie, grając w karty i kurząc papierosy.

Dreszcze. Panika. Serce tak mi łomocze, że chyba zaraz przebije się przez kości i wyskoczy mi z piersi. M ciska mnie na nasze łóżko małżeńskie, jakby wyrzucał śmieć na ulicę. Napada na mnie zajadle jak dzika bestia, niewyżyta, gotowa roznieść swoją ofiarę na strzępy. Jego czarne ślepie są zupełnie obce. Gwałtownie rozdziera mi bluzkę, wodząc po moim ciele szatańskim, obleśnym spojrzeniem. Wciska mi twarz w materac i zalewa mnie potokiem bluzgów.

– *Kahba*, ty kurwo, ty zdziro. Z kim sobie dzisiaj rozmawiałaś? Zawijasz dupą przed swoim szefem, głupia szmato? Już ja ci pokażę, co czeka takie *kahba* jak ty.

Te słowa, te sceny, te wspomnienia powracają do mnie w najgorszych koszmarach, a fale gorąca ściekają po mnie lodowatym potem, kiedy budzę się z krzykiem. Od tamtego dnia już zawsze śpię zwinięta w kłębek. Mam poczucie, że w ten sposób mogę lepiej uchronić się przed atakiem bestii.

Wchodzą do pokoju jeden po drugim i gwałcą moje ciało, wycierają o mnie swoją skórę i hańbią moje cierpienie. Depczą i gnoją moje istnienie. Za ścianą dudni głośna muzyka i zapadam się w głos Charles'a Aznavoura. Uciekam z nim do innego świata, gdzie jestem aniołem pośród migoczących gwiazd. Potem wynoszą się z mieszkania. M też. Wyję, krwawię i zaczynam się modlić. Mam sińce na ciele i duszy. Nie zostało ze mnie już nic. Dopiero późno w nocy ośmielałam się podnieść. Myję się, delikatnie szorując gąbką każdy zakamarek mojego ciała, po czym zasypiam na świeżym prześcieradle w kącie pokoju. Nie chcę nawet dotykać tego łóżka, tak samo splugawionego jak moje ciało. Musiałam zapaść w drzemkę, bo zrywa mnie nagły hałas u sąsiadów albo na dworze. Boję się powrotu M. Wraca nad ranem i pada na materac. Nie odzywa się do mnie przez wiele następnych dni. Do czasu, gdy, jak mówi, będzie mógł mi wybaczyć, że tak się wypięłam.

## 51. Oddychać przez tzy

Pograżam się w coraz większym odosobnieniu i znowu, tak jak w Afryce, czuję się jak ofiara bez drogi ucieczki opuszczona w swoim nieszczęściu. Awantury i pobicia powtarzają się teraz każdego ranka przed moim wyjściem do pracy. Jednego dnia mnie kocha, innego mnie porzuca. Docieram do biura całkiem roztrzęsiona i posiniaczona. Stałam się ekspertką w tuszowaniu śladów jego palców, szram po jego paznokciach na skórze i obolałych mięśni, po tym, jak ciska mną o ziemię i kopie, gdzie popadnie. Czasem specjalnie zakłada usztywnione metalem glany, żeby mnie bardziej bolało. M jak Męczarnie, M jak Morderca.

Dzisiaj jest pierwszy dzień miesiąca i nie mam pieniędzy na jego bilet miesięczny. Jak zwykle muszę jakoś go udobruchać przed wyjściem, bo za chwilę przyjedzie mój autobus. Już od drzwi w pośpiechu mówię mu, że muszę lecieć, ale że wieczorem przyniosę mu bilet.

– Chcesz mnie tu zamknąć, *ya kahba*? Myślisz, że jak ostatni debil będę tu siedział cały dzień i na ciebie czekał? Jak mam wyjść bez jebanego biletu?

– Miałam pieniądze na twój bilet, pamiętasz? Ale przepuściłeś wszystko na swoje imprezki z tymi skurwielami!

Czy ja naprawdę to powiedziałam?

Ryczy. Czuję, jak wzbiera w nim furia, a oczy zmieniają mu kolor. Jego energia ciemnieje, zaczyna dyszeć wściekle i prostuje ramiona z pochyloną do przodu głową. Demon powoli ogarnia jego ciało. Przykurcza dłonie, a jego tułów w zwolnionym tempie wygina się w lewą stronę, jakby w bólu. Nagle ściana w przedpokoju uderza mnie w plecy, musiałam cofać się nieświadomie.

Prawy łokieć unosi się do tyłu. Nabrzmiała żyła na czubku ogolonej głowy pulsuje mu w rytm oddechu. Słyszę tylko jego charczenie i szelest palców prawej dłoni, kiedy zaciska je w pięść. Nie podnosząc głowy, z niewyobrażalną siłą ładuje cios w ścianę tuż przy mojej twarzy, a natychmiast potem zamachuje się znowu i wbija mi zakrwawioną pięść prosto w brzuch. Zdjęta bólem zginam się wpół, a z ust wydiera mi się zdławiony jęk. Knebluje mnie lewą ręką i powtarza:

– Zamknij się, zamknij się, zamknij się!

Wypycha mnie z mieszkania i zatrzaskuje drzwi. Ciągłe skulona schodzę na dół po schodach. Na dworze panuje ziąb. W tym roku śnieg spadł już w listopadzie, a północny wiatr przybiera na sile. Wciągam głęboko powietrze, podnoszę ręce do nieba i z ciepłymi łzami na policzkach pytam Boga, co takiego zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na to okrucieństwo bez dna. Błagam anioły, żeby pomogły mi nie wracać już więcej do tego siedliska bólu. Zaklinam dobre duchy, żeby dały mi siłę zostawić M.

A wtedy jakieś ręce chwytają mnie od tyłu. To mój M, bosy i bez koszuli. Chowa twarz w moich włosach i prosi o wybaczenie. Odbijany – ciągle ta sama śpiewka. Po deszczu – słońce. M drży za moimi plecami. Z obrzydzeniem wyplątuję się z jego objęć i ruszam przed siebie, nie odwracając głowy i pozostawiając go samego z tym żalem, który dzisiaj mnie jakoś nie wzrusza. Słyszę, jak moje imię niesie się echem po pustej ulicy, ale oddalam się spiesznie i wskakuję do autobusu, który akurat podjeżdża. Czyżby moje anioły wreszcie mnie usłyszały?

Przez okno widzę, jak wchodzi do kamienicy z pochyloną głową i skulonymi plecami. Nie wiem, czy pasażerowie wokół przyglądają mi się dlatego, że zalewam się łzami, czy może widzieli całą dramatyczną scenę, ale nikt nic nie mówi i nikt się do mnie nie zbliża.

Pozostawiona sama sobie, staram się zachować oddech, chociaż ból przenika całe moje ciało. Czuję się jak ostatnia idiotka, kretynka i wariatka.

## 52. *Wesołych świąt*

Od czasu przeprowadzki M nie pozwala mi na spotkanie z rodziną. Moi rodzice nie rozumieją, co on ma im za złe. Przecież podarowali nam meble i sprzęty domowe i wielokrotnie próbowali za moim pośrednictwem zaprosić M do siebie, ale on chce radzić sobie sam. Tyle razy odrzucił ich pomoc, że w końcu przestali proponować.

Gdy zdarza się okazja, po kryjomu dzwonię do nich z pracy, a czasem, kiedy mam siłę, proszę tatę, żeby do mnie przyjechał. Te spotkania są trudne, bo za każdym razem muszę przyklejać do twarzy maskę i udawać, że wszystko jest w porządku. A pozbieranie się potem po takiej wizycie wiele mnie kosztuje.

Wiem, że tata musi brać wolne i przedzierać się godzinę przez odwieczne montrealские korki, żeby spędzić ze mną czterdzieści minut, i wracać. To samo mama, która na nasze spotkania przyjeżdża aż z drugiej strony rzeki. Mam poczucie winy, że ich do tego zmuszam. Męczą mnie uwagi na temat tego, jak schudłam i jaka jestem blada. Wiecznie muszę wymyślać jakieś wymówki i brak mi już pomysłów na kolejne kłamstwa. Nie wiem, co mam mówić, więc wolę słuchać, jak opowiadają o swoim codziennym życiu. W ten sposób choć na kilka chwil mogę przenieść się do ich świata.

Serce mi się kraje, gdy patrzę, jak bezradni są wobec tego, co się ze mną dzieje. Nie mają o niczym pojęcia, ale zdają sobie sprawę, jak jestem zdominowana przez tego mistrza manipulacji. Próbują przemówić mi do rozsądku, nakłaniają do powrotu do domu, ale wtedy momentalnie się w sobie zamykam i za wszelką cenę uciekam od tematu. Strach przed M mnie paraliżuje. Zbliży się Gwiazdka i tata pyta, czy razem spędzimy święta. Przeszywa mnie ostrze bólu.

– Tak, tato, przyjadę – mówię, bardziej żeby przekonać samą siebie.

Boże Narodzenie to moje ulubione święto i nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym go nie obchodzić. Od tygodnia napomykam o tym niezobowiązująco w rozmowach z M, próbując tym razem go zmanipulować tak, żeby to on podjął decyzję o wizycie u moich rodziców. Ponieważ często M po prostu robi mi na przekór, udaję, że mało mi na tym zależy.

Chwila prawdy. Budzę się w wigilijny poranek. Nad Montrealem prószczy czarodziejski śnieżek i przyglądam się przez okno wirującym w powietrzu płątkom. Moje dziecięce serduszko łopocze niecierpliwie i usiłuję na wszelkie sposoby stłumić w sobie podekscytowanie. M jeszcze śpi, więc cicho wstaję i idę do kuchni przygotować coś ekstra na śniadanie. Ze szczerą przyjemnością robię naleśniki według przepisu mojego dziadka, przyrządzam jajecznicę, potem wykładam na talerz herbatniki oraz owoce i zaparzam kawę. To w końcu Gwiazdka i jest mi radośnie na duszy. Mam nawet prezent dla M, który schowałam pod zlewem. M ciągle śpi. Zaczynam robić nieco więcej hałasu, żeby się wreszcie obudził, bo dochodzi południe, a zgodnie z tradycją Wigilia u moich rodziców zaczyna się o szesnastej od wspólnego kieliszka szampana. Jeżeli mamy jechać metrem, a potem autobusem, trzeba liczyć przynajmniej dwie godziny drogi. Biorę prysznic, a następnie otulam się szlafrokiem i wsuwam głowę przez drzwi do pokoju. Widząc, że nadal leży zakopany w pościeli, siadam przy nim i delikatnie głaszczę go po włosach, szepcząc mu do ucha, że śniadanie gotowe. Mruczy niezadowolony, ale w końcu przeciąga się w całej swej długości i otwiera oczy.

Wracam do kuchni usmażyć naleśniki i odgrzać jajecznicę, wreszcie widzę, jak wychodzi z pokoju zwabiony zapachem. Rano bywa zrzędlawy, więc się nie narzucam, ale fakt, że zajada z widocznym apetytem, to znak, że zapowiada się dobry dzień, i liczę, że uda nam się pójść na świąteczną kolację do mojej rodziny.

Potem M na długo znika pod prysznicem. W tym czasie ja sprzątam po śniadaniu i wkładam długą suknię, bardzo prostą, ale elegancką, myśląc, że M na ten sygnał skojarzy, że trzeba niedługo wychodzić. Sukienka okazuje się nagle o wiele za duża i wisi na moich kościstych ramionach raczej jak jakaś sutanna.

– Mam dzisiaj ochotę połączyć po centrum – mówi, gdy wychodzi z łazienki z ręcznikiem wokół bioder.

Przełykam z wysiłkiem ślinę i odpowiadam lekko:

– Dobrze, świetny pomysł!

Wielki ciężar przygniata mi ramiona. Moja rodzina czeka na wiadomość i w jednej chwili nabrzmiewa we mnie stres. M po swojemu musi udowodnić, kto tu rządzi, i tak się obawiam jego silnych łap i popędliwości, że ledwo oddycham. W cichości ducha liczę, że jeszcze będzie dzisiaj Boże Narodzenie.

Dojeżdżamy do centrum o wpół do czwartej, dwudziestego czwartego grudnia. W sklepach kłębią się tłumy, z głośników wyje bożonarodzeniowa muzyka, a liczne Mikołaje potrząsają dzwonkami i zbierają pieniądze na Armię Zbawienia. Jest bajecznie. Trzymam za rękę mojego tyrana i odliczam minuty ze świadomością, że moi rodzice otworzyli już butelkę szampana i nikt już na mnie nie czeka. Chodzimy po sklepach. M przymierza różne ubrania, po czym wychodzimy z pustymi rękami i oglądamy dalej. M chce iść do sali gier na partię piłkarzyków. Zaczyna ogarniać mnie rozpacz. Czas mija i z żalem stawiam krzyżyk na moich świętach. W torebce zaczyna wibrować mi pager. Sprawdzam numer, który się wyświetla.

– Kto to? – pyta M.

Podnoszę na niego smutny wzrok, bojąc się wyznać prawdę.

– Moja mama... Pewnie chce wiedzieć, czy dziś do nich przyjdziemy.

– A po co? Z powodu Jezusa? Co za idiotyzm.

– Jest Boże Narodzenie, *y'all baby!* Wiesz, jak bardzo chciałabym do nich pójść. Nie możemy tylko zajrzeć na chwilę się przywitać? Proszę cię.

– Tego właśnie chcesz?

– Najbardziej na świecie...

Przystajemy na rogu ulicy. Zimny wiatr smaga mnie po twarzy. Wpatruję się w niego uważnie, czekając, co powie. Próbuję rozszyfrować ruchy jego ciała. Spogląda w dal z rękami w kieszeniach i pobrzękuje monetami, które mu się tam płaczą. Mruży oczy i przygryza dolną wargę. Wyjmuje z płaszcza



papierosa i zapala, zaciągając się głęboko.

– To idź.

I rusza do przodu, patrząc prosto przed siebie. Biegnę za nim, próbując schwycić go za ramię, ale pozbywa się mnie, uderzając mnie w twarz wierzchem dłoni. Nieruchomieję. Stojąc na chodniku, podnoszę rękę do płonącego policzka i patrzę, jak M oddala się szybko, nie spoglądając za siebie. Znika mi z oczu. Czekam. Minutę, dwie, dziesięć. Czuję się kompletnie dezorientowana. Dochodzi osiemnasta, a ja nie biegnę za nim. Kręcę głową, moje drobne ciało ma już po prostu dosyć. Znajduję kabinę telefoniczną i odbiera mama.

– Mamo, tu Sophie. – Pękam. – Jestem sama w centrum... Czy ktoś mógłby po mnie przyjechać?

Tata wstaje od stołu i godzinę i kwadrans później przyjeżdża do Montrealu. W drodze do domu załamuję się i, szlochając, po raz pierwszy wyznaję ojcu, że między mną a M nie układa się najlepiej. Mówię, że pokłóciliśmy się o święta, ale ukrywam resztę i zaklinam go, żeby się o nas nie martwił. Próbuje mnie uspokoić i prosi, żebym została w domu na noc, ale ja nie chcę na ten temat rozmawiać i w milczeniu dojeżdżamy do mojej cichej twierdzy. W którymś momencie bierze mnie za rękę i ściska delikatnie.

Spędzam w domu zaledwie godzinę. Mój pager nie przestaje wibrować: M zostawia mi dziesiątki spanikowanych wiadomości, a to nakazując mi wracać i grożąc, że rozniesie mieszkanie w drobny mak, a to żaląc się, że beze mnie jest niczym i że się powiesi, jeżeli nie wrócę. Psuję święta moim dziadkom, siostrom, mamie i tacie, który odwozi mnie ponownie do metra. Chodzi we mnie każda komórka. Pod wpływem M zostawiam ojca, który z bezmiernym smutkiem przygarnia mnie do siebie i jeszcze raz prosi, żebym nie wysiadała.

Przy wyjściu z metra daleko na północy długo jeszcze czekam na autobus. Ze zwieszoną głową i znękanym sercem, pozwalam płynąć łzom, zdjęta panicznym strachem. M leży w łóżku w ciemnościach, kompletnie na haju. Mieszkanie jest wywrócone do góry nogami: talerze roztrzaskane na kawałki, zasłona prysznicowa w strzępach, a na podłodze wala się połamane

krzesło. Wesołych świąt.

## 53. *Bez czucia*

Luty. Od pamiętnego wieczoru wigilijnego nie widziałam rodziców i wbrew samej sobie staram się zostać przy życiu. M eksploduje przynajmniej raz dziennie i co drugi dzień, a czasem i częściej, znajduję ślady jego popędliwości na ciele. Już nie potrafię przewidzieć, kiedy objawi się Potwór. Jestem notorycznie gwałcona i maltretowana, M wyżywa się na mnie bez żadnych zahamowań, kalecząc mnie w najbardziej intymnych miejscach. Udało mu się oberwać mi wszystkiej moje kolce jeden po drugim i uczynił ze mnie strzęp ludzkiej istoty. Chwytam się jeszcze tych krótkich przebłysków, gdy bywa taki jak dawniej, czuły i kochający, jak jakiś duch z przeszłości Ale nie bicie jest w tym wszystkim najgorsze, tylko słowa, którymi rani mnie do żywego jak nożem, odzierając mnie z treści mojej egzystencji. Koniec końców zaczynam mu wierzyć... Jestem niczym i za to należy mi się lanie.

W tym tygodniu M dostał przelew od swojego ojca, więc w ramach „gojenia ran” obsypuje mnie prezentami i niespodziankami.

W ten lutowy poranek wychodzi z domu wcześniej, przykazując mi, że mam spakować kilka drobiazgów i czekać w pogotowiu, gdy wróci za godzinę. Uwielbiam, kiedy M coś dla mnie szykuje i obmyśla takie niespodzianki. Przygotowuję więc torbę, do której wrzucam kilka najpotrzebniejszych rzeczy: szczoteczkę do zębów, ubranie na zmianę i kosmetyczkę z przyborami do makijażu w razie, gdyby pozwolił mi się trochę podmalować. Wypatruję jego powrotu przez okno w salonie. A to dopiero! Ze zdumieniem widzę, jak podjeżdża pod dom czarnym, nowiutkim bmw! Wysiada piękny i zadowolony. Czasem ponosi go taka fantazja, żeby na przykład wynająć luksusowy samochód i zabrać mnie na małą wycieczkę na północ od miasta. Jak wspaniale jest mknąć przez góry, nie myśląc o

codziennych kłopotach. Przez chwilę mamy wrażenie, że jesteśmy bogaci, i beztrudnie poddajemy się tej zabawie jak para dzieciaków. Po drodze zwiedzamy bardziej malownicze zakątki. Zatrzymujemy się co jakiś czas: to na kawę, a to w jakimś sklepiku albo po prostu poprzehadzać się w tłumie turystów.

Nigdy nie zapomnę tego błędnego dnia, kiedy mogłam uciec od rzeczywistości i uwierzyć, że wszystko się jeszcze ułoży. Lubiłam udawać, że jesteśmy kimś innym, niż to było naprawdę.

Siedzimy w restauracji rzuconej pośród gór, pijemy dobre wino i rozmawiamy o przyszłości, o dzieciach i planach, żeby przeprowadzić się do Afryki i tam założyć rodzinę. M oświadcza, że chce mieć syna, którego odda na wychowanie swoim rodzicom, żeby wykształcić w nim żelazny charakter i poczucie godności właściwe ludziom z jego kraju. Nasz syn będzie miał nianię, a my tymczasem będziemy podróżować i zbijać majątek. Co za dyrdymały. Jeżeli któregoś dnia będę miała dzieci, to nie ma mowy, żebym oddała je jakiejś niani, a tym bardziej, żeby dorastały z daleka ode mnie! Ale potakuję, udając, że myślę tak samo jak on i że zgadzam się naturalnie, żeby jego rodzina wychowywała nasze dziecko. Boże broń, żebym kiedykolwiek zaszła w ciążę! Boże, w co ja się wpakowałam?

W końcu M postanawia, że wrócimy do miasta jeszcze tego samego wieczoru, bo ma ochotę poimprezować z kumplami. I tak raptownie się kończy nasz romantyczny wypad. Nie oczekuję już nic od tego człowieka, który zmienia zdanie jak chorągiewka na wietrze.

Trochę mi jednak przykro, tak bym chciała, żeby ten spontaniczny wyjazd potrwał trochę dłużej. Nie chcę się nim z nikim dzielić w tej chwili i w drodze powrotnej milczę rozżalona. Nic mi się nigdy nie podoba, powtarza mi z wyrzutem. Pewnie ma rację, ale nie potrafię ukryć mojego rozczarowania. Na to natychmiast rodzi się w nim złość. Mogłabym się wreszcie nauczyć trzymać gębę na kłódkę. Jeżeli zaraz dostanie białej gorączki, to tylko przeze mnie i sama będę sobie winna. Staram się przekonać tę małą dziewczynkę w sobie, żeby zrobiła wysiłek i znalazła energię, żeby znów się uśmiechać.

Dojeżdżamy do centrum po zmroku. M zatrzymuje samochód przed

popularnym klubem. Wzdłuż czerwonej taśmy przed wejściem wije się długa kolejka młodzieży. M parkuje na drugiego, blokując wyjazd innym samochodom, każe mi zostać w aucie, zatrzaskuje drzwi i znika w grupie wesołych i bez trosk ludzi w moim wieku. Może wśród nich też jest jakaś księżniczka, która spotkała potwora? Może jest tu jeszcze jakaś młoda kobieta, która udaje szczęśliwą, a tak naprawdę zbiera baty i bluzgi, gdy wraca do domu, bo zachciało jej się dziś wieczorem potańczyć? Tak bardzo marzy mi się, żeby znów móc zatańczyć, że z zazdrością patrzę na tych, którzy ośmielają się bawić i błyszczeć. Moje światło już zgasło, a moja energia już tylko bezbarwnie pełga. Dlaczego nie wysiadam z tego bmw? Bo się poddałam. Bo jestem tylko zdzirą, która do niczego się nie nadaje i która powinna być trzymana w zamknięciu. I w ogóle wstyd mnie ludziom na oczy pokazać.

M wraca do auta dobre pół godziny później, a za nim banda jego obleśnych kolegów, już ładnie wstawionych. Pakują się wszyscy do samochodu, wyśpiewując po arabsku jakąś sprośną piosenkę. Napotykam wzrok najwyższego z nich trzech. Ma zepsute zęby, czarne dziąsła i duże, ciemne, wypukłe oczy, które zdają się wypełniać jego wąską twarz. Przechodząc koło mnie, pochyla się ukradkiem do mojego okna i łopocze wulgarnie językiem, po czym siada z tyłu, tuż za moimi plecami. Robi mi się niedobrze. Jak może sobie pozwalać odnosić się do mnie w ten sposób? Ale sobie pozwala. Wszyscy oni pozwalają sobie mną poniewierać, bo M robi przy nich to samo, więc, jak wierne małpy, naśladują swojego dumnego króla gór. Nikt tego nie widział, tylko ja, zanim spuściłam oczy. Zaraz też w całym ciele czuję nieprzyjemne mrowienie. Ja i ten mężczyzna mamy wspólny sekret. Horror tamtej nocy, gdy położyli łapy na moim ciele, mrozi mi krew w żyłach. Przestaję oddychać.

Wbita w przedni fotel trzymam się z daleka od tych pijanych bestii. M triumfalnie siada za kierownicą i rusza z piskiem opon, przyspieszając gwałtownie. Banda wiwatuje i wpadamy na autostradę. M prowadzi szybko, bardzo szybko. Wiem, że chce się popisać przed kompanami, ale ja się boję i szeptem, żeby nie przynieść mu wstydu, proszę, żeby zwolnił. Nie umie jeździć po zamarzniętych ulicach i zaraz straci panowanie nad kierownicą. Koła tracą przyczepność na śniegu i nagle czuję, że samochód stacza się na lewo. Wypożyczone auto nie reaguje na ruchy kierownicą, którą M wykręca

w jedną i w drugą stronę, usiłując sprowadzić je na właściwy kurs. Wydaje okrzyk i z całych sił chwytam swój pas bezpieczeństwa, który blokuje mi się na piersi. Dobrze, że nie zaczął gwałtownie hamować i udaje mu się wrócić na odpowiedni pas dosłownie na sekundę przed tym, jak otarłby się o betonowy mur wzdłuż autostrady. M uśmiecha się dumnie i, jakby nigdy nic, kontynuuje przejażdżkę, na szczęście trochę wolniej, i wreszcie cali i zdrowi docieramy do naszego mieszkania.

Nie gasi silnika. Pochyla się ku mnie, całuje mnie w policzek i mówi mi, że nie wróci zbyt późno. Mój wieczór dobiegł końca i wracam sama do domu, patrząc, jak odjeżdża gdzieś ze swoją ekipą. Smutno mi aż do kości, a wrażenie opuszczenia pogłębia się jeszcze bardziej, gdy wchodzę do naszego niemal pustego mieszkania. Bez czucia, bez miłości, bez siły i bez nadziei.

Cały czas jeszcze tkwi we mnie to poczucie osamotnienia i zawsze, kiedy znajduję się sama, przypominam sobie tamten czas. Boję się opuszczenia, cały czas wydaje mi się, że prędzej czy później i tak zostanę sama, potrzebuję ustawicznych zapewnień, miłości i szacunku. Już zawsze będę musiała pokonywać tę pustkę, którą wtedy czułam i uczyć się przebywać w samotności, a zwłaszcza zasypiać.

## *54. List od mamy*

*13 lutego 2002*

*Moja najukochańsza Sophie!*

*Nie mogę przestać o Tobie myśleć. Bardzo się martwię o Ciebie, śniesz mi się w nocy, zastanawiam się, czy w ogóle żyjesz i jak brzmi teraz Twój głos. Dwadzieścia pięć lat temu wyjechałam z mojej Skandynawii i od tego czasu Twoje siostry, Twój ojciec i Ty jesteście wszystkim, co mam. To normalne, że chcesz mieszkać sama lub ze swoim mężem, ale to nienormalne, że ja nie mam prawa Cię widywać, przynosić Ci jedzenia, że nie możesz odwiedzać nas w domu ani do nas dzwonić. To dla mnie nie do pojęcia i tak bardzo boli. Co za matka nie zna numeru telefonu swojej córki? Co takiego się stało po Waszej przeprowadzce? Co zrobiliśmy źle? Dlaczego poprosiłaś, żeby ojciec wysadził Cię kilka ulic dalej od Twojego domu, kiedy odwoził Cię ostatnim razem? Chciałam Ci dać nasze zdjęcia, żebyś mogła powiesić je u siebie na ścianie, ale odmówiłaś. A Twoje aktorstwo? Odkąd byłaś malutka, chodziłam z Tobą na wszystkie przesłuchania. Sophie, co się dzieje? Pomogliśmy M, kiedy ugrzązł w Afryce, zatrudniliśmy prawników i zwoływaliśmy spotkania, żeby tylko mógł wrócić do kraju, pomogliśmy mu też uzyskać w końcu papiery. Dlaczego teraz nie chcecie się z nami spotykać? Jak mam do Ciebie trafić i odnaleźć moją najdroższą córeczkę? Moje matczyne serce krwawi z rozpaczy. Nie mogę spać, rozmawiamy tylko o Tobie i niepokoimy się, czy czasem nie jesteś nieszczęśliwa. Co takiego zrobiłam, żebyś wyrzuciła mnie ze swojego życia w ten sposób? Kocham Cię, córeczko. Kocham Cię bez końca.*

*Mama*

## 55. *Ociekająca krewią*

**B**oję się nocy. Nadal panuje zima, zarówno w moim kraju, jak i w moim sercu, a tej nocy szaleje regularna zamieć i porywisty wiatr smaga nieszczelne okno w naszej sypialni. Niełatwo zasypiam i jak zwykle czekam najpierw, aż M zacznie chrapać obok, a dopiero wtedy próbuję się odprężyć i rozluźnić zawsze czujnie napięte mięśnie.

Nie powinnam była zasypiać.

Otwieram oczy w panice. Gwałtowny cios w twarz brutalnie wrywa mnie z głębi moich niespokojnych snów. W głowie huczy mi ból i siadam nerwowo na łóżku. Siedzę naga na materacu i widzę krew tryskającą jak woda z fontanny na moje piersi, brzuch i uda. Zszokowana zaczynam zawodzić z bólu i przerażenia na widok szkarłatnych strug na moim ciele. Nie mogę złapać tchu, a dotkliwy ból między oczami wskazuje, że krew płynie mi z nosa. M pospiesznie zakrywa mi usta ręką, żeby mnie uciszyć. Szeptem nakazuje mi przestać krzyczeć i powtarza w kółko zdenerwowany: – Zamknij mordę! Obudzisz cały dom. Zamknij się, cicho już bądź!

Jego dłoń na ustach przeszkadza mi oddychać, a krew płynąca mi z nosa zalewa mu palce. Powala mnie brutalnie na plecy i siada okrakiem na moim zakrwawionym ciele. Przykuwa mnie do łóżka całym swym ciężarem. Nie mam dostępu powietrza, zaczynam krztusić się krwią, która teraz spływa mi do gardła. Moje oczy w panice szukają pomocy, ale jest tu tylko rozgorączkowany Potwór, który walczy, żeby powstrzymać moje krzyki.

– Zabiorę rękę, jak przestaniesz się drzeć – mówi, sam oszołomiony całą sytuacją.

On też widzi, że się duszę. Zdejmuje mi rękę z twarzy. Trzymając się za



głowę, schodzi ze mnie i wstaje z materaca. Zaczyna krążyć po pokoju, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę drzwi, czekając, aż się uspokoję. Pewnie boi się, że sąsiedzi usłyszeli moje rozpaczliwe krzyki.

Staram się dojść do siebie. Już nie krzyczę, ale kaszlę i pluję krwią.

– To był wypadek, *y'all baby*. Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Coś mi się przyśniło...

Nigdy się nie dowiem, czy to był wypadek, czy też M postanowił przyłożyć mi w przypiływie szaleństwa, jak to mu się zbyt często zdarza. Podnoszę się i chwiejnym krokiem idę do łazienki, cała zalana krwią i bliska omdlenia. Moje odbicie w lustrze wygląda jak z horroru. Wszędzie mam krew, aż po koniuszki jasnych włosów. Nos mi zaczyna puchnąć i ból jest nie do zniesienia.

– Nie rozumiem. Jak to się mogło stać? Spójrz na mnie – mówię przed lustrem.

Mała Sophie ociekająca krwią w środku nocy. Czy to właśnie jest moje życie?

M staje w drzwiach łazienki i chce pogłaskać mnie po ramieniu, ale odruchowo się odchylam.

– Nie dotykaj mnie.

Mruczy jakieś banały i idzie umyć ręce nad zlewem w kuchni, po czym wraca do sypialni. Widzę, że jest tak samo poruszony jak ja, ale mam to gdzieś. On jest pomyłony i ja się go boję. Biorę długi prysznic, próbując zrozumieć, dlaczego budzę się w ciemności z rozkwaszonym nosem. Zawierucha tej zimowej nocy wdziera się do domu i zakłóca mi sen.

Już nigdy nie będę spała tak jak dawniej.

Następnego dnia wyglądam jak pokazowa bita żona, z posiniaczonymi oczami i napęczniałym nosem. Przypominam boksera po przegranej walce, nie ma mowy, żebym się tak pokazała w pracy. Ślady na ciele potrafię łatwo ukryć, ale żaden makijaż nie pomoże na tę zmasakrowaną twarz. Nie pytając M o pozwolenie, biorę telefon i dzwonię do szefowej z prośbą o dzień wolny z powodu choroby. Nie mam najmniejszej ochoty spędzić całego dnia z M,

choć odkąd wstał, jest uosobieniem czułości.

Wiem, że dziś, nawet gdybym zażądała gwiazdki z nieba, to bym ją dostała. M, który nigdy nie spuszcza oczu przed nikim, nie powążył się na mnie spojrzeć od samego rana. Wstyd mu, a mnie ogarnia wstyd... Za niego.

## 56. Zabierzcie mnie stąd

Pierwszy marca 2002 roku, godzina osiemnasta trzydzieści. Po całym dniu w pracy wracam do domu z zamiarem, żeby wziąć gorącą kąpiel i sobie poczytać. Boję się jednak wejść do mieszkania, bo nigdy nie wiadomo, jakie powitanie zgotuje mi M. Jest w dobrym humorze raz na dwa dni, a to nie będzie dzisiaj. Rano się do mnie nie odzywał i zupełnie mnie ignorował. Próbowałam go trochę rozchmurzyć i rozśmieszyć wygłupami, ale tylko sama się ośmieszyłam. Widziałam natomiast, że patrzy za mną z okna w sypialni, jak wsiadam do autobusu. Mam zatem nadzieję, że odnajdę M w jego łaskawym wydaniu i wchodzę do mieszkania, wykrzykując z przesadną wesołością:

– Cześć, jestem!

M wygląda cudownie w białym, rozpinanym swetrze i beżowych spodniach ze swoją nową czapką „oprychówką” w brązową kratę, którą podarowałam mu wkrótce po Bożym Narodzeniu, nie wspominając rzecz jasna, że miał to być prezent gwiazdkowy. Gdyby się dowiedział, wyrzuciłby ją do rzeki. Prezentuje się elegancko i z klasą, ten mój M. Jestem nim zauroczona, szczególnie że zwykle obija się w gaciach całymi dniami.

– Świetnie wyglądasz! – mówię, podchodząc, żeby go pocałować.

Powstrzymuje mnie wyciągniętą ręką i odpycha niechętnie.

– Po co ty w ogóle istniejesz? Jesteś tylko ciężarem, *ya kahba*.

Napinam się cała i robię krok do tyłu. Ciężarem? Jak to ja jestem ciężarem? Spełniam wszystkie jego zachcianki. Pracuję od rana do wieczora, żeby zarobić na wszystko: czynsz, jedzenie, jego marihuanę, jego wyjścia,

jego bilet miesięczny, alkohol i rachunki. Więc w jaki sposób jestem dla niego ciężarem?

Nie przestaje przeklinać. Wypluwa mi w twarz wściekłe obelgi pełne pogardliwej ironii. Już go nie pociągam, nic sobą nie reprezentuję, nie mam osobowości, jestem jak wycieraczka, jestem brzydka, nie maluję się, nie dbam o siebie, nie umiem się pieprzyć, jestem tylko pindą z Quebecu bez rozumu i bez kultury.

Mam dość, nie mogę już znieść tych ciągłych ataków.

– Przestań!

Na usta wypływa mu szatański uśmiezek.

– Podnosisz na mnie głos?

Jego głos brzmi złowrogo i jest pełen pogardy. Robi krok naprzód i wbija mi wskazujący palec pod obojczyk.

– Ty, głupia dziwko, ty na mnie podnosisz głos? – powtarza.

I jego palec ponownie wwierca mi się w ramię.

– Odchodzę, *KAHBA*.

*Kahba* wypowiedział powoli, akcentując każdą sylabę, po raz kolejny wbijając mi palec w ramię, żeby dobrze odcisnąć to słowo na moim ciele i w mojej pamięci.

– Nie chcę już więcej widzieć twojej wstrętnej gęby. I wiesz co? Dziś wieczór znajdę sobie cały harem kobiet. Przelecę je wszystkie jedną po drugiej i dopilnuję, żeby im było tak dobrze jak nigdy.

– Przestań... *y'all baby*, jesteś nieprzyjemny. To nieprawda, nie myślisz tak naprawdę. Przestań!

Łzy płyną mi po policzkach. Trzaśnięcie drzwiami. Zostawił mnie. Kładę się na ziemi, a w głowie w kółko dźwięczą mi jego słowa. Nie wątpię, że mógłby przelecieć cały harem kobiet. Czekam, aż wróci, ale nie tym razem. Jestem zdruzgotana, oszołomiona i głęboko dotknięta. Do głowy by mi nie przyszło, że mnie porzuci dziś wieczór. Nieznośny ból obejmuje każdy fragment mojego ciała. Mam tylko dziewiętnaście lat, ale sięgam po kartkę

papieru i ołówek i zaczynam pisać nie wiadomo do kogo. W tej mieszance beładnych słów oddalam się od niego. Te słowa żyją we mnie.

Głupia dziwko! Codziennie nazywa mnie głupią dziwką, a potem wszystko wraca do normy. Muszę płacić za to, że ze mną jest. Nie potrafię się już wydostać, jestem tylko dziwką na jego łasce. Już się kiedyś zdarzyło, że spał poza domem, a dzisiaj przeleci sobie cały harem. Ja go do tego doprowadziłam, bo jestem do niczego. Przez cały dzień gdzieś sobie łązi, spotyka znajomych i imprezuje, kiedy ja pracuję... I piekli się, kiedy brakuje nam pieniędzy. Jednego dnia mnie kocha, na drugi dzień już nie. Mam dość. Mówi, że wszystko, co robię, jest do dupy, że do niczego mu nie jestem potrzebna. Jak można powiedzieć coś takiego komuś, kogo się kocha, kiedy w dodatku nic się dla niego nie robi? Nic. Poza tym, że wyzywa mnie od dziwek i zdzir i zawsze woli pójść do swoich znajomych. Chcę, żeby wszystko było tak jak dawniej. Nic już nigdy nie robimy razem, a potem ma o to do mnie pretensje. Nie pozwala mi wychodzić, malować się, nosić spódnic powyżej kolan ani poniżej kolan. Mam już dosyć tego ustawicznego bólu. Nie mogę już żyć w tym ciągłym strachu, cierpieniu, wściekłości i upodleniu. W kółko powtarza, że przy nim jestem niczym, że nic nie jestem warta. To po co się żenił z nic niewartą kobietą? Wszystko zrobiłam, żeby tylko mnie kochał, ale...

Jest za dwadzieścia dziesiąta. Minęły już dwie długie godziny, odkąd wyszedł, a ja wciąż siedzę na podłodze w korytarzu oparta o ścianę. Jestem na skraju wyczerpania, mam tylko jedną drogę. Skurczyła mi się klatka piersiowa i z trudem łapię oddech pośród łkań. Sięgam po telefon i wybieram numer do domu. Odbiera mama, zaskoczona, że dzwonię.

– Chciałam wam tylko powiedzieć, że kocham was najbardziej na świecie. Powiedz tacie, że go kocham.

– Sophie? Gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie.

– Wszystko dobrze, mam. Chciałam tylko was przeprosić i powiedzieć, że was bardzo kocham.

I odkładam słuchawkę. Jak automat, idę do łazienki i otwieram apteczkę. M jest hipochondrykiem i trzyma tu cały arsenał. Leżą przede mną w rzędzie tuż przed moimi oczami: buteleczki, pudełka, kapsułki, syropy. Jeżeli wezmę

je wszystkie, to powinno wystarczyć.

Pod wpływem jakiejś wewnętrznej siły sięgam po pierwszą butelkę i połykam pastylki jedną po drugiej. Inny środek – opróżniam tak samo. Tak idzie za wolno. Wpycham sobie te leki na moją niedolę do ust garściami i połykam za pomocą dużej szklanki lekko ciepłej wody, która spłukuje mi wszystko do żołądka. Opróżniam saszetki, wychylam syropy, z determinacją i metodycznie chcę położyć kres mojej udręce.

Chcę umrzeć. Muszę umrzeć.

W apteczce nie zostało już nic do połknięcia. Zamykam oczy i czekam na efekty mojego wyboru. Ramiona mi drętwieją i miękną mi nogi, a w głowie rozlega się dziwne brzęczenie. Zamykam szafkę i przez lustro zatapiam wzrok w oczach Sophie. Przyglądam się jej długo i z ciekawością, a ona też na mnie patrzy. Kim jest ta drobna dziewczyna o nieskończenie smutnym, przejmującym spojrzeniu? Nie poznaję tych oczu przepełnionych bólem. Nie poznaję tej bladej, zmizerowanej twarzy ani tego garbu na nosie, który jest od teraz jej stałym elementem.

Tracę czucie w członkach. Z trudem przemieszczam się do sypialni i kładę się na łóżku, żeby zasnąć na zawsze. Wszystko mnie boli. Osuwam się na niepościelone łóżko. W nozdrza uderza mnie zapach M i zaczynam wyc jak wilk do księżyca.

Polecieć do gwiazd i na zawsze zatracić się w nieskończoności. Co to jest nieskończoność? Co to jest wieczność? Dokąd potem pójdę? Nie mam pojęcia. Jedyne, co wiem na pewno, to że piekło jest tu na ziemi. Piekło to już zbyt długo moje codzienne życie. Zapadam się we własne myśli. Pokój wiruje mi przed oczami i czuję zamęt w głowie. Wyciągnięta na łóżku, na którym tyle razy znęcał się nade mną mój tyran, tracę przytomność.

Jest rano. Nie umarłam. W ciągu nocy zwróciłam wszystko, co pochłonęłam poprzedniego dnia. Moje ciało przez długie godziny rzucało się w konwulsjach i teraz bolą mnie wszystkie mięśnie. Jestem sama i boli mnie każdy aspekt mojego istnienia. Dlaczego nie umarłam?

Podnoszę się z trudem. Czas mija i wreszcie wychodzę z łóżka. Snuję się po mieszkaniu i ze wstydem sprzątam pozostałości lekarstw na podłodze w sypialni. Boso pałam się po mieszkaniu, którego nienawidzę. Brzuch tak

mnie boli, że przez chwilę zastanawiam się, czy nie zadzwonić po pogotowie. Dzień upływa mi ciężko. Żadnych wieści od M. Gdzie on jest? Co robi? Ile miał wczoraj kobiet? To bardzo boli.

Zasypiam w końcu późnym wieczorem, całkiem sama i obumarła w środku.

Gdy budzę się rano w niedzielę, nadal brak wieści od M. Nie wytrzymam już tego cierpienia w samotności, czuję, jak narasta we mnie panika. Biję się po twarzy, walę głową w ścianę, wije się z bólu i całkiem się zatracam. Nie mogę już znieść tej udręki, ból zżera mnie od środka, mam wrażenie, że umrę z rozpacz. W przyпіływie desperacji, bez zastanowienia, dzwonię do ojca i proszę, żeby po mnie przyjechał i opróżnił mieszkanie.

- Przyjedź po mnie, tato! Błagam, zabierzcie mnie stąd. Ja umieram!
- Już jadę. Będę za godzinę.
- Nie ma go od piątku. Odchodzę, tato. Pośpiesz się, zanim wróci.
- Lecę. W tym czasie spakuj swoje rzeczy. Okej?
- Tak... Proszę, pośpiesz się... Już nie wytrzymam.

W totalnej panice wrzucam do torby wszystko, co mam. Ubieram się pośpiesznie i czterdzieści pięć minut później widzę przez okno w kuchni, jak samochód moich rodziców i jeszcze jakiś inny zatrzymują się przed moim blokiem. Pomimo skrajnego wyczerpania zbiegam na dół otworzyć im drzwi do budynku.

Tata, moja starsza siostra i jej chłopak (Mathieu, ponad dwa metry wzrostu i atletyczna sylwetka) wchodzi na klatkę i wbiegają po dwa stopnie na górę. Moja mama tymczasem bierze mnie w ramiona i przywieram do niej całą powierzchnią ciała. Obejmuje mi twarz rękami.

- Zabieramy cię stąd. Już po wszystkim. Chodź.

Opustoszyli mieszkanie w mniej niż piętnaście minut. Stoły, krzesła, talerze, szklanki, komoda, materac, przedmioty codziennego użytku itd. W błyskawicznym tempie ewakuujemy mieszkanie na trzecim piętrze jak specjalny oddział wojskowy. Zostawiamy M tylko to, co należy do niego: jego ubrania i jego szczoteczkę do zębów, nic więcej. Potwornie się boję, że

zdąży wrócić, zanim odjedziemy. Chcę się uratować. Obchodzimy wszystkie kąty ostatni raz i na zawsze żegnam się z tym przeklętym miejscem.

Na schodach mijamy kilku lokatorów, w tym dozorcę, który zawsze patrzy na mnie ze współczuciem. Jak się później okazało, to od niego moi rodzice dowiedzieli się, że sąsiedzi wielokrotnie chcieli wzywać policję, bo krzyki i awantury dobiegające od nas mroziły im krew w żyłach. Moja sytuacja stała się nawet tematem jednego ze spotkań wspólnoty. Co za wstyd.

Odjeżdżamy jak huragan. W samochodzie zaczyna docierać do mnie wrażenie oswobodzenia. Skulona na tylnym siedzeniu auta mknącego w stronę Rive-Sud, mam poczucie, że znalazłam siłę, żeby go zostawić.



## 57. Duszności

Na dwa następne dni poprosiłam szefową o urlop. Nie miała najmniejszych zastrzeżeń, wręcz przeciwnie. Najwyraźniej nie jestem aż taką specjalistką od kamuflażu, jak mi się wydawało.

Próbuję odzyskać siły w domu u rodziców, ale myśl o M nurtuje mnie cały czas. Znów czuję się jak marionetka bez sznurków i jest mi źle, tak strasznie źle. Mimo wszystko strasznie za nim tęsknię. Od niedzieli, kilka godzin po wyprowadzce, M nagrywa mi wiadomości na pagerze. Pierwszego wieczoru dostaję wiadomość co piętnaście minut, następnego dnia mój aparat wibruje średnio raz na dwie godziny.

*Jak mogłaś mi to zrobić? Gdzie jesteś? Jesteś moją żoną, masz wracać natychmiast! Kochanie moje, jak mogłaś mnie zostawić? Zabrałaś wszystko z domu. Bez ciebie jestem niczym. Przepraszam cię. Kochanie, wróć do mnie.*

W swoich wiadomościach wspomina piękne chwile z początku naszego związku i puszcza refreny naszych ulubionych piosenek. Mówi, że czeka na mnie i nie ruszy się z mieszkania na krok, aż nie wrócę. Czasami płacze i grozi, że odbierze sobie życie. Twierdzi, że moi rodzice mnie uprowadzili i przetrzymują mnie wbrew mojej woli. Chce mnie ratować. Obiecuje, że się zmieni, że wszystko zrozumiał.

Biję się sama ze sobą, żeby nie zmięknąć, i wmawiam sobie, że on się nigdy nie zmieni. Ale jest tak zrozpaczony. No i nigdy dotąd naprawdę go nie zostawiłam. Może zrozumiał?

Moja mama usiłuje odebrać mi pager, ale wycofuje się pod wpływem awantury, jaką to wywołuje. Nikt nie ma prawa go ruszać. To mój jedyny sposób na zachowanie kontaktu z M i nie ma mowy, żebym przestała

odsłuchiwać jego wiadomości. Całkowicie uzależniona od jego miłości jestem jak narkoman, którego próbuje się zbyt drastycznie zmusić do detoksu.

W salonie u rodziców dzieje się coś niedobrego. Na czoło występuje mi pot, zaciskam sztywno palce i osuwam się na podłogę. Nie mogę złapać tchu, duszności się nasilają i zdaje mi się, że umieram. Rodzice klęczą po obu moich stronach, głaszczą mnie po twarzy i przytrzymują mi wierzgające ręce. Gwałtowne skurcze mięśni wykręcają mi stopy i palce u nóg. Nie mogę znaleźć powietrza, duszę się. Pierwszy atak paniki. Po długich minutach udaje mi się wreszcie chwycić oddech i powoli powraca mi spokój. Jestem wyczerpana, pusta i na skraju zapaści. Tata zanosz mi do łóżka, a moja kochana mama głaszcz mi po włosach, aż zasnę. Budzę się w nocy wiele razy, bo dręczą mi koszmary. Gdzie jestem? Boję się.

Po tym krytycznym weekendzie tata jedzie ze mną do biura administratora naszej kamienicy, które na szczęście znajduje się daleko od tego przekłętogo miejsca. Postanawiam zerwać umowę, żeby już nigdy moja noga tam nie powstała. Dochodzimy do porozumienia i koniec! Otwieram nowy rozdział w moim życiu. Dozorca poinformuje M, że musi się natychmiast wyprowadzić. Mam dreszcze. Jak mogę robić mu coś takiego i wyrzucać go na ulicę? Co mnie opętało? To do mnie niepodobne. Wyobrażam sobie, jak mu będzie wstyd, kiedy dozorca każe mu się wynosić. To ja jestem potworem! Ale jest za późno i nie mam jak się sprzeciwić ojcu i administratorowi nieruchomości. Poza tym nie mam już siły walczyć. Historie o awanturach w mieszkaniu dotarły do uszu właścicieli i w żadnym wypadku nie pozwolą zostać u siebie człowiekowi, który przeszkadza innym mieszkańcom.

Znów jestem z tatą w samochodzie. Ogarnia mnie niepokój. Od tego, co zrobiłam, nie ma już odwrotu. Właśnie straciłam moje mieszkanie, mojego M i moją godność. Czuję wstyd i strach, znowu chciałabym umrzeć. Lęk chwyta mnie za gardło.

– Tato, znów mam atak. Zatrzymaj się!

Tata staje natychmiast na poboczu i mówi do mnie łagodnie. Nie mogę zapanować nad oddechem. Stoimy przy drodze, a atak narasta. Rozpoczyna

się walka ciała, które napina się w spazmach, z umysłem próbującym wyrwać mnie z impasu.

– Sophie, pozwól mi zadzwonić do naszego psychologa. Mama i ja spotkaliśmy się z nim wiele razy w ciągu ostatnich miesięcy i on mógłby ci pomóc.

Nie mogę wydać dźwięku, więc tylko kiwam głową. Jestem zdesperowana, ból rozdziera mi trzewia. Tak, potrzebuję pomocy.

Wracamy do domu w milczeniu. Ta cisza dobrze mi robi, wyczuwam w niej krzepiącą energię mojego taty, którego tak bardzo kocham. Jego obecność podnosi mnie na duchu i udaje mi się zapaść w sen, podczas gdy on prowadzi przy muzyce Chrisa de Burgha.

## 58. *Weź mnie na sznurki*

Na moim pagerze kumulują się dziesiątki wiadomości. M się dowiedział... Wyprowadza się. Jest zrozpaczony i cierpi, wie, że nie powinien był ulegać swoim demonom. Już nigdy nie będzie dla mnie niedobry, obiecuje. Obietnice potwora są jak drzewo bez owoców – nigdy nie będzie mi dane niczego z nich skosztować.

Siedzę na kanapie w gabinecie u psychologa rodziców, który wypytuje mnie o moje życie. Tata jest przy mnie i słucha mojej opowieści. Tak, M bije mnie praktycznie każdego dnia. Sama się dziwię, że opowiadam o napadach z takim zobojętnieniem, ale nie mam zaufania do tego obcego człowieka. Wyjaśnia mi, że jestem pod wpływem manipulanta i brutala, bla, bla, bla. Wiem... Wiem to doskonale. Ponadto wiem, że sobie na to zasłużyłam: jestem zazdrosna, czepliwa, zaborcza. Wymagam nadmiernej uwagi, nie mam pieniędzy, nie jestem dość kobieca, zachowuję się jak mała dziewczynka. Nie mam przyjaciół ani religii. Jestem brzydka i jestem do niczego. Nie potrafię go słuchać ani go zrozumieć. Jedyne, co potrafię, to go denerwować. Nie rozumiem jego natury. To wszystko moja wina. I tak mam szczęście, że M mnie pokochał. Nikt nie potrafi kochać mnie tak jak on.

Mój ojciec zaciska pięści. Ma wilgotne oczy i przygaszony głos.

– Nie wiedziałem, Sophie... Gdybym tylko wiedział...

Co byś zrobił, tato? Nie mogłeś porwać mnie siłą, a sama nie chciałabym odejść. Nie będziesz się przecież z nim bił, to nie w twoim stylu, i nie pójdiesz do mafii, żeby go zabili, bo to nie jest film. Po prostu byś ze mną rozmawiał i próbował nakłonić mnie, żebym odeszła z tego piekła. To właśnie robisz właśnie teraz, tato. Nic nie mogłeś zrobić, nie miej do siebie

pretensji, proszę cię.

Mój M sobie przemyślał. Widać to w jego wiadomościach. Mam tylko jedno pragnienie: dać nogę, odnaleźć go i zostać z nim na zawsze. Zachowuję jednak tę myśl dla siebie, kiwam głową i przytakuję mężczyźnie, który przez kilka lat studiów zgłębiał ludzką duszę. Wydaje mu się, że mi pomaga, a w rzeczywistości popycha mnie jeszcze bardziej w ramiona mojego Potwora, bo wiem, że tym razem M się naprawdę przestraszył, że może mnie stracić, i że zmieni się znów w dawnego księcia.

Po powrocie do domu zamykam się w pokoju i odsłuchuję jego wiadomości. Jest ich mnóstwo i jedna piękniejsza od drugiej. Czułe słowa leją się z głośnika i podbijają mi serce, które nie chce się już opierać. To ponad moje siły. Skoro i tak cierpię, to już wolę przy nim. M jest u Chafika. Poddaję się i dzwonię do niego. Dzwonię prosto do diabła i oddaję mu swoją duszę.

– Kochanie, to ja.

– Och... *y'all baby*. Och! *Allahou akbar!* Kochanie, tak cię Kocham! Nareszcie zadzwoniłaś! Gdzie jesteś?

– U moich rodziców. Przyjedź po mnie, skarbie.

– Wiedziałem, że trzymają cię tam pod przymusem. Trzymaj się, wsiadam w taksówkę i jadę. Już się nie mogę doczekać, żeby cię przytulić.

Kilka dni wcześniej dzwoniłam do rodziców, żeby zabrali mnie od mojego tyrana, a dziś wieczór sama go wzywam, żeby mnie znów uwięził.

Wrzucam do torby osobiste drobiazgi. Czekam ponad czterdzieści pięć minut i dopiero wtedy wychodzę z pokoju. Już za późno, żeby się wycofać, ale i tak chcę uniknąć konfrontacji z rodzicami. Czy dobrze zrobiłam? Chaotyczne myśli kłębią mi się w głowie i nie rozumiem logicznie. Mała dziewczynka we mnie krzyczy: „NIE!”, zaciska mi się klatka piersiowa, a świat wiruje mi przed oczami. Co ja narobiłam?

Schodzę na dół i chowam niewielką torbę w przedpokoju, w szafie przy wejściu. Mama kończy przygotowywać kolację w kuchni, a ojciec dotrzymuje jej towarzystwa, popijając swoją ulubioną whisky single malt. Są razem tacy uroczy. Przyglądam im się z ukrycia przez kilka chwil i

bezgłośnie dziękuję im za tych kilka dni oddechu. *Mamo, tato, przepraszam.* Przepraszam, że istnieję i sprawiam wam tyle bólu.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Serce mało mi nie wyskoczy, bo wiem, że po drugiej stronie czeka M. Podchodzę spokojnie i otwieram, a M rzuca się ku mnie, porywa mnie w objęcia i wynosi przed drzwi na podest. Całuje mnie po szyi i przyciska sobie do piersi. Nie czuję posmaku miodu. Wokół niego unosi się raczej jakiś cierpki zapach, który kojarzy mi się ze szpitalem. Ma zielonkawą twarz i krótko ogoloną głowę. Wygląda mizernie... Nie mogę znieść, że doprowadziłam go do takiego stanu. Całuje mnie słodkimi, miękkimi ustami, a żar jego pocałunku przyprawia mnie o dreszcze.

Rodzice wychodzą z kuchni, a tata na widok M rzuca się ku niemu.

– Co ty tu robisz?! – krzyczy.

M odsuwa mnie łagodnie za siebie i staje na wprost ojca z wypiętą do przodu pierśią i podniesioną głową.

– Przyjechałem po moją żonę – odpowiada.

Między dwoma mężczyznami iskrzy niechęć. Powietrze gęstnieje od narastającego napięcia. Kierowca taksówki, którą przyjechał M, trąbi ponaglająco.

– Twoją żonę? W ten sposób traktuje się żonę? Sophie nigdy nie była i nie będzie twoją żoną. Wynoś się! – wrzeszczy mój ojciec.

Nie zwracając na niego uwagi, M bierze mnie za rękę i ciągnie do taksówki.

– Sophie, zostajesz w domu! – krzyczy tata.

Jesteśmy już przy furtce przed domem rodziców. Mój ojciec idzie za nami, łapie M za ramiona i odwraca go gwałtownie ku sobie. Nikt nie ma prawa dotykać M. Będzie się bił. Rzuca kurtkę na ziemię i podwija rękawy, wyzywająco podtykając tacie pięść pod nos. Mój ojciec traci panowanie nad sobą. Nigdy w życiu nie widziałam go tak wzburzonego. Twarz mu płonie, a oczy niemal wychodzą mu z orbit. Obydwaj w nieskończoność przerzucają się wyzwiskami. Zaraz się pobijają. Trzęsąc się ze strachu, błagam, żeby przestali. Mama wychodzi z domu, staje między swoim mężem a moim i

każe mojej młodszej siostrze, która przygląda się całej scenie, zadzwonić po policję.

Moja mała siostra. Miała wtedy dwanaście lat. Przeżona dzwoni pod 911. Wciągnięta w awanturę, na którą jest o wiele za mała, drżącym głosem składa zawiadomienie.

Zaalarmowani krzykami sąsiedzi, którym zakłóciliśmy spokój, przypatrują się nam z daleka. M zwraca się do mnie i każe mi wychodzić. Jestem w ślepych zaułku. Nie wiem, co robić, przeżona aferą, którą rozpętałam. M zaczyna krzyczeć.

– Chcesz zostać z tym swoim pierdolonym ojcem?! On nawet nie ma jaj, żeby mi przyłożyć!

Mama musi teraz ze wszystkich sił powstrzymać ojca. W tym momencie niebo rozświetlają czerwone i niebieskie błyski koguta radiowozu. Dźwięk syreny ucina awanturę. M natychmiast się uspokaja. Jest w Quebecu bezprawnie, musi więc się pilnować przy policjantach. Moi rodzice nic o tym nie wiedzą i myślą, że po prostu boi się zatrzymania. Tata lekko się cofa i uspokaja oddech.

Z radiowozu wysiada para funkcjonariuszy i podchodzi do nas. Taksówka odjeżdża. Taksówkarz pewnie nie chciał się mieszać w całą tę historię. Policjantka prosi o wyjaśnienie i głos zabiera tata, który upiera się, że jego córka nie może odejść z mężczyzną, który się nad nią bez ustanku znęca. M wybucha śmiechem.

– To jest moja żona. Przyjechałem po nią. Jej rodzice przetrzymują ją siłą.

Znowu latają wyzwiska i po kilku takich wymianach policjanci tłumaczą moim rodzicom, że z punktu widzenia prawa decyzja należy do mnie. Cholera. Ale kanał. Wiem, że najbezpieczniej byłoby zostać u rodziców, ale przecież nie mogę tego powiedzieć. Nie mam odwagi sprzeciwić się M, który zapłacił za taksówkę z miasta aż tutaj, który mnie błagał o wybaczenie i ukorzył się przede mną do tego stopnia, że wysyłał mi piosenki i wyznania miłosne. Nie mogę.

– Chcę iść z mężem.

Moja mama wydaje zrozpaczony okrzyk, a mój ojciec jest zbulwersowany.

– Naprawdę tego chcesz, Sophie?

Próbuję przemówić mi do rozsądku, ale M trzyma mnie mocno przy sobie, i policjantom nie pozostaje nic innego, jak poprosić rodziców, żeby wrócili do domu. Mój ojciec w panice usiłuje na wszelkie sposoby zatrzymać policjantów, ale nie ma żadnych argumentów. Jestem pełnoletnia i trzeba uszanować moją decyzję. Policjanci proponują, że podwiozą nas do przystanku autobusowego oddalonego o jakieś piętnaście minut drogi samochodem, więc wsiadamy z nimi. Bez słowa, na przekór krzykom malutkiej Sophie, która usiłuje przedrzeć się do mojej świadomości, siadam na tylnym siedzeniu i odjeżdżamy. Mój ojciec jest zdruzgotany. Widzę, jak spuszcza głowę i wybucha płaczem. Mama, także we łzach, obejmuje go za podskakujące od szloch ramiona.

M trzyma mnie mocno za rękę i całuje mnie w czubek głowy.

Wsiadamy do autobusu, by jechać do Chafika. Wyraźnie wyczuwam wzburzenie M. Opieram mu głowę na ramieniu i wsuwam mu rękę w dłoń, którą on natychmiast cofa.

– Trzeba było zostać u nich. Nigdy ci nie wybaczę, że mnie zostawiłaś.

– Ale kochanie, już teraz jesteśmy razem...

– Nie mogę tak po prostu zapomnieć, że mnie zdradziłaś. Nie powinienem być w ogóle po ciebie przyjeżdżać.

Zaskoczona, zapewniam go, że to nieprawda, ale jest nieugięty. Robi sobie wyrzuty, a on nigdy niczego nie żałuje. Znowu w jego oczach jestem tylko dziwką. Arabska kobieta nigdy nie zostawiłaby swojego mężczyzny w ten sposób, czyli na zawsze zostaną tylko kanadyjską zdziwą.

– Jutro wracasz do swojego pieprzonego tatulka.

Docieramy do Chafika późnym wieczorem. M wypala skręta, po czym kładzie się i natychmiast zasypia. No, to tyle z moich marzeń o miodowym miesiącu. Przez całą noc nie mogę zmrużyć oka, bez końca przewijając w głowie obrazy mojej mamy i ojca, takich zdruzgotanych i przygnębionych.



Mam nadzieję, że po solidnie przespanej nocy M wróci zdrowy rozsądek, ale nie, jego wściekłość jeszcze się potęguje. W środę rano chwytą mnie boleśnie za ramiona i wyrzuca mnie z torbą prosto na ulicę, wymyślając mi dalej i kopiąc po kościach. Zdradziłam go, poniżyłam przed jego znajomymi, mam się wynosić.

Mój urlop się skończył, wsiadam więc do autobusu, a potem do metra i skonana z bólu i ze zmęczenia, ponownie wkładam maskę i staram się dotrzeć do końca dnia. W południe wyznaję wszystko szefowej, która niepokoiła się o mnie przez ostatnie dni. Teraz już wszystko wie. Tak naprawdę to już od dawna coś podejrzewała. Jednak nie umiałam ukrywać ran i siniaków tak dobrze, jak sądziłam. Jest mi wstyd. Wstyd, że nie mam gdzie mieszkać, że zdradziłam moich rodziców i upokorzyłam ich przed sąsiadami, że odjechałam z policjantami, a zwłaszcza, że muszę teraz zadzwonić do taty i poprosić go, żeby mnie zabrał po pracy. Jestem ludzkim ścierwem.

Ponadto od rana mój pager nie przestaje wibrować. To M. Pierwsza wiadomość jest ciepła i czuła, w drugiej naciska, żebym zadzwoniła do Chafika, trzecia każe mi natychmiast się z nim skontaktować i tak dalej. Miota się i zostawia mi na pagerze wiązanek złorzeczeń. Podnoszę słuchawkę i, jak tylko odbiera, ogłaszam mój werdykt:

– To koniec.

I odkładam słuchawkę. Jednocześnie wyłączam pager i wrzucam na dno torebki. Nie chcę więcej słyszeć głosu M, nie chcę więcej dostawać jego kłamliwych wiadomości, jestem wykończona, słaba i u kresu sił. Chcę jedynie dać się zakopać sześć stóp pod ziemią i mieć spokój na zawsze. Popołudnie wlecze się w nieskończoność. Staram się wykonywać swoje obowiązki, ale nie mogę się skupić i zdarza się, że kilka razy czytam tę samą stronę jednego dokumentu. Patrzę na upływające godziny i odliczam minuty. Dochodzi siedemnasta, więc tata, któremu dałam znać wcześniej, powinien tu być lada chwila.

Kolega z pracy, Bernard, wpada do naszego pokoju mieszczącego się tuż przy wejściu do biura. Siedzimy tu w kilka osób, każdy w swoim boksie, a Bernard jest moim najbliższym sąsiadem. Na pewno nieraz słyszał, jak płaczę

albo kłócę się z M przez telefon, ale zachował całkowitą dyskrecję i nigdy nie zapytał o moje prywatne sprawy, mój związek albo rodzinę. Zamiast tego zostawiał mi na ekranie monitora krzepiące cytaty na karteczkach samoprzylepnych.

Bernard podchodzi do mnie i nieśmiało mówi, że M jest na recepcji. Truchleję. Przyszedł po mnie z dwoma kolegami do pracy, jedyne miejsce, które miałam tylko dla siebie i gdzie nie miał wstępu. Zaczynam dygotać od stóp do głów. Boję się awantury przed całym biurem i wstydu przed kolegami, z którymi pracuję na co dzień. To jest moje miejsce wyciszenia i ucieczki, gdzie mogę udawać, że wszystko jest wspaniale, a M to mężczyzna mojego życia. Tutaj jestem po prostu młodą mężatką u progu swojej kariery.

W panice błagam Bernarda, żeby powiedział M, że mnie już nie ma w biurze i że nie wie, gdzie jestem, o której wyszłam, którędy ani z kim. Trzęsę się jak w febrze, jestem przerażona i mam wrażenie, że wokół mnie zaciska się imadło. Szybko muszę się ukryć. Na prośbę Bernarda, który nagle przyjął rolę Supermana, wszyscy pracownicy robią wokół mnie tłum, jakby drużyna futbolowa w ataku. Kulę się w środku tego szczelnego koła, żeby jak najlepiej się schować. Zza drzwi dochodzą krzyki. Rozpoznaję głos M. Jest wściekły. Umieram ze strachu, że Bernard albo inny kolega napatoczy mu się pod pięści. Ale najwyraźniej pies, który najgłośniej ujada, nie gryzie. W przekrzykiwaniu się M nie ma sobie równych, ale na szczęście nie waży się bić nikogo poza mną.

Bernard i inni pracownicy wyprowadzają go z budynku na zewnątrz, grożąc, że wezwą policję, jeżeli się nie wyniesie. Odchodzi. Nie mogę zebrać myśli i tylko dygoczę, mając nadzieję, że tata zaraz przyjedzie. Kucam pod biurkiem zasłonięta przez tłum ludzi z biura, dopóki Bernard i pozostali nie wrócą do pokoju. Podchodzi do mnie. Jest mi zimno. Jest mi tak strasznie zimno. Łagodnie prosi, żebym poszła za nim na tyły budynku. Zadzwoił do mojego ojca, który figuruje w moich aktach osobowych jako osoba do kontaktu w nagłych przypadkach. Tata czeka na mnie z silnikiem na chodzie przy wyjściu awaryjnym od strony podwórza.

Daję nura do samochodu, który natychmiast odjeżdża, i rozplaszczam się na brzuchu na tylnym siedzeniu. M nas nie widział. Niebezpieczeństwo minęło. Jedziemy tak przez dłuższy czas, gdy nagle tata zatrzymuje się na

poboczu. Mogę się już podnieść. Na widok mojego ojca wybucham płaczem i, wylewając bez końca łzy, czuję, jak wreszcie schodzi ze mnie napięcie. Siadam koło niego z przodu i rzucam mu się w ramiona. Jest dla mnie delikatny i czuły. Ogarnia mnie jego kojący zapach, jego uśmiech dodaje mi otuchy, a wewnętrzna siła napędza mnie poczuciem bezpieczeństwa. Nie mówi dużo, nie ma takiej potrzeby. Wymieniamy kilka prostych, serdecznych słów, ale czuję, że kipi w nim prawdziwy gejzer. Myślałam, że pojedziemy do domu, w stronę moich ukochanych, podmiejskich gór, gdzie moja najdroższa mama niecierpliwie czeka na nasz powrót, ale okazuje się, że jadę zupełnie gdzie indziej.

## 59. *Bez argumentów*

Psycholog, z którym spotykają się moi rodzice, odkąd wyprowadziłam się z domu, poradził im zabrać mnie do ośrodka dla ofiar przemocy. Moi rodzice zdają już sobie sprawę z krzywd, jakie wyrządza mi mój prześladowca. Blizny i krwiaki na moich przedramionach mówią same za siebie i nikt już nie daje wiary moim opowieściom.

Gdyby dzisiaj moja młodsza siostra paradowała z takimi wielkimi siniakami, bez wahania zaciągnęłabym jej oprawcę na najbliższy komisariat ze spluwą przy skroni.

Mój kochany tata zabrał mnie więc do tego ośrodka, rozpaczliwie licząc, że tu znajdziemy pomoc. Blizny na moim ciele przeczą moim słowom, więc, z braku argumentów, ulegam, chociaż wiem swoje – ja nie jestem taka jak bite kobiety w ośrodku. Patrząc na nie z litością, bo wiem, że moja sytuacja jest zupełnie inna. Aczkolwiek...

56894. To kod dostępu do budynku dla kobiet, który dostał mój tata w razie nagłych przypadków. Zniechęcona, obojętna i wykończona po tych kilku koszmarnych dniach, idę za nim z ociąganiem z przeświadczeniem, że doskonale wiem, w jaki sposób to działa:

1. Przekonać ofiarę do wizyty w ośrodku.
2. Zrobić jej pranie mózgu.
3. Zatrzymać ją w niewoli.
4. Schwycić jej prześladowcę.

Cała się więc najeżam, przekonana, że to nie dla mnie. A może chcę po

prostu sprawić przyjemność ojcu, bo nie mam siły mu się przeciwstawić?

Gdy wchodzimy, wita nas około czterdziestoletnia kobieta, która już się spodziewa naszej wizyty. Prowadzi nas korytarzami budynku, gdzie prawdopodobnie mieszkają poszkodowane kobiety. Nie ma mowy, żebym tu zamieszkała, myślę sobie. Mijamy kilka z nich z potarganymi włosami i wyblakłym wzrokiem, ubranych w koszule w kratę albo w T-shirty z wizerunkiem wilków kulących się przed niebezpieczeństwem. Są też inne, które wyglądają o wiele lepiej i w ogóle nie odpowiadają wyobrażeniom o bitej kobiecie. Wchodzimy do sali, która przypomina mi klasy w mojej szkole średniej. Na ścianie na wprost wisi zielona tablica, a krzesła i stoliki ustawione są w rzędach.

Kobieta, Louise, przedstawia się jako terapeutka i pyta mnie, czy rozumiem, dlaczego się tu znalazłam. Odpowiadam, że nie widzę żadnego powodu, że nie mam nic wspólnego z innymi leczonymi tu kobietami i że nikt nie chce zrozumieć mojej sytuacji. Na twarzy Louise pojawia się domyślny uśmiech, po czym stwierdza łagodnie, że wszystkie po przyjeździe mówimy to samo.

Tato, duszę się. Zabierz mnie do domu. Chcę się zwinąć w kłębek w pokoju małej Sophie i zasnąć zakopana pod grubą kołdrą. Louise rysuje wielkie koło na tablicy: cykl przemocy, poszczególne fazy. W związku opartym na przemocy najpierw następuje pierwszy etap: ten, kiedy w domu wisi napięta atmosfera, osoba stosująca przemoc jest drażliwa i wrogo usposobiona, a osoba poddawana przemocy popada w poczucie winy schodzi drugiemu z drogi i bardzo uważa na to, co robi lub mówi.

Potem następują wybuchy, a prześladowca stosuje wobec ofiary przemoc słowną, fizyczną i seksualną. Kobieta czuje się poniżona i ogarnia ją poczucie niesprawiedliwości. Potem napastnik próbuje uzasadnić swoje zachowanie za pomocą zmyślonych wymówek. Ofiara wykazuje współczucie i zrozumienie i sama przeprasza. Ostatni element to faza miodowego miesiąca. Osoba stosująca przemoc prosi o wybaczenie, mówi o terapii, a nawet o samobójstwie. Ofiara czuje się wówczas kochana, daje partnerowi jeszcze jedną szansę i docenia jego wysiłki, żeby się poprawić.

Cisza... W głębi duszy wiem, że te fazy obecne są w moim małżeństwie

każdego dnia. Jedyne, co mnie trzyma przy życiu, to te miodowe miesiące, na które tak bardzo czekam. Wtedy jest tak dobrze. I za każdym razem, gdy cykl rozpoczyna się na nowo, wmawiam sobie, że to był ostatni raz, że teraz to już na pewno zrozumiał.

Opisane przez Louise fazy są konieczne, aby zrozumieć psychikę osoby bitej, dręczonej, poniżanej i wykorzystywanej, niezależnie od tego, czy jest to kobieta, czy mężczyzna. Ale ja nie jestem taką osobą. Mój M miewa swoje humory, to jasne, ale przecież nie bez powodu. Louise pyta, czy mam ochotę zostać w ośrodku na noc, żeby się uspokoić i może wziąć udział w wieczornych warsztatach, gdzie mogłabym posłuchać innych kobiet i opowiedzieć swoją historię. Nie. Chcę wracać do domu.

Od tamtej pory usiłuję zrozumieć, jak to możliwe, że wszystkie potwory przejawiają te same cechy osobowości. Nieważne, czy są z Chin, Francji, Afryki, Brazylii, czy Quebecu, bez względu na pochodzenie mają ze sobą tyle wspólnego, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie dzwonią czasem do siebie i nie doradzają sobie najskuteczniejszych metod manipulacji. Może podpisali jakąś umowę, jakieś porozumienie? Może należą do jakiegoś tajnego klubu?

Według Isabelle Nazare-Aga, od której wiele się dowiedziałam na temat tej choroby, jaką jest manipulacja, należy wyróżnić trzydzieści elementów, trzydzieści kryteriów. Mój Potwór spełniał je wszystkie... Postawiłam krzyżyk kolejno w każdej kratce i podziękowałam niebiosom, że nadal żyję.

## *60. Studnia bez dna*

Tata chce koniecznie coś powiedzieć. Kończę składać zeznania w kancelarii mecenasa Savoie.

– W drodze powrotnej Sophie zasypia w samochodzie, a jej drobne ciało zaczyna nagle rzucać się w konwulsjach. Widać, że przez sen męczy ją niepokój. Zanoszę ją do pokoju i długo patrzę, jak śpi. W ciągu następnych dni staramy się podnieść Sophie na duchu i dodać jej siły, ale w tym samym czasie M zostawia jej na pagerze osiemnaście, dwadzieścia wiadomości dziennie, z tego, co nam mówi, nie licząc wydzwaniania bezpośrednio na domowy numer. Przystajemy odbierać telefon, bo chociaż na aparacie wyświetla się numer przychodzący, M dzwoni z różnych miejsc i nie chcemy ryzykować, żeby wpaść na niego albo któregoś z jego znajomych. Najwyraźniej sporo sobie przemyślał w tak krótkim czasie i prosi nas o jeszcze jedną szansę, żeby pokazać nam, jak bardzo się zmienił. Zaczął się modlić, przestał palić papierosy i brać narkotyki. Błaga, żebyśmy pozwolili mu zobaczyć się z żoną, i przysięga, że jest innym człowiekiem. M potrafi czarować, ale to despota, manipulanta i dręczyciel kobiet. Ku naszej bezgranicznej rozpaczycy Sophie zgadza się z nim spotkać wieczorem w następny piątek, piętnastego marca, i obiecuje, że następnego dnia, w sobotę, pójdzie z nami o dwunastej do psychologa. Ale znika bez wieści... Żadnego znaku życia. Znowu pozwoliłem mojej córce odejść, nie wiedząc, jak ją zatrzymać. Miałem nadzieję, że ona ze swej strony też wiele zrozumiała, bo zdawało mi się, że upadła już na samo dno studni. Niestety okazało się, że studnia jest znacznie głębsza niż normalnie. Boję się, że to studnia bez dna.

## 61. *Dobre chęci*

**B**oję się z nim spotkać, ale coś każe mi ulec jego namowom. Muszę przekonać się sama, czy tym razem naprawdę dostał nauczkę i czy jest gotów zmienić się na moich zasadach. Wzmocniłam się: są granice, których już nigdy nie wolno mu będzie przekroczyć, i mam zamiar to na nim wymóc.

Piątek, piętnasty marca. Nasze spotkanie jest cudowne, takie jak sobie od dawna wymarzyłam. Gdy tylko dostrzega mnie przy wyjściu z metra, podbiega i okręca mnie w ramionach w powietrzu. Obejmuję go nogami w talii i przywieram do niego całym ciałem, a on trzyma mnie długo w objęciach z twarzą ukrytą w zagłębieniu mojej szyi. Płacze, wdycha mnie, całuje bez końca i podbija moje serce, żeby potem zapuścić w nim swoją kotwicę. Serce wali mi szybko. Jego widok takiego zakochanego i stęsknionego odsuwa na chwilę mój lęk, wątpliwości i ból. Już nigdy go nie opuszczę. Mój księżę, mój M, mój mąż.

Bierzemy się za ręce i idziemy do małej restauracji w pobliżu. M ma mi mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. Siadamy obok siebie. Otacza mnie w talii ramieniem i przytula do siebie lewą ręką, w prawej trzymając menu. Szybko składa zamówienie dla nas obojga, zanim mam okazję sama przejrzeć kartę. Podoba mi się ta elegancja i ta męskość w europejskim stylu.

Odwraca się do mnie i, nie rozluźniając uścisku, bierze mnie za rękę. Jest podekscytowany jak mały chłopiec, a oczy mu płoną zapałem. No więc tak: wszystko sobie przemyślał i nie chce już dłużej żyć tak jak przedtem. Nie jesteśmy w Afryce, źle ze mną postępował i chce teraz odzyskać moje zaufanie. Ból jest w nim nadal żywy i po prostu by nie zniósł, gdybym znowu go zostawiła. Przez ostatnie dwa tygodnie chodził do meczetu, gdzie dużo rozmawiał ze swoim nowym przyjacielem Hakimem, który niedawno



przyjechał do Kanady. Hakim jest praktykującym muzułmaninem i dzięki ich długim dyskusjom M uznał, że najwyższy czas, żeby modlitwa stała się nieodłącznym elementem jego zwykłego życia. W jego stronach młodzi zwykle zaczynają się modlić, kiedy zakładają rodzinę i stają się dojrzałymi, poważnymi ludźmi. M nie może już czekać. Jest teraz żonaty i od ślubu powinien był żyć według Koranu. Na szczęście nie jest za późno, wrócił na dobrą drogę i modli się teraz pięć razy dziennie. Już się nie może doczekać, żeby też mnie tego nauczyć i odprawiać rytuał razem ze mną.

Musi też zadbać o swoją żonę i znaleźć pracę, żeby zapewnić jej mieszkanie i wyżywienie. Nie będzie już decydował, w co mam się ubierać, i zabraniał mi spotykać się z dawnymi przyjaciółmi i rodziną, bo, kiedy już nauczę się modlitwy i islamu, będę też potrafiła sama dokonywać słusznych wyborów, i jest przekonany, że moje decyzje będą zgodne z zasadami jego religii. Mogę więc wrócić na studia, ubierać się jak chcę, spotykać ze znajomymi, ale jednocześnie studiować islam i w ten sposób zrozumieć, co sprowadza nieszczęście w życiu po śmierci.

M postanowił zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni. Słucham go oszołomiona tak radykalnym zwrotem. M aż nie może usiedzieć, taki jest podniecony świeżym początkiem naszego nowego życia i chce usłyszeć, co myślę. Jego entuzjazm wywołuje mój uśmiech i zgadzam się, bo nie chcę zepsuć tej radosnej chwili.

Kelnerka przynosi nam zamówione dania i jem z apetytem, słuchając opowieści M o islamie i o tym, czego nauczył się w meczecie. Zauważam, że nawet przez chwilę nie spojrzął na kelnerkę, całkiem przy tym ładną. Patrzy tylko na mnie i znowu czuję się jak jego żona.

Śpimy u Chafika, którego nie ma w domu, ku mojej wielkiej uldze. Tego wieczoru M kocha się ze mną zupełnie inaczej. Smakuje mnie, pragnie, zachwyca się mną, patrzy na mnie i bierze mnie delikatnie i czule, bez żadnej dzikości czy bólu. Jak wspaniale jest znowu odnaleźć mężczyznę, który ukradł mi serce na dachu najwyższego wieżowca Montrealu. Rano M przygotowuje kawę z mlekiem i przynosi mi ją do łóżka. Uśmiecham się do niego z czułością i dziękuję mu za ten gest, który tyle dla mnie znaczy. Chętnie więc zapominam o wizycie u psychologa i w tę deszczową sobotę idziemy do kina. Od wieków nie byłam w kinie i nasza randka sprawia mi

ogromną radość. Muszę się uszczypnąć. Czyżbyśmy naprawdę rozpoczynali od nowa? Chyba budzę się z jakiegoś koszmarnego snu. Wyłączam pager i chowam na dnie torebki. Nic nie zakłóci mojego miodowego miesiąca, nawet poczucie winy wobec moich rodziców. Potem idziemy do sklepu kupić mi ubrania, bo akurat są wyprzedaże. Wczoraj wieczorem nie wzięłam ze sobą nic, nawet szczoteczki do zębów, więc M, zgodnie ze swoją nową filozofią, każe mi przymierzać różne ciuchy, w których czuję się kobietą, czuję się piękna, a przede wszystkim wolna. Takie jak nosiłam już tak dawno temu.

M mówi mi, że Hakim zaprasza nas wieczorem do siebie na kolację. W dodatku żona Hakima chce dla nas przygotować wyśmienity kuskus, dodaje z dumą. Hakim i Amel mają niewielkie mieszkanie niedaleko Chafika, w jednej z najbardziej wielokulturowych dzielnic Montrealu, i gdy tylko otwiera drzwi, uderza mnie w nozdrza smakowity zapach.

Włożyłam sweter z golfem przez wzgląd na Hakima i jego żonę, którzy, jak wiem, są bardzo religijni. M i Hakim ściskają sobie dłonie i idą do salonu, gdy tymczasem ja kieruję się do kuchni dołączyć do Amel. Zdecydowanie nie należy do najsympatyczniejszych, a w jej spojrzeniu spod zrośniętych brwi wyczuwam jakiś fałsz. Zachowuję więc dystans wobec tej kobiety, która wcale nie budzi mojego zaufania. Kończy przyrządzać posiłek, więc jej pomagam tak samo, jak to było, kiedy mieszkałam w Afryce. Z tą różnicą, że dzisiaj wszyscy starają się mówić po francusku, mimo że mój arabski tajemniczym sposobem bardzo się poprawił w ciągu ostatnich miesięcy. Rozmowa szybko schodzi na islam i politykę. Hakim wyjaśnia mi kilka podstawowych zasad i jestem zachwycona trafnością jego spostrzeżeń. Słucham uważnie, chłonąc jego słowa, i nagle dociera do mnie, że M także słucha. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby schował swoje ego do kieszeni i próbował dowiedzieć się czegoś od kogoś innego. Hakim musi być kimś naprawdę wyjątkowym, skoro M pozwala mu tak zdominować rozmowę.

Tego wieczoru wracamy do domu późno. W głowie roi mi się od nowych informacji. Postanawiam głębiej przestudiować tę fascynującą religię. Przyglądam się M podczas modlitwy. Chętnie spróbowałabym tego razem z nim. Wszystko w swoim czasie...

Zasypiamy wtuleni w siebie i całkiem zespoleni. Na moim pagerze

nawarstwiają się pewnie wiadomości, ale szybko odganiam od siebie tę myśl.

Nie wróciłam już więcej do pracy. Jak miałabym stanąć na wprost kolegów i powiedzieć im, że znów jestem z M po tym, jak musieli mnie przed nim bronić? A co gorsza, jak miałabym wytłumaczyć M, że wracam do pracy tam, skąd wyrzucono go za drzwi? Wolę nawet nie poruszać tematu. Już nigdy nie odezwę się do moich byłych współpracowników i skrzętnie chowam wszelkie wspomnienia o nich w najgłębszej szufladce gdzieś z tyłu głowy. Zamykam ją, przekręcam klucz dwa razy i idę do przodu swoją nową drogą.

Przez cały tydzień wypróbuję działanie tych nowo ustalonych zasad, ale szybko się orientuję, że M z trudem hamuje złość, kiedy wkładam moje nowe ubrania albo wychodzę bez niego na kawę z dawną koleżanką, której nie widziałam szmat czasu. Jestem trochę oszołomiona tą nową swobodą, ale trzymam się jej, bo już nigdy nie chcę wrócić do tego, co było. M także się stara i po znajomości dostaje pracę w pewnej fabryce w Saint-Laurent, która w nocy zatrudnia nielegalnych pracowników, między dwudziestą pierwszą a siódmą rano.

W piątek rano, po całej nocy w pracy przy linii produkcyjnej, wraca zmęczony i podminowany i wybucha zaraz po wejściu do mieszkania. Trzaśnięcie drzwiami wyrывa mnie ze snu i widzę, jak mój M ciska plecak przez całą długość pokoju w moim kierunku.

– Z taką twarzą jak moja należy mi się coś lepszego niż nielegalna harówka w fabryce za pięć dolarów za godzinę – piekli się.

Podciągam kołdrę i siadam na łóżku, gotowa na ewentualny atak. Wulkan, który drzemał od początku tygodnia, eksploduje. M nie jest już w stanie dłużej się kontrolować i rzuca się na mnie, wydzierając mi z rąk kołdrę, którą przyciskam do piersi. Wywleka mnie za ramię z łóżka i, zszokowana, upadam na podłogę. Uwieszona na końcu jego ramienia, potykam się, kiedy ciągnie mnie na środek pokoju.

– To wszystko przez ciebie!

Próbuję się podnieść i stawić czoło demonowi, który znów go opętał.

– Widziałaś moje ręce?

M podtyka mi pod nos wolną dłoń pokiereszowaną i spierzchniętą od pracy fizycznej, którą wykonuje w fabryce przez długie godziny. Zasycha mi w ustach i umieram ze strachu, co zaraz nastąpi. Z przerażenia udaje mi się wykrztusić kilka słów:

- Uspokój się, M, i chodź się położyć.
- Mam się uspokoić?

Jego dłoń wykręca mi bark. Łapie mnie za włosy i spluwa mi w twarz, nazywając mnie głupią dziwką. Nagle puszcza i z całej siły popycha mnie do tyłu. Upadam na podłogę. Próbuję natychmiast się podnieść, ale M podchodzi i znowu powala mnie na plecy. Chowam twarz w ramionach w obawie przed ciosami. Oddycham nierówno i płytko. Zakleszcza mi palce na przedramionach i gwałtownym szarpnięciem podciąga do góry, stawiając mnie naprzeciwko siebie. Siłą opuszcza mi ręce, którymi osłaniam twarz i wymierza mi hakiem cios pięścią prosto w prawy policzek, aż się zataczam. W głowie pojawia mi się tępy szum, a usta wypełnia smak krwi. Czerwona strużka ścieka mi z dolnej wargi na brodę. Zamroczona patrzę, jak cofa się o kilka kroków. Osuwa się na podłogę i nabiera tchu, sam zaskoczony własną brutalnością. Za późno.

Ciężka cisza zalega u Chafika w ten wczesny poranek. Zgarniam moją torebkę i wczorajsze ubranie, które zostawiłam na kanapie. Ze stoickim spokojem i łzami spływającymi bezgłośnie po twarzy, zabieram buty i wychodzę z mieszkania. M nie próbuje mnie zatrzymać. Schodzę na dół do drzwi wejściowych, wkładam buty i w pizamie wychodzę na ulicę, kierując się do kawiarni czynnej całą dobę. Tylne wejście prowadzi prosto do łazienki. Ukrywam się w kabinie i wybucham łkaniem. Udręczona buzującymi we mnie emocjami, ze zmasakrowanym policzkiem, siedzę zamknięta w kabinie i dygoczę na całym ciele. Nasza umowa potrwała niecały tydzień. O jeden tydzień za dużo w moim krótkim życiu. Mam nadzieję, że to koniec naszego małżeństwa, i modłę się całym sercem, żeby tym razem udało mi się porzucić go na dobre. Wkładam wczorajsze ubranie i wciskam pizamę do torebki. Przeglądam się w lustrze, myję twarz i wycieram krew z brody. Z lustra znowu przygląda mi się zboląła, mała dziewczynka. Musisz być silna, mówię do niej, teraz to już wystarczy. Najpierw autobusem, a potem metrem docieram do taty do biura. To już koniec, tato,

zostawiam go na dobre.

## *62. Zostaw mnie, ty zmoro*

**S**taram się jakoś żyć, ale jestem na skraju wytrzymałości. Jestem wykończona fizycznie i psychicznie. Przez wiele miesięcy mój tyran punktował jedynie moje wady i moje pomyłki. Dzień za dniem strofował mnie, poniżał seksualnie i upokarzał przy świadkach, rujnując moje poczucie własnej wartości. Nie wierzę już w swoje siły i swoje zdolności. Przy nim jestem podgatunkiem człowieka. Wstydzę się rozmawiać z ludźmi i patrzeć im w oczy. Chodzę zawsze ze spuszczoną głową i tylko nadludzkim wysiłkiem udaje mi się ją podnieść.

Mimo tych trudnych przeżyć siedzę właśnie w samolocie do San Miguel del Padrón, miasta w pobliżu Hawany, gdzie mieszka moja serdeczna przyjaciółka Martine. Moi rodzice się z nią skontaktowali i wspólnie zafundowali mi tę dziesięciodniową podróż, żebym mogła naprawdę odpocząć od ustawicznego napastowania ze strony M, który znów zaczął zostawiać mi po dwadzieścia wiadomości dziennie zarówno na moim pagerze, jak i na domowej sekretarce. Na Kubie będę mogła odciąć się od niego i nie dać się zwieść jego czułym słówkom. Jestem tego samego zdania – wyjazd za granicę na jakiś czas pozwoli mi nabrać siły, by przetrwać najbliższe tygodnie i przeczekać, aż M znudzi się ustawicznym dzwonieniem, a i mnie może uda się o nim zapomnieć. Serce mi pęka, gdy pomyślę, że mógłby przestać mnie kochać i znaleźć sobie inną, która zdoła mu dać więcej szczęścia niż ja i pokonać jego wewnętrzne diabła. Mama poprosiła, żebym podała jej kod do mojego pagera, bo chce rozwiązać umowę i zmienić mi numer, ale do tego jeszcze nie dojrzałam, ani psychicznie, ani fizycznie. To, że wyjeżdżam i ucinam sobie dostęp do głosu M błagającego mnie, żebym do niego wróciła, już i tak mnie wiele kosztuje, więc obiecuję mamie,

że zrobimy to po moim powrocie. Ale na razie nie jestem jeszcze gotowa.

Po dziesięciu dniach w słońcu tego ciepłego kraju czuję się silniejsza. Nawet zaleca się do mnie lokalny przystojniak Leandro, który studiuje na tym samym uniwersytecie co Martine. Wsiadamy we dwie do autobusu i jedziemy nad morze. Martine specjalnie zwolniła się z zajęć, żebyśmy mogły rozłożyć się na plaży i opowiedzieć sobie wszystkie nowinki. Słucha mnie uważnie i z powagą, kiedy opisuję szczegóły mojego życia z M. Nie oszczędzam go i opowiadam o wszystkim bez cenzury. Niesamowicie mi to pomaga, ale jednocześnie zaczynam o nim nieustannie myśleć. Zastanawiam się, co robi, czy już o mnie zapomniał, czy jeszcze mu na mnie zależy. Dużo piszę nad brzegiem morza i próbuję zwalczyć upiora, który budzi się w mojej głowie.

*Co to za demon siedzi mi w głowie?*

*Jak pozbyć się tej obsesji?*

*Trzeba mnie powstrzymać.*

*Trzeba mnie zakuć w kajdany.*

*Potrzebuję wytchnienia, ta walka nie ma końca.*

*Zostaw mnie, ty zmoro.*

*Pozwól mi żyć w spokoju.*

*Pozwól mi chwilę odpocząć.*

*Już dosyć się naszarpałam.*

*Chcę znowu siebie polubić i zacząć myśleć o sobie.*

*Nie chcę się już nienawidzić i co rano patrzeć na siebie z odrazą.*

*Są jeszcze inne rzeczy, nie tylko ty, upiorze.*

*Ja też chcę normalnie zasypiać.*

*Chcę zacząć myśleć o czym innym i odkryć nowe rzeczy.*

*Chcę zasnąć i już nigdy się z tobą nie zmagać.*

*Zostaw mnie, zmoro, tak bardzo cię proszę...*

I wreszcie trzeba pożegnać się z najdroższą przyjaciółką, której znowu prędko nie zobaczę. Martine ma poczucie winy, że jej przy mnie nie ma, że mieszka tak daleko i nie może mnie wesprzeć. Takie jest życie, kochana Martine, nie przejmuj się. Stopniowo odzyskuję energię, którą utraciłam. Moje poczucie własnej wartości się wzmacnia i jakoś bardziej się sobie podobam w środku. Leandro też był nie bez znaczenia w moim procesie odnowy i bardzo mu za to dziękuję. W drodze powrotnej w samolocie moje serce zaczyna przyspieszać i walić coraz silniej. Dobrze było uciec.

Dzisiaj też, kiedy coś sprawia mi przykrość, mam ochotę uciec, zniknąć i odgrodzić się od całego świata. Chociaż nauczyłam się, że ucieczka wcale nie pomaga na ból, to ciągle jeszcze się zmuszam, by po prostu nie wziąć nóg za pas. Staram się przestawić i radzić sobie z emocjami, zamiast wiecznie uciekać.

Na lotnisku czeka mnie to, co zwykle. Za automatycznymi drzwiami widzę moich rodziców czekających na mnie po drugiej stronie, ale kierują mnie do bocznego pokoju, gdzie celnicy bezceremonialnie przeszukują mi bagaż.

Kiedy wreszcie odnajduję rodziców, od razu zauważam, że są niespokojni i dziwnie nagle, żeby jak najszybciej wsiąść do samochodu. Czuję, że coś jest nie tak, i przeraża mnie ich sztuczna wesołość. Widzę przecież, że wymieniają spojrzenia, i do szalu doprowadza mnie fakt, że myślą, że nic nie zauważę, zamiast powiedzieć mi prawdę. W drodze powrotnej opowiadam im w skrócie o mojej podróży. Bez wchodzenia w szczegóły mówię, jak dobrze było spędzić czas z Martine, u której wszystko w porządku. W końcu nie wytrzymuję i pytam, dlaczego tak dziwnie się zachowują.

Rodzice konsultują się wzrokiem, wreszcie mama wypuszcza głośno powietrze i zaczyna mówić.

– Odkąd wyjechałaś, M dzwoni do nas dwadzieścia razy dziennie. Przypuszczamy, że zasadził się na ciebie gdzieś wokół domu, a ponieważ nie mógł cię przydybać, chce wiedzieć, gdzie jesteś. Oczywiście nic mu nie powiedzieliśmy, nie odbieramy nawet telefonu. Nagrał nam płaczliwe wiadomości, w których przeprosza i prosi o wybaczenie. Chciał się nawet z nami spotkać, żeby wyjaśnić nam swoje zachowanie. W końcu podniosłam



słuchawkę i powiedziałam mu, żeby przestał wydzwaniać, bo wykorzystał już wszystkie swoje szanse, dokonał swoich wyborów i prosimy, żeby zostawił nas w spokoju. A on wtedy zagroził, że nas zabije. Zadzwoił też do babci i groził jej śmiercią, jeżeli nie powie mu, gdzie jesteś. W końcu dowiedział się, że wyjechałaś, i nagrał nam wiadomość, w której zapowiada, że będzie warował na lotnisku dzień i noc w oczekiwaniu na ciebie i że zniszczy nas krok po kroczku. Chyba więc rozumiesz, dlaczego tak się przed chwilą denerwowaliśmy.

Jakiś głos w głębi duszy nie może się nacieszyć – on nadal mnie kocha i pragnie. Ale inny głos z obrzydzeniem reaguje na wiadomość o groźbach wobec babci i moich rodziców.

– Chcielibyśmy, Sophie, żebyś zmieniła numer pagera i nie odsłuchiwała nagranych tam wiadomości. Wypłakaliśmy już wszystkie łzy. Tak samo twoje siostry, dziadkowie i twoi przyjaciele.

Zgadzam się, chociaż dobrze wiem, że zaraz po przyjeździe do domu, rzucę się do aparatu, żeby usłyszeć jego głos. To silniejsze ode mnie, nic na to nie poradzę, nie spadłam jeszcze na samo dno przepaści.

## 63. Żegnaj, siostrzyczko

Kwiecień 2002 roku. Wróciłam z Kuby już ponad tydzień temu i jestem w głębokiej depresji. Wolę już, żeby mnie zabił niż umierać sama z niespełnionej miłości.

Odnawiam kontakt z kilkoma koleżankami i rozpaczliwie próbuję wziąć się w garść. Ale okazuje się, że jestem już kimś zupełnie innym. Odzywam się do mojej dawnej agentki uradowanej, że dzwonię, która chce mi zaproponować rozmaite projekty, ale nie mam już w sobie tej radości życia i tej niewinności co wcześniej. Całe dni przesiaduję w pokoju całkowicie przybita i odsłuchuję wiadomości M, który mówi w pustkę, nie wiedząc, czy jego słowa do mnie docierają. Jestem cały czas rozdrażniona i nie umiem kontrolować swych uczuć i szoku z powodu tej nagłej wolności. W głowie zarysowuje mi się pewien plan i wiem, że na dłuższą metę nie zniosę tej wewnętrznej tęsknoty, która narasta mi w duszy. Tęsknię za miłością i przynależnością, chcę być kochana za wszelką cenę, nawet za cenę życia.

Tego dnia w kwietniu panuje okropny upał. Idę na spotkanie z Victorią, moją starszą siostrą, która poprosiła mnie, żebyśmy spędziły razem trochę czasu i spróbowały odbudować więzi zerwane od czasu, gdy wyjechałam do Afryki. Ma mi mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. Chce, żebym wiedziała, co się działo w jej życiu przez ostatnie miesiące, jak bardzo jest dumna z tego, że wróciłam do domu, i że podziwia mnie za to, jak usilnie próbuję stanąć na nogi.

Nasz dom stoi wysoko w górach, więc długo zajmuje mi zejście na piechotę po zboczach do przystanku autobusowego. Napawam się przyjemnym zapachem wiosny i widokiem wspaniałych sadów, które jesienią obsypią się owocami. Idę z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz ku

słońcu i poddając się ciepłej energii jego promieni. Rozkoszuję się tym spacerem, jakbym szykowała się na jakiś definitywny koniec mojej wolności istnienia. Jakbym żegnała się z górami, ze światłem i jasnością, i miała na zawsze zamknąć się w ciemnej, wilgotnej jaskini, w której odbija się jedynie pełne cierpienia echo.

W ostatniej chwili wskakuję do autobusu i daję się ukołysać tej podróży wzdłuż pól, aż do końcowego przystanku mojej podróży.

Siostra czeka na mnie w pobliskiej restauracji. Obydwie zamawiamy specjalność szefa kuchni: ćwiartkę kurczaka z sosem barbecue i frytkami. Jeszcze wtedy nie wiem, że to będzie mój ostatni niewegetariański posiłek. Podczas mojej nieobecności Victoria bardzo się zmieniła i wydorosła. Wygląda kwitnąco. Nabrała stylu prawdziwej bizneswoman. Ma na sobie kostium i buty na obcasie, co przydaje jej nieodpartego wdzięku. Jest piękna i kobieca. Sprawia wrażenie spokojnej i wyluzowanej. Mam dla siebie tylko niecałą godzinę, bo musi wracać do pracy, więc, nie czekając, pyta, jak sobie radzę ze wszystkim. Od kilku miesięcy Victoria nie mieszka już w domu i ostatnio widziałam ją tylko w czasie mojej krótkiej wigilijnej wizyty, a potem przy przeprowadzce. Stęskniłam się za nią i wydaje się, że nasze szczeniackie zatargi gdzieś się rozplynęły. Mam przed sobą zupełnie nową siostrę, która opowiada mi, jak świetnie układa jej się z Mathieu oraz jaka jest zadowolona z pracy w Bombardier. Przyglądam się jej, słucham i chłonę jej słowa, bo nie wiem, czy jeszcze kiedyś znowu ją zobaczę.

Czas leci szybko i wreszcie musimy się rozstać. Pytam, czy nie mogłaby się spóźnić piętnaście minut i jeszcze podrzucić mnie do metra. Dziś wieczorem śpię u koleżanki Séverine, dlatego mam ze sobą pełen ciuchów plecak, a nie chce mi się znowu tłuc autobusem. Nieprawda. Moja siostra też jest czarodziejką jak moja mama i natychmiast nabiera podejrzeń. Do dzisiaj ma sobie za złe, że nie posłuchała wtedy tego ostrzegawczego głosu. Każe mi przyrzec, że mówię prawdę, na co wybucham śmiechem i mówię, że nie jestem już małą dziewczynką i skończyło się wzajemne oszukiwanie. Podwozi mnie więc do najbliższej stacji, a potem długo się ze sobą żegnamy. Później znikam. Żegnaj, siostrzyczko... Kocham cię.

## 64. Ostatni raz...

Ogarnia mnie dziwne uczucie lekkości. Podekscytowana wspinam się ulicą do mieszkania Chafika. Montreal przeżywa niespotykane w kwietniu upały. Mam na sobie moją niebieską letnią sukienkę na cienkich ramiączkach i buty na platformie, które uwydatniają moje opalone w kubańskim słońcu nogi. Chcę, żeby M zobaczył mnie właśnie taką: piękną, seksowną i kobietą. Moje podniecenie narasta coraz bardziej i kiedy docieram pod szarą, ceglana kamienicę wysoko na końcu stromej, ślepej uliczki, aż kipi we mnie energia. Nie mogę się doczekać, żeby zaskoczyć M, któremu od ponad miesiąca nie dałam znaku życia. Długo się z tym nosiłam, ale dzisiaj postanowiłam, że nie chcę umrzeć sama. Chcę jeszcze raz przeżyć to niepowtarzalne uczucie radości i euforii z naszego spotkania, choćby miało potrwać zaledwie jeden dzień. Dla tego uczucia warto jeszcze raz spróbować. Ostatni raz. Ten kop wynagradza wszystkie już wymierzone i przyszłe kopniaki.

Dzwonię do mieszkania Chafika. Nikt nie odpowiada. Czekam więc przed wejściem. Będę tak stać i do nocy, jeżeli będzie trzeba, chociaż z wiadomości, które M nagrał mi na pagerze, wiem, że nie rusza się z domu na krok, czekając na mój powrót, jedynie do meczetu. Przestał warować na lotnisku, bo domyślił się, że już wróciłam do kraju. Mija godzina, a ja nie spuszczam wzroku z wylotu ulicy, żeby nic nie przegapić ze sceny, która się zaraz rozegra. Słońce praży i chociaż zbliża się wieczór, jaskrawe promienie przyjemnie grzeją moją odkrytą skórę na ramionach.

Nareszcie go dostrzegam. Idzie pod górę ulicą. Upajam się tą chwilą. Rozpoznaję jego posuwisty chód i smukłą sylwetkę w dżinsach Diesel i czarnym swetrze z trójkątnym wycięciem, który tak bardzo lubię. Wiem, że mnie zaraz zobaczy i że nasze spotkanie będzie wręcz magiczne. Chociaż jest

jeszcze daleko, a na oczach ma okulary przeciwsłoneczne, czuję na sobie jego wzrok. Nieruchomieje w pół kroku zaskoczony moim widokiem i podnosi ramiona do nieba.

– *Allahou akbar!* – woła w przypiływie radości.

Patrzy w moją stronę i kręci głową z niedowierzaniem. Pada na kolana i całuje asfalt, kilkakrotnie wznosząc ręce do nieba, po czym wstaje i biegnie wprost w moje otwarte ramiona.

– Wróciłaś! – krzyczy, szlochając, a ja nie mogę opanować łez.

Obejmuje mnie. Jego słodki zapach koi mój ból, moją tęsknotę, moje szaleństwo i rozpacz. Otacza mi twarz dłońmi i patrzy na mnie rozgorączkowany.

– Wiedziałem, że to się dziś stanie, *y'all baby*. Tak się modliłem, żebyś wróciła. Nawet nie wiesz, jak się za tobą stęskniłem.

Przywiera ustami do moich. To jest ten tak długo i z taką tęsknotą wyczekiwany, słodki pocałunek, który znamy tylko my dwoje. Tak się starałam zwalczyć w sobie to pragnienie, tak próbowałam wyrzucić go ze swego życia i wymazać wszelkie wspomnienie o moim księciu z bajki. Ale on jest wyryty w moim sercu i nie potrafię bez niego żyć, teraz już wiem to na pewno.

– Jesteś taka piękna... Chodź.

Bierze mnie delikatnie za rękę z niespotykaną wcześniej czułością i wchodzimy powoli na górę, przystając kilkakrotnie na schodach, żeby się jeszcze całować. Pożeram go wzrokiem, odurzona widokiem jego pięknej twarzy, gładkiej skóry, szlachetnie zarysowanej linii szczęki. Ma świeżą cerę i promienieje jakimś nowym światłem. Dostaję swoją działkę, to dawka prosto w żyłę.

Gdy docieramy do mieszkania, przyciąga mnie łagodnie do siebie i unosi w górę w swych silnych objęciach, po czym wchodzi do środka, jakbyśmy byli zaraz po ślubie. Wybucham śmiechem, kiedy uderzam głową we framugę drzwi, i oboje śmiejemy się z tego banalnego zwyczaju. Przechadza się po mieszkaniu ze mną w ramionach, nie chcąc mnie puścić na ziemię, i wygłupia się, wirując wokół własnej osi, żeby mnie rozśmieszyć. W końcu

siada na kanapie ze mną na kolanach i chowa mi twarz w piersiach.

– Tak strasznie się za tobą stęskniłem, kochanie. Już nigdy ode mnie nie odchodź, nie mogę bez ciebie żyć.

– Wiem, ja też nie. Tak się męczyłam. Obiecuj, że już nigdy nie zrobisz mi krzywdy.

– Obiecuję. Muszę ci tyle powiedzieć, chcę, żebyś wiedziała, że wszystko przemyślałem. Zmieniłem się, *ya'll baby*. Nawet nie wiesz jak bardzo. Masz przed sobą całkiem nowego M.

Chcę mu wierzyć, muszę mu wierzyć. Trwamy przytuleni do siebie przez jakiś czas w absolutnej harmonii, a potem kochamy się czule, patrząc sobie w oczy. W całkowitym zespoleniu zatapiamy się w sobie nawzajem.

## *65. Panowie z przodu, panie z tyłu*

Dziś wieczorem M został zaproszony do jakiegoś nieznanego mi kolegi, który mieszka w Saint-Laurent. On też niedawno przyjechał. Mimo najgłębszych przeczuć M nie mógł przewidzieć, że wrócę akurat dzisiaj i zgodził się spotkać u Hichama z grupą znajomych. Pyta, czy chcę pójść z nim. No pewnie! Teraz, kiedy znowu jesteśmy razem, nie mam zamiaru już nigdy go odstępować. Ku mojej radości okazuje się, że ubrania, które zostawiłam w mieszkaniu ponad miesiąc temu, leżą nietknięte. Muszę się przebrać. Po zachodzie słońca zrywa się przecież chłodny wiatr i smaga nas po twarzach.

Idziemy ulicami Montrealu, trzymając się za ręce, do mieszkania tego znajomego. Od czasu do czasu zatrzymujemy się, żeby nacieszyć się nawzajem swoimi ustami i swoim zapachem. Rozmawiamy o przyszłości i M zgadza się, żebym wróciła na studia i została aktorką. Jeżeli tego właśnie chcę, to, mimo jego niepocholebnej opinii na temat tego zawodu, będzie mnie wspierał w moich dążeniach i będzie ze mnie dumny, mówi. Ośmielona wyznaję, że za kilka dni mam ważne przesłuchanie i chcę spróbować swych sił. Zgadza się, a ja nie posiadam się z radości. Przed nami otwiera się zupełnie nowa droga, którą mam zamiar przebyć z podniesioną głową.

Niepewnie wchodzę do mieszkania, trzymając się blisko za plecami M i nie wypuszczając z ręki jego dłoni. Jest taki napuszony jak w czasie naszej pierwszej podróży do Afryki, kiedy popisywał się mną jak jakimś trofeum.

Przedstawia mnie jako swoją żonę i orientuję się, że nie wspominał znajomym o naszym chwilowym rozstaniu, bo wszyscy pytają, jak minęła mi podróż i cieszą się z mojego powrotu. Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej, bo przecież całkowicie straciłby twarz, a M dba o swój honor tak samo, jak o

swoje ubrania Hugo Bossa.

Mieszkanie to nic szczególnego – można powiedzieć, że to typowo męska melina, z kanapami z brązowej skóry i przypadkowo dobranymi lampami słabo oświetlającymi wnętrze. Przydałaby się kobieca ręka, żeby ocieplić trochę ten surowy i minimalistyczny wystrój. Nie ma alkoholu. Do poczęstunku wystawionego w formie bufetu na niskiej ławie jest wyłącznie herbata. Kilkunastu gości dyskutuje zawzięcie o polityce i swoim prezydencie, pałaszując chlebki pita, *tadżin*, kuskus, drób i warzywa. Słownictwo polityczne jest jeszcze dla mnie zbyt skomplikowane, chociaż moja znajomość arabskiego jest już rewelacyjna.

M włącza się do rozmowy i szybko ją dominuje. Gestykuje, wyjaśnia, peroruje i, zadowolony, przegaduje wszystkich dookoła. Szybko czuję się więc wykluczona z grupy i tylko uśmiecham się od czasu do czasu bezmyślnie jak indyk. M, upajając się własną swadą, nie zauważa, że stoję na uboczu. Szybko zapomni o swojej galanterii. Nawet do głowy mu nie przyjdzie podsunąć mi krzesło czy zaproponować coś do jedzenia, podczas gdy sam ochoczo napęnia sobie talerz. Czuję się niezręcznie i przez grzeczność nie ośmielam się tak po prostu wejść i usiąść między nieznanymi mi ludźmi. Tkwię więc na stojąco za jedną z kanap w nadziei, że rozmowa wkrótce nieco się rozproszy. Czas mija, a ja ciągle jestem skrępowana w obecności tych nowych ludzi, którzy od powitania nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi. Chętnie przyłączyłabym się do towarzystwa, ale krąg jest zamknięty i nigdzie nie widzę zapraszającego gestu, czy to ze strony mężczyzn, czy kobiet.

W pewnym momencie ten, który wydaje się najstarszy z całej ferajny, wstaje i prosi o ciszę. Nadszedł czas na modlitwę. M przypomina sobie o moim istnieniu i zwraca się do mnie, pytając, czy chcę też spróbować. Ponieważ ćwiczyłam ostatnio poszczególne sury i noszę przy sobie w torebce zapis fonetyczny, chętnie dołączę do reszty. M mierzy mnie krytycznym spojrzeniem.

– Nie możesz modlić się z odsłoniętą głową, *y'all baby*. Jutro kupimy ci wszystko, co potrzeba. A na razie możesz się poprzyglądać.

I ustawia się razem z innymi w dwóch rzędach. Panowie z przodu, panie



z tyłu. Przyglądam się im z kuchni. Nie spodziewałam się takiego przebiegu wieczoru. A widok M modlącego się żarliwie z wyrazem błogiego spokoju zasiewa ziarnko zwątpienia w mojej duszy. Zmiana jest radykalna. Stary pies nie zmienia tak łatwo swoich przyzwyczajzeń... W czasie modlitwy chowam się w korytarzu i, zebrawszy się na odwagę, dzwonię do mojej siostry. Mam wielką potrzebę wszystko jej wytłumaczyć, a teraz nadarza się dobry moment, bo nikt nie złapie mnie na gorącym uczynku, mimo że tego rodzaju wyskok nie powinien już stanowić problemu w mojej relacji z M.

Victoria aż chodzi ze złości, wrzeszczy na mnie i robi mi wymówki, że ją okłamałam. Mocno jej się dostało od rodziców, którzy zadzwonili do Séverine i odkryli, że mnie tam nie ma. Uspokajam ją i przyznaję, że owszem, jestem z M, ale wszystko jest w najlepszym porządku. W ciągu najbliższych dni odezwę się do rodziców i poproszę, żeby uszanowali moją decyzję. Victoria jest rozzalona i nie rozumie mojego wyboru. Nikt mnie nie rozumie, tylko jeden M.

## *66. Pod opieką Allaha*

Zaczynam dusić się w ciasnym, dwupokojowym mieszkanku, w którym gnieździemy się wszyscy troje, i czuję, że Chafik też już ma nas dosyć. Siedzimy mu na głowie od ponad tygodnia i widzę, że rano robi coraz więcej hałasu, trzaska drzwiczkami w szafkach i głośno słucha wiadomości w radiu. Mnie z kolei do szału doprowadza jego widok, gdy miesza kawę łyżeczką: trzy razy w lewo i cztery razy w prawo, a potem trzykrotnie stuka nią o brzeg kubka, żeby nie uronić ani kropelki, a na koniec wsuwa ją sobie do ust i wylizuje gorliwie. Nie mogę już patrzeć na jego ciało pokryte białymi, grzybicznymi plamami, bo nie uznaje za stosowne włożyć na siebie koszuli, zanim usiądzie rano przy małym, kuchennym stole. Nie cierpię, kiedy pochłania te swoje tosty z serem, po których śmierdzi mu z ust, nawet jeżeli myje potem zęby, niezmiennie zostawiając strużkę pasty na umywalce. I męczy mnie jego nosowy, piskliwy głos, zawsze jakby przesadnie wesolutki. Musimy się stąd wynosić i szybko znaleźć własny kąt, zanim ta sytuacja całkowicie popsuje nasze stosunki.

M nie trzeba do tego namawiać. Przez skórę wyczuwam jego rozdrażnienie i, gdy tylko Chafik wychodzi na uczelnię, każe mi spakować nasze rzeczy. Już nie wytrzymuje, idziemy dziś spać gdzie indziej – w pokoiku córki tego, którego określiłam jako najstarszego z ferajny podczas tej „nie-impreszy” z modlitwą w zeszły piątek. Ma na imię Karim, o ile dobrze pamiętam. Jak tylko wchodzimy, żona Karima rzuca się karmić mojego M, stawiając przed nim wielki talerz smakowicie wyglądającej jagnięciny. Przyszliśmy pod wieczór, bo przez cały dzień wertowaliśmy gazety, próbując jak najszybciej znaleźć jakieś mieszkanie, co pod koniec kwietnia praktycznie graniczy z cudem. M je z apetytem, wbijając we mnie wzrok. W

odpowiedzi mrużę pytająco oczy, a gdy tylko zostajemy sami, pyta mnie drwiąco, dlaczego ja nie przygotowuję mu takich przysmaków.

– A, prawda! – mówi. – Ty przecież nie umiesz gotować. Dobrze, że ona umie.

I idzie do salonu, żeby razem z całą rodziną oglądać telewizję, zostawiając mnie samą ze swoimi resztkami do posprzątania. Chce mi się jeść, ale nie odważyłam się poprosić. Nie to, żeby ktokolwiek w ogóle się mną zainteresował. Już i tak czuję się niezręcznie, że nocujemy w pokoju małej, która z naszego powodu musi spać w jednym łóżku z rodzicami, tym bardziej nie wypada mi objadać naszych gospodarzy, jeżeli sami mi tego nie zaproponują. Nie znam ich i staram się sprawiać jak najmniej kłopotu. Jak najciszej zbieram naczynia. Czuję się dotknięta uszczypliwością M, ale staram się to zlekceważyć, żeby nie robić afery. Intuicja mówi mi, że ta kobieta ma do M słabość i próbuje przez żołądek zyskać jego względy. Nie podoba mi się jej wyzywające spojrzenie w moją stronę. Nie ma mowy, żebym została tu więcej niż jedną noc, myślę.

Trochę później nadchodzi czas modlitwy. Mam swoją chustę pod ręką. Kupiliśmy ją dzisiaj w sklepie przy meczecie. Wybrałam niezbyt grubą i czarną, żeby pasowała do wszystkiego. Staję przed lustrem i po raz pierwszy wkładam ją na głowę. M nie zdążył nauczyć mnie, jak ją wiązać, i muszę próbować wiele razy, żeby to dobrze zrobić i schować pod tkaniną każdy kosmyk moich jasnych włosów. Następnie ogarniam wzrokiem efekt moich wysiłków. Wyglądam strasznie! Mimo zapadniętych policzków i bladej cery moja twarz w czarnym obramowaniu wydaje się dziwnie okrągła. Nie chcę tak się pokazać. Jest mi wstyd i wydaje mi się, jakbym miała na sobie jakiś durny kostium. Ale muszę tam wyjść...

Na palcach wracam do salonu. Mężczyźni stoją już z przodu, jeden obok drugiego, a żona Karima czeka za plecami męża. M ogląda się na mnie i napotykam jego wzrok. W kąciku ust błąka mu się szyderczy uśmiezek. On się ze mnie nabija! Ogarnia mnie przemożne pragnienie, żeby zerwać tę chustę z głowy i wykrzyzczeć im na cały głos, że to nie moja religia i że nie odnajduję się w tych zwyczajach, które uważam za śmieszne. Oblewam się rumieńcem i z zażenowania spuszczam głowę. Staję za M z moją ściągawką w ręce, a potem zaczynamy. Bardzo uważam, żeby poprawnie wymawiać

poszczególne słowa i naśladowuję ruchy M, a jednocześnie próbuję się skupić. Modlitwa przypomina ćwiczenie powitania słońca, jakie nauczyłam się wykonywać w szkole średniej na zajęciach z jogi. Ze zdziwieniem odkrywam, że w momencie, gdy dotykam głową ziemi i kładę czoło na dywaniku, ogarnia mnie uczucie niesamowitej łączności. Mam wrażenie, że z wnętrza mojej głowy tryska strumień światła i biegnie między gwiazdami prosto do nieba, aż do tego ogniska energii, jakim jest Bóg. Moje trzecie oko się otwiera i wiem, że to czas na moje błaganie. Poczucie bezpośredniej więzi z Allahem dodaje mi siły, jakbym nagle zyskała nowe oparcie i sojusznika.

Boże mój, spraw, żeby M nie dał się znów swojej słabości. Boże mój, spraw, żeby czekało nas piękne życie bez zmartwień. Boże mój, spraw, żeby już nigdy mnie nie uderzył. Boże mój, spraw, żeby już zawsze mnie kochał.

Czuję, że M się podnosi i pora kończyć moją medytację. Najchętniej zostałabym tak na ziemi na zawsze. Ten moment, gdy doznałam uczucia bezpośredniej łączności z Bogiem, przywrócił mi równowagę i wzniósł mnie na zupełnie nowy poziom uduchowienia. Tak wspaniale było zanurzyć się w tej kojącej energii. Od tej pory już nigdy nie będę sama.

## *67. Pod kontrolą*

**B**omba spadła tego ranka. Jeden ze znajomych M, który od kilku miesięcy pozostawał w Quebecu nielegalnie, został zatrzymany przez policję i odwieziony do aresztu śledczego. M krąży po kuchni, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie. Telefon dzwoni bez przerwy i do mieszkania Karima strumieniami ściągają znajomi, naradzają się pilnie i obmyślają plan. Rozmowa przebiega owocnie. Stanowczo musimy pójść odwiedzić Sofiana w areszcie, godzinę drogi stąd.

Czuję narastające zdenerwowanie. Dlaczego musieli go złapać akurat dzisiaj? O trzynastej piętnaście mam przesłuchanie i chciałabym się wcześniej przygotować, fizycznie i mentalnie, tym bardziej że nie zostało mi już dużo czasu. Powinnam złapać autobus najdalej za pół godziny, bo inaczej nie zdążę.

Odciągam M na stronę i mówię, że muszę wyjść, ale że dołączę do nich później, po moim spotkaniu.

– Jak możesz nawet myśleć teraz o robieniu z siebie idiotki, kiedy mój przyjaciel siedzi w więzieniu?

– Ale, kochanie, to dla mnie bardzo ważne. Moja agentka na mnie czeka, stanęła na głowie, żeby mi załatwić ten casting. Jest za późno, żeby się wycofać. Przecież wiesz, że przygotowuję się już od dłuższego czasu.

– Jeżeli pójdziesz, to znaczy, że jesteś po prostu głupią dziwką bez serca. Jak pójdziesz, to możesz nie wracać. Zrozumiano?

Przełykam ślinę i czuję się w potrzasku. Nic mnie nie obchodzi jego przyjaciel w więzieniu. Ustaliliśmy, że będę mogła wrócić do pracy. Myśli

wirują mi w głowie i muszę podjąć decyzję.

Nie dotarłam na to przesłuchanie. Podałam się, żeby uniknąć kolejnej awantury, ale sądziłam, że M będzie szczęśliwy i dumny z tej mojej decyzji. O trzynastej piętnaście w wielkiej furgonetce Karima rozlega się dzwonek pagera w mojej torebce. Wyłączam go, nie patrząc na numer, z pewnością zawierający pełną wyrzutów wiadomość. Nie mam teraz siły na pretensje mojej agentki. Cokolwiek nie zrobię – nigdy dobrze, zawsze jest ktoś niezadowolony. A ja, kim ja w ogóle jestem? Czego naprawdę pragnę? Nie mam pojęcia, sama już nie wiem.

O czternastej dojeżdżamy do aresztu. Pośrodku pola wznosi się olbrzymia, szara budowla otoczona drutem kolczastym i srogo wyglądającymi ochroniarzami przed wejściem.

M każe mi zostać w samochodzie i nie zgadza się, żebym poszła z nimi. Czekam dwie godziny. A on zuchwale przechodzi przez kontrolę, machając funkcjonariuszom podrobionymi papierami przed nosem.

Całkiem zdrętwiałam z zimna na tylnym siedzeniu. Dlaczego moja obecność tutaj była tak niezbędna? Mogłabym równie dobrze pójść na przesłuchanie, zamiast tkwić na jakimś parkingu. Jestem wściekła na samą siebie i strasznie mi żal. Uległam żądaniom mojego Potwora, co ponownie pozwoliło mu zająć mój umysł i przejąć nade mną kontrolę.

## 68. *Ból*

Wynieśliśmy się z dziecięcego pokoiku i mieszkamy teraz w zapyziałym motelu za trzydzieści pięć dolarów za nocleg, czekając, aż zwolni się mieszkanie Bachira, które będziemy podnajmować przez najbliższych sześć miesięcy w trakcie jego praktyk za granicą.

Pokój w motelu jest niesamowicie brudny i zaniedbany. Stary, czerwony dywanik jest w wielu miejscach podarty, pościel nosi niespieralne plamy, a pożółkłe ściany pokrywa odrażająca pleśń. Muszla klozetowa jest zbrązowiała od rdzy, a kafelki w łazience są popękane. Prysznic cieknie i nieustanny dźwięk rozpryskujących się kropli przeszkadza mi zasnąć. Pokój ma jedno okno, które się nie otwiera i nie mogę swobodnie oddychać w tym zatęchłym powietrzu.

M znowu dostał przelew od swojego ojca, dzięki czemu przetrwamy przez najbliższe dni. Ze swej strony umówiłam się na spotkanie w agencji zatrudnienia. Od kilku dni odczuwam lekkie skurcze w dole brzucha i chyba mam gorączkę, bo wstrząsają mną dreszcze. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi, a może było trzeba.

M jest dziś nie w humorze i nie chce wychodzić z pokoju. Ogląda telewizję i posyła mnie po zakupy, ku mojej radości, bo to miejsce napawa mnie najwyższym obrzydzeniem. Wkładałam kurtkę, ale przed wyjściem M pyta, czy o czymś nie zapomniałam. Myślę gorączkowo. Nie dałam mu buzi przed wyjściem, może to o to chodzi. Podchodzę, żeby pocałować go w usta na pożegnanie, ale odpycha mnie gniewnie.

– Twoja chusta! Skoro się teraz modlisz, jak śmiesz wychodzić z domu z odkrytą głową? Chcesz, żeby faceci oglądali się za tobą, tak? Zobaczysz, że

pójdiesz do piekła.

Ale wczoraj nosiłam ją tylko do modlitwy. Dlaczego nagle mam się chować pod tą niewygodną tkaniną, żeby wyjść na ulicę w moim kraju? Może dlatego, że dzisiaj jest taki rozdrażniony. Ze strachu przed awanturą biorę chustę i wkładam ją na głowę. Mogłabym ją zdjąć na ulicy, ale mam wrażenie, że będzie mnie śledził, żeby upewnić się, że moje włosy są dobrze ukryte pod czarnym sukniem. Postanawiam wbrew sobie zachować okrycie. Idę do sklepu ze spuszczoną głową, unikając wzroku przechodniów. Jest mi nieprzyjemnie. Cięży mi poczucie, że odbiera mi się prawo do bycia kobietą, do bycia piękną i istnienia w ogóle. Ani w żąb nie rozumiem, dlaczego Koran każe ukrywać nas w ten sposób i postanawiam dokładnie przyjrzeć się tej kwestii.

Gdy wracam, dół brzucha przeszywa mi gwałtowny ból. Biegnę do łazienki. W muszli pojawia się strużka krwi. A to wcale nie jest czas na mój okres. Mówię o tym M, ale on warczy tylko, że zaraz mi przejdzie. Nie chcę dramatyzować, ale z każdą godziną ból staje się coraz ostrzejszy. Co chwilę biegam do łazienki i podejrzewam, że mam zapalenie pęcherza, z którym należałoby jak najszybciej jechać do lekarza. Nie mamy pieniędzy, żeby kupić lekarstwa, zaciskam więc zęby, mając nadzieję, że ból rozejdzie się w końcu po kościach. M nie może już słuchać mojego pojękiwania. Niespodziewanie wstaje i wychodzi z pokoju.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiada i wraca dopiero wieczorem, zostawiając mnie w bólu samą. Próbuję mimo wszystko odmówić modlitwę i zająć czymś myśli przed telewizorem, ale przez cały czas latam do łazienki i wyję, gdy krew pali mi wnętrzności.

Wreszcie powraca M. Leżę zwinięta w kłębek na nieświeżym łóżku i próbuję zasnąć, żeby tylko nie czuć już tego bólu.

– Źle się czujesz?

– Tak. To naprawdę boli, ale przejdzie mi. Długo cię nie było, gdzie poszedłeś?

– Do meczetu.



M jest jakiś dziwny. Siada ze skrzyżowanymi nogami prosto na ziemi i zaczyna powtarzać w kółko fragmenty Koranu, których próbuje wyuczyć się na pamięć. Staram się nie uskarżać, ale od czasu do czasu muszę zaciskać zęby, a z ust wyrывa mi się żałosne kwilenie. O jeden raz za dużo. Nagle M wstaje i podchodzi do mnie szybkim krokiem. Brutalnie kładzie mi rękę na ustach i mocno zgniata mi wargi.

– Przystaniesz w końcu zawodzić?

Ma potworne oczy. Już dawno nie widziałam tego spojrzenia, które tak dobrze znam. Zamykam oczy, bo nie chcę, żeby je we mnie zatapiał. M puszcza mnie i wraca do swoich zajęć. Jeszcze długo czuję ślady jego palców na ustach. Boże mój, spraw, żeby Potwór już mnie nie dręczył. Nie mam już siły znów walczyć.

## 69. Choroba

Męcę się całą noc i coraz częściej biegam do łazienki. M wyszedł do meczetu na poranną modlitwę, a ja odmawiam swoją sama po przebudzeniu. Powinnam się zbierać na moje spotkanie, ale nie dam rady. Z trudem wychodzę z pokoju i krążę w deszczu po Montrealu, szukając kliniki, gdzie przyjęliby mnie bez wcześniejszego zapisu. Jest bardzo wcześnie. Zimno mi, a w dole pleców czuję okropny ból. Muszę zgiąć się wpół, żeby poruszać się naprzód. W końcu dostrzegam w oddali zielony znak nad drzwiami jakiejś lecznicy.

Wchodzę. Na wizytę czeka tłum ludzi. Z trudem posuwam się w stronę recepcji, za którą miła kobieta prosi o okazanie karty ubezpieczenia. Podaję jej dokument, cała drżąca, czując się coraz bardziej słabo i tylko nadludzkim wysiłkiem udaje mi się nie zemdleć.

– Proszę usiąść – mówi, podając mi numerek.

Nie jestem w stanie czekać. Ledwo dosłyszalnie, z urywanym, płytkim oddechem mogę wykrztusić tylko jedno zdanie, po czym osuwam się na ziemię.

– Proszę mi pomóc, proszę... To tak boli, że już nie wytrzymam.

Próbuję podnieść się z ziemi, ale dopadają mnie zawroty głowy. Pielęgniarka podbiega do mnie i pomaga mi dowlec się do pustego gabinetu, podczas gdy recepcjonistka zawiadamia lekarza, że jedna pacjentka pilnie potrzebuje pomocy w pokoju numer cztery.

Czekam, wyciągnięta na łóżku, a po policzkach lecą mi łzy. Niech już jakiś lekarz zabierze ten ból, który przenika mi nerki, żołądek i pęcherz.

Trzęsę się. Do gabinetu wchodzi lekarz i zaczyna badanie. Zadaje mi masę pytań, obmacując mi brzuch i plecy.

Diagnoza zapada szybko. Podejrzewa zapalenie nerek, potrzebuję natychmiast jechać do szpitala na oddział nagłych wypadków. Co takiego? Zapalenie nerek to infekcja bakteryjna atakująca nerki, a nieleczona może je w dużym stopniu uszkodzić i pozostawić w nich nieodwracalne zmiany.

Momentalnie wzywa się karetkę i pędem zostaję przewieziona do najbliższego szpitala.

W tym czasie podaję pracownikowi pogotowia numer Chafika, żeby poinformował M, co się ze mną dzieje. Wygląda jak Święty Mikołaj, a pod jego pełnym życzliwości spojrzeniem rozklejam się i zaczynam płakać. Jest taki miły, łagodny i współczujący. Brakuje mi taty. Tak bym chciała, żeby tu był teraz przy mnie. Odkąd wróciłam do M, czuję się taka samotna.

W okamgnieniu docieramy do szpitala św. Łukasza. Natychmiast zostaję skierowana na oddział intensywnej opieki, gdzie pielęgniarki wykonują mi różne badania i wreszcie, ku mojej uldze, wstrzykują mi silny antybiotyk, który wprawia mnie w stan jakby odurzenia alkoholowego.

Ile już godzin tu leżę? Nie wiem. Zamroczona przyglądam się ruchom pielęgniarek i wchodzących ludzi i czuję się całkiem sama. Czas mija i nagle uświadamiam sobie, że jest noc, bo nie słychać brzęczenia jarzeniówek na suficie i wszędzie zalega ciężka cisza.

Ból nieco zelżał i udaje mi się zasnąć, mimo przepełniającego mnie poczucia osamotnienia. Po przebudzeniu zastanawiam się, czy ktokolwiek wie, że tu jestem, na szpitalnym łóżku, wśród innych chorych, odcięta od świata cieniutką zasłonką. Moja pielęgniarka zajmuje się mną z troskliwością bliską Matce Teresie, od czego w gardle narasta mi kula emocji, której nie mogę powstrzymać. Płaczę skrycie w mojej samotności, gdy nagle nad zaciągniętą zasłoną pojawia się czupryna brązowych, kręconych włosów. Mój umysł jest jeszcze zamglony z powodu silnych leków, więc nie od razu rozpoznaję stojącego przede mną mężczyznę. Podchodzi wolno do łóżka i bierze mnie za bezwładną rękę.

– Sophie?

Otwieram oczy nieco szerzej i rozpoznaję Michela. Co on robi w szpitalu? Już od wielu lat nie widziałam człowieka, który opiekował się mną i moimi siostrami, kiedy byłyśmy małe. Michel i Lucie mieszkali o kilka domów od nas u podnóża góry i bardzo szybko zaprzyjaźnili się z moimi rodzicami. Kiedy dowiedzieli się, że nigdy nie będą mogli mieć dzieci, zaadoptowali nas trzy, jakbyśmy naprawdę były ich córkami. W czasach naszego radosnego dzieciństwa mówiłyśmy do nich „wujku” i „ciociu”. Spędzaliśmy z nimi dni wolne i święta. Ciocia Lucie i wujek Michel odegrali w naszym życiu bardzo ważną rolę, i to nie do wiary, że akurat on znajduje się nagle u mego boku, gdy nikt inny nie pofatygował się mnie odwiedzić.

Michel wyjaśnia, że pracuje w tym szpitalu, a ponieważ nic nie dzieje się przypadkowo, moja próbka moczu do analizy trafiła właśnie do niego. Niemal spadł z krzesła, kiedy zobaczył moje nazwisko na etykietce. To w Quebecu rzadko spotykane nazwisko, więc postanowił zajrzeć i zobaczyć, czy to naprawdę ja i jak się czuję, ale dopiero dzisiaj znalazł czas, żeby się wyrwać. Tak bym chciała powiedzieć Michelowi, że moje życie to jeden wielki mętlik i że potrzebuję znaleźć drzwi do wyjścia, że popełniłam kolosalny błąd, wracając do M i że chciałabym, żeby rodzice przyjechali tu po mnie i wzięli mnie w ramiona. Tak bym chciała, żeby wujek Michel zabrał mnie z tego szpitala i zawiózł do mojego pokoju w domu rodziców.

Ten właśnie moment wybiera M na złożenie swej niezapowiedzianej wizyty. Ze zwykłym sobie urokiem przedstawia się Michelowi i gawędzi z nim chwilę, po czym podchodzi do mnie i całuje mnie przelotnie w czoło. Michel musi wracać do pracy. Żal mi, że odchodzi. M chce się dowiedzieć, dlaczego jestem w szpitalu. Nie mógł wcześniej przyjść, bo musiał iść do meczetu. W pierwszej kolejności chce wiedzieć, czy dotykał mnie jakiś mężczyzna.

Co za człowiek nie leci zobaczyć, co się dzieje, kiedy dowiaduje się, że jego żona trafiła na oddział intensywnej opieki? M został u mnie nie więcej niż godzinę. W tym czasie zajrzał do mnie lekarz i gdy orzekł, że powinni wypisać mnie nazajutrz, M nagle stwierdził, że musi już iść. Przyjdzie po mnie jutro.

Przez trzy długie dni leżałam sama w szpitalu, a kiedy wyszłam, blada i osłabiona, M zabrał mnie prosto do jakiegoś kumpla, z którym umówił się na

spotkanie. Czułam się marnie i nie chciałam iść między obcych ludzi. Miałam tylko jedno pragnienie: wracać do siebie, ale takie miejsce niestety nie istniało.

## *70. Zamknięta w piwnicy*

**M** znowu jest Potworem. Odprężenie po tym, jak postanowiłam ostatecznie do niego wrócić, trwało z tydzień, najwyżej dwa. A na domiar zwykłej potworności pojawił się jeszcze fanatyzm, który opanowuje go coraz bardziej. Przeczytałam Koran w całości, bo Hakim podarował mi przetłumaczoną wersję, i uważam, że to nieskończenie piękna religia. Prawdziwość jej stwierdzeń fascynuje mnie i skłania do przemyśleń. Lubię modlitwę, w której odnajduję tak silną łączność z Bogiem. Lubię, jak napętnia mnie poczucie niewidzialnej mocy, gdy dotykam czołem ziemi i błagam Allaha, żeby pomógł mi wytrwać.

Ale M nie jest ładny w swojej religijności. On nie czyta Koranu w ten sam sposób co ja. Wybiera poszczególne wersety i interpretuje je po swojemu, skupiając się na najbardziej rygorystycznych aspektach, żeby mnie ukarać i udowodnić mi swoją wyższość. Nie mam siły się mu sprzeciwić ani walczyć z tym stekiem bredni, jakimi napętnia mi głowę. M usprawiedliwia swoje dzikie napady szału, usiłując wmówić mi, że taka jest wola Allaha, a ja nie mam argumentów przeciwko temu człowiekowi, gubiącemu się już w koncepcjach, które sam sobie stworzył.

Od jakiegoś czasu podnajmujemy mieszkanie Bachira w zapyziałej kamienicy w Saint-Laurent, daleko od wszystkiego i po drodze donikąd. W okolicy znajduje się jedynie autostrada i centrum handlowe. Maciupęńkie, dwupokojowe mieszkanko zajmuje niewielki fragment podziemnej części budynku tuż obok parkingu, skąd dobiega jednostajne rżenie pomp grzewczych. Cienkie ściany oddzielające nas od parkingu nie tłumią dźwięku i szybko staje się jasne, dlaczego czynsz nie przekracza tu trzystu dolarów miesięcznie. Większość sąsiadów stanowią Hindusi i w ciemnym korytarzu,

który prowadzi do mieszkania, nieodłącznie unosi się zapach curry. Nigdy wcześniej nie przeszkadzał mi ten zapach, zanim nie zaczął kojarzyć mi się z tym właśnie okresem mojego życia. Dzisiaj zapach indyjskich przypraw momentalnie przypomina mi przeszłość i wywołuje mdłości.

M nigdy nie chciał, żebym wróciła do pracy, bo woli trzymać mnie w domu. Tu jest miejsce kobiety, mówi. A przecież jego matka pracuje, ale wolę się z nim nie sprzeczać, to zbyt ryzykowne. Sam podłapał nielegalną fuchę w myjni samochodowej, którą zarządza Karim, piętnaście minut drogi autobusem od naszego nowego lokum. Spędza tam całe dni i zabawia się szorowaniem samochodów w otoczeniu przyjaciół. Pracuje ich tam na czarno sześciami i boję się, że kiedyś wpadnie tam policja i ich zaaresztuje. M ma fałszywe papiery, więc nie obawia się policji, a w najgorszym wypadku przeniesiemy się do Afryki, więc na razie nie ma powodu do niepokoju. Rzuciłam okiem na te papiery. M musi naprawdę mieć Kanadyjczyków za kompletnych durniów, bo już na pierwszy rzut oka nawet ja widzę, że są podrobione. Rzecz jasna nigdy mu tego nie powiedziałam...

M lubi mi opowiadać, że dostaje mnóstwo napiwków, zwłaszcza kiedy flirtuje z bogatymi, młodymi kobietami z sąsiedztwa, które przyjeżdżają oddać samochód do mycia tylko po to, żeby się z nim spotkać. Jego zdaniem nie ma nic złego w tym, że wykorzystuje swój wdzięk, żeby sobie dorobić. Jego słowa mnie ranią, przerażają, upokarzają i wywołują zazdrość. Naprawdę aż taką przyjemność sprawia mu ta perfidna zabawa w opowiadanie mi o swoich podbojach?

Tego ranka, jak co dzień, wstaję o świcie na modlitwę. Muszę najpierw obmyć się zgodnie z obyczajem. Ablucja przed modlitwą, czy też *wudu*, pozwala pozbyć się wszelkich nieczystości. Na wpół rozbudzona idę do łazienki pierwsza, żeby M mógł pospać jak najdłużej, i myję dłonie aż po nadgarstki. Potem muszę wypłukać usta, obmyć nos i twarz trzy razy, potem prawe ramię i lewe, także trzykrotnie. Na koniec muszę przesunąć mokrą dłoń po głowie, umyć uszy i opłukać znowu trzy razy prawą i lewą stopę. Po myciu budzę delikatnie M, zawiązując sobie chustę na głowie. Burczy gniewnie i odpycha mnie, ale nie ustępuje. Wczoraj ustąpiłam i dostałam za to opieprz, jak się patrzy.

Kłęczę na dywaniku z głową wiernie zwróconą na północny-wschód,

czekając, aż M się umyje. To jest kluczowy moment, kiedy czuję, jak moja energia ulatuje ku niebu i łączy mnie z tą najwyższą potęgą. Przygotowuję się do modlitwy *salat* i bardzo mi zależy, żeby Allah na pewno wysłuchał mojego błagania.

M wychodzi szybko z łazienki i ustawia się przede mną z lekko rozstawionymi nogami i złączonymi dłońmi. Podnoszę się i zaczynamy odprawianie obrzędu: on – mechanicznie, a ja – z całej duszy. Potem M wraca spać na kanapę z fioletową pościelą, która wiecznie się zsuwa i farbuję nam piżamy, kiedy jest zbyt gorąco. Nie znoszę tego łóżka. Jest za małe dla nas obojga, szczególnie że strasznie się wiercę przez sen, jak twierdzi M. Nie chcę się przy nim kłaść, chcę trwać tak skulona z głową na dywaniku, tak jak się czuję najlepiej.

Pozostaję na podłodze przez długie minuty, aż w końcu promienie słoneczne zaczynają sączyć się do sutereny przez jedyne okienko wychodzące na pusty plac między naszą kamienicą a sąsiednią. W ciągu dnia widok za oknem stanowią stopy, pantofelki, trzewiki i kostki, niektóre owłosione, inne nie.

Błagam jeszcze Boga, powtarzając jak mantrę jedno i to samo zdanie: Boże mój, spraw, żebym mogła dzisiaj stąd wyjść, Boże mój, pomóż mi odzyskać moje życie.

Dzwonek budzika wytrąca mnie z transu. M wstaje i idzie pod prysznic.

– Ty jeszcze tutaj? – mówi protekcjonalnie.

Nie odpowiadam na jego zaczepki. Wstaję, rozprostowuję nogi i idę zrobić kawę. Codziennie staram się zrobić przyjemność M i podać śniadanie dokładnie w momencie, kiedy wychodzi z łazienki, mając nadzieję, że w ten sposób dobrze rozpoczniemy dzień i dzisiaj będzie mnie kochał. Jeżeli dzień zacznie się dobrze, to może dziś wystawię głowę poza te cztery ściany, łudzę się. Taka prawidłowość jeszcze się nie sprawdziła, ale może uda się akurat dzisiaj. Jak na razie nic jeszcze nie zepsułam, myślę.

Ja za to lubię wypijać rano siedem lub osiem kaw z rzędu, więc napełniam ekspres po brzegi i nastawiam, a w tym czasie biorę się do tostów. Stawiam wszystko na małym biurku w salonie, a M wychodzi spod prysznic z ręcznikiem wokół kościstych bioder. Bardzo stracił na wadze od naszego



pierwszego spotkania i jest teraz niesamowicie chudy. Powinnam karmić go większą liczbą tostów i stekami z jajkiem, a nie masłem orzechowym i białym, najtańszym pieczywem. Siedzę na jednym z dwóch krzeseł z włosami potarganymi od chusty, którą miałam na sobie podczas modlitwy, pijam kawę i patrzę, jak M wyciąga rękę po grzanekę, bierze do ust i natychmiast wypluwa. Chwyta talerz i ciska nim o ścianę. Porcelana rozpryskuje się na tysiąc kawałków.

– Zimne. Ty naprawdę do niczego się nie nadajesz... Nie umiesz nawet przygotować pieprzonego chleba. Co ja w ogóle z tobą jeszcze robię?

Zamieram na krzesło, bo talerz roztrzaskał się tuż obok mojej twarzy. Czy on naprawdę celował we mnie? Bez słowa i w panice czekam na dalszy atak, ale nie następuje. Przekracza leżące na podłodze skorupy, wciąga džinsy i T-shirt, a potem rzuca mi jadowite spojrzenie i wychodzi, przekręcając klucz w zamku dwa razy.

Po tym, jak się tu przenieśliśmy, M wymienił zamek, bo obawiał się, że ktoś inny może mieć komplet kluczy. Tyle że kupił zamek, który otwiera się tylko od zewnątrz. Więc odkąd mieszkamy tutaj, stałą uciechę sprawia mu zamykanie mnie w tej piwnicy na cały dzień. Trzeciego dnia próbowałam uciec przez okno, ale otwór był za mały i za bardzo bałam się, że mnie przyłapie, więc dałam sobie spokój. A gdyby wybuchł pożar, to przecież bym zginęła, nie przyszło mu to do głowy?

Biegnę do drzwi i walę w nie, krzycząc za M, żeby wrócił i mnie dziś wypuścił. Przepraszam za tosty, ale nie mogę zostać znowu cały dzień w tej norze bez wyjścia. Osuwam się na ziemię i bez końca walę głową w ścianę, próbując fizycznym bólem zagłuszyć cierpienie duszy.

Jestem jak duch w nawiedzonym mieszkaniu. Dlaczego obrywam za tosty, które zresztą dopiero co wyjęłam z opiekacza? Po prostu potrzebowałam wymówki, żeby się wyładować, a ja zbieram ciągi za jego zły humor, skazana na agonię przez tę toksyczną miłość.

Godziny mijają powoli. Nie mam dostępu do komputera, bo M założył hasło, którego nie znam. Nie mogę wyjść, nie mam kontaktu ze światem, snuję się po tym lochu otumaniona upałem i dobija mnie nuda i tęsknota. Czy młoda kobieta w moim wieku nie powinna właśnie przeżywać swoich

najpiękniejszych chwil w życiu: spotykać się z przyjaciółmi, pracować, studiować, imprezować?

Zgrzyt klucza w zamku wyrywa mnie z odrętwienia i natychmiast zacznę nasłuchiwać wszelkich sygnałów ewentualnego niebezpieczeństwa. Wraca M i cała się napinam, słysząc rozmaite głosy w korytarzu. Wchodzi do mieszkania w towarzystwie kolegów z myjni, wśród których rozpoznaję Karima. Cała wataha zalega w salonie, a ja ledwo mam czas ukryć się w łazience, bo ciągle jestem w piżamie, z zaczerwienionymi oczami i potarganą głową. Wcale mi się nie podoba, że po tym koszmarnym dniu w zaduchu mojej celi, mój dom, choćby i najbardziej zapuszczony, okupuje banda kolesi.

M wali do drzwi łazienki.

– Otwórz!

Wpuszczam go do małego pomieszczenia i cofam się aż do zasłony prysznicowej, żeby być jak najdalej od niego. W tej chwili szczerze go nienawidzę.

– Chowasz się tu?

– Nie, chciałam tylko się przebrać...

– Zachowujesz się niegrzecznie, przynosisz mi wstyd – warczy.

Odpowiadam, tłumacząc, że zamknął mnie na cały dzień, co zresztą robi codziennie od zbyt długiego czasu. Mówię, że przeszkadza mi, kiedy wraca bez uprzedzenia i przyprowadza znajomych, i w ogóle nie zawsze mam ochotę na tych wszystkich gości.

Nie pozwala mi nawet dokończyć. Podnosi głos i popycha mnie w tył. Moje łydki podcina krawędź brodzika i upadam na plecy, zrywając zasłonę. Uderzam silnie głową o pokrytą kafelkami ścianę i upadam na dno brodzika z łupnięciem w dole pleców. Słyszę radosne okrzyki jego znajomych, jakby kibicowali walce bokserskiej, i widzę, jak M rzuca im triumfalne spojrzenie przez uchylone drzwi, a potem odwraca się ku mnie, nadal leżącej w kabinie. Z najwyższą pogardą splota w moim kierunku. Karim podchodzi ocenić straty. Rzuca mi tak samo bezczelne spojrzenie jak M i obydwaj wychodzą, zatraskując za sobą drzwi. I tak na własne życzenie zostaję zamknięta w

maciupęńskiej łazience, czekając, aż bestie wyniosą się z mieszkania, i próbując opatrzeć sobie skaleczenia. Potem musiałam wyjść, bo M chciał obmyć się przed modlitwą. Co za hipokryta... Islam zabrania bić swoją kobietę.

– Co, teraz sobie wychodzisz, *ya kahba*?

Pokryta sińcami rozlewającymi mi się pod skórą i na prawej stronie twarzy, idę prosto do łóżka. Następnego dnia mnie nie zamknął. To chyba jakaś jego forma przeprosin, ale i tak nie ruszyłam się z domu. Za bardzo się bałam, jak zareaguje.

## *71. Siła modlitwy*

Meczet z zewnątrz jest zupełnie niepozorny. Za to kiedy wchodzę do środka drzwiami dla kobiet, moim oczom ukazuje się niezwykle miejsce. Sufity unoszą się niesamowicie wysoko, a ściany, na których wyryto kunsztownie sury Koranu, emanują ciszą i spokojem. Światło iskrzy się w wielobarwnych witrażach, a wpadające do środka ciepłe promienie słoneczne nadają wnętrzu jeszcze bardziej magiczny charakter. Zostawiam buty przy wejściu i zatapiam boscie stopy w miękkim, beżowym dywanie. Po drugiej stronie przegrody zbitej z krzyżujących się desek znajduje się sala modlitwy dla mężczyzn, miejsce, do którego nie wolno mi wchodzić. Idę do sali wodnej na tyłach, gdzie łatwo można się obmyć pod fontannami i natryskami wodnymi. Rozpaczynam rytuał, skupiona na każdym geście, rozkoszując się tym, że jestem sama i niezagrożona. Przyszłam ponad godzinę przed modlitwą, żeby się dobrze zaznajomić z tym miejscem. M dzisiaj pracuje i odkąd przestał zamykać mnie w mieszkaniu, ustaliliśmy, że mogę wychodzić jedynie do meczetu, co akurat mi odpowiada, bo lubię to poczucie wspólnoty, i nie mam już siły znosić pędu życia w centrum.

Kończę się myć, wracam na palcach na puszysty dywan i pogrążam się w medytacji. Wokół mnie zaczynają gromadzić się kobiety, każda w innej chustce, zależnie od akurat panującej mody. Nie widzę żadnej kobiety mojego pochodzenia i staram się nie zważać na zaciekawione spojrzenia w moją stronę. Jestem tu dla siebie.

Rozlega się wezwanie na modlitwę. Daję się ukołysać czystej i pełnej liryzmu pieśni imama. Ma niebiański głos, który pomaga mi zbliżyć się do aniołów. Wypowiadam arabskie słowa i z zaskoczeniem stwierdzam, że potrafię wyrecytować wybraną surę. W ciągu ostatnich tygodni nauczyłam

się na pamięć kilku modlitw, w tym także tej dzisiejszej. Pamięć mnie nie zawodzi i nie opuszczam ani jednego słowa. Nie rozumiem wszystkiego, ale wymawiam je prawidłowo.

Gdy wychodzę z meczetu, nie czuję się już sama. Jest mi lekko na duszy i przepętnia mnie całkiem nowa energia. Mam wrażenie, że stanowią część jakiejś całości, bo wiem, że Bóg jest przy mnie w każdym momencie, i samotność nie dominuje już mojego małego świata.

Na zewnątrz mężczyźni mieszają się z kobietami i jestem zaskoczona, widząc, że niektóre muzułmanki natychmiast odsłaniają głowy. Moja chusta jest nadal na miejscu i nigdy nie ośmieliłabym się jej zdjąć, zwłaszcza tuż po modlitwie w tym uduchowionym miejscu. Co za hipokryzja! Nie mieści mi się to w głowie. Wracam spokojnie do mojej piwnicy, a po drodze zatrzymuję się w sklepie, bo mam zamiar przyrządzić dla M jakiś dobry posiłek.

Posiłek, który wyrzuci do śmietnika już po pierwszej łyżce.

## 72. *Nigdy więcej*

Chodzę do meczetu od kilku dni i udało mi się nawiązać przyjaźń z jedną kobietą w moim wieku. Obydwie lubimy przychodzić wcześniej, zanim jeszcze rozpocznie się ceremonia, i podczas ablucji w sali wodnej korzystamy z okazji, żeby lepiej się poznać.

Bardzo mi się podoba w swoim tradycyjnym, soczyście błękitnym stroju, który ładnie podkreśla jej ciemną, lśniąca skórę. Jest energiczna i nie krępuje się zarzucać mnie setkami pytań. Początkowo, speszona, mamrotałam tylko jakieś mętne odpowiedzi, ale jej niegasnące zainteresowanie sprawia, że stopniowo zaczynam się przed nią otwierać. W którymś momencie, w przyływie szczerości, próbuję po raz pierwszy opowiedzieć komuś o mojej relacji z mężem: jego niepohamowanych wybuchach agresji, złości i upokarzaniu. Nie rozwodzę się nad szczegółami, opowiadam w kilku krótkich słowach i proszę ją o radę. Jej odpowiedź wciska mnie z powrotem w głąb mojej skorupy, w której jak ostryga zatrzasnę się na zawsze. Radzi mi tolerować jego huśtawki nastrojów, modlić się, żeby się zmienił, i próbować go zrozumieć. Bóg postawił go na mojej drodze, żebym pomogła mu odnaleźć właściwy kierunek. To mój mąż i nie wolno mi narażać na szwank jego honoru. Skoro mnie bije, to ma swoje powody, muszę się bardziej postarać.

Już bym wolała dostać obuchem w twarz. Słowa tej młodej kobiety tak bardzo mnie ranią, że postanawiam się już nigdy nikomu nie zwierzać. Ja tu szukam pomocy, pocieszenia, siły, żeby wreszcie zrozumieć, że wdepnęłam w bagno... Szukam trampoliny, żeby wyrwać się z tego toksycznego związku... Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że inna kobieta może usprawiedliwiać przemoc domową. Mogę liczyć tylko na siebie i muszę

odnaleźć w sobie tę małą dziewczynkę, żeby się uratować.

## *73. Wszystkiego najlepszego, Sophie!*

Dzisiaj kończę dwadzieścia lat. Zawsze rano w dzień moich urodzin ogarnia mnie radosne podekscytowanie, jakby tego dwudziestego pierwszego dnia maja włączała się jakaś magia i nagle wszystko stawało się możliwe. Mama zazwyczaj budziła mnie rano ze świeczką w ręce i razem z siostrami wręczała mi w łóżku kartkę z życzeniami, nucąc tradycyjną, szwedzką piosenkę.

W tym roku nie będzie świętowania. Przez cały dzień do późnego wieczora daremnie czekałam, aż M napomknie o tej szczególnej okazji. Kiedy wczesnym popołudniem wyszedł do pracy, wybrałam się do sklepu za dolara i kupiłam sobie trzy tabliczki czekolady. Mr Big, Caramilk i Coffee Crisp. Pochłonęłam je, siedząc na łóżku i zalewając się gorącymi łzami. Nie włączyłam pagera, bo doskonale wiedziałam, że trudno byłoby mi znieść nagrane tam wiadomości, zwłaszcza dzisiaj. Jeszcze nigdy nie czułam się tak martwa, jak w ten dzień moich urodzin.



## 74. *Sponiewierana*

**A**lbo żeby zyskać przewagę, albo przez zwykłą podłość, w każdym razie M odczekał kilka dni od moich, pozał się Boże, urodzin, zanim poruszył temat. Po powrocie z pracy prosi, żebym się ładnie ubrała, bo zabiera mnie wieczorem na kolację. Jestem w zupełnym szoku, bo już od wieków nie ruszyłam się z mieszkania dalej niż sto metrów. Nie potrafię wyobrazić sobie, że miałabym wsiąść do autobusu, nie wspominając już o spędzeniu wieczoru w restauracji wypełnionej ludźmi. Nie rozumiem zachowania M. Nagle robi się cały rozkoszny i tryska ożywczą energią. Za to wczoraj wywlókł mnie na parking, gdzie najpierw porządnie mi naubliżał, a potem cisnął na ziemię i skopał po żebrach. Musiał mi przy tym jedno złamać, bo trudno mi się oddycha i czuję ostry ból w klatce piersiowej.

Straciłam już resztki sił i nie potrafię odnaleźć mojego dawnego uśmiechu. Owszem, cieszę się, że wychodzimy, ale moja radość nie jest już taka pełna entuzjazmu. Nic nie jestem warta, nikomu niepotrzebna, dałam się opanować zaklinaczowi dusz, który zabawia się moimi uczuciami i poniewiera mną dzień po dniu. Z ciężkim sercem wciągam długie spodnie i ulubiony sweter. A chusta...? Oczywiście, że muszę włożyć chustę, bo inaczej rozpęta się piekło. Chociaż w sumie i tak jestem już w piekle... M nie nosi rzecz jasna żadnego nakrycia głowy, ale usiłuje zapuścić sobie brodę, co mu średnio wychodzi, bo mój M jest w ogóle mało owłosiony.

Kiedy podnoszę ramiona, przenika mnie ostry ból. Ubieram się powoli i ostrożnie, po czym wkładam zwyczajową chustę, maskując Sophie, która jest już tylko cieniem samej siebie.

– Ładnie wyglądasz – mówi i natychmiast całuje mnie w kącik ust.

Oblewam się rumieńcem, bo uważam, że wyglądam okropnie w tej płachcie, która z pewnością nie dodaje mi uroku. Bierze moją twarz w dłonie i podnosi mi głowę, żeby zajrzeć mi w oczy.

– Chcesz dzisiaj wyjść bez chusty?

To na pewno podstęp, ale nie dam się podejść, chociaż mam wielką ochotę wyjść z odkrytą głową.

– Oczywiście, że nie. Jestem gotowa, idziemy?

M odchyła głowę, a na jego usta wypływa przebiegły uśmiezek. Nie, tym razem nie dam się złapać w jego pajęczą sieć.

M wybrał tajską restaurację w dzielnicy Chafika, do której można przynieść własny alkohol. Przykryte białymi obrusami stoły i kryształowe żyrandole mają nadać temu gwarnemu wnętrzu bardziej wytworny charakter. Siadamy przy jednym z nich nieopodal okna. Wybrałam krzesło pod ścianą, bo tak czuję się pewniej. Nieustannie boję się ataku zza pleców, chociaż mój Potwór siedzi na wprost mnie. Wyczuwam spojrzenia ludzi, którzy niechętnie zerkają na mój ubiór. Dlaczego biała dziewczyna nosi na głowie chustę? Sama też się nad tym zastanawiam, mimo że zaczynam coraz bardziej wierzyć w islam i dochodzę do wniosku, że ta religia kryje w sobie najczystsza prawdę. Ale w chuście czuję się niezręcznie i nienaturalnie, więc tylko jeszcze niżej spuszczam głowę.

Biorę kartę, którą wręcza mi kelner i, nie myśląc o konsekwencjach, dziękuję z uśmiechem. Jestem taka głodna, że zjadłabym obiad z pięciu dań, gdybyśmy tylko mogli sobie na to pozwolić. M wzdryga się naprzeciw mnie i nagle jego aura gwałtownie się zmienia. Czuję narastające w nim niezadowolenie. Kula strachu podchodzi mi do gardła; przygryzam dolną wargę, która odruchowo zaczyna mi drżeć. M odsuwa kartę i kładzie łokcie na stole, splata dłonie i opiera na nich podbródek. Pochyla się lekko w moją stronę i niskim, ledwie dosłyszalnym głosem powoli cedzi złowrogo:

– Tak sobie flirtujesz z kelnerami?

Już w tej samej chwili, kiedy odruchowo uśmiechnęłam się do młodego człowieka, wiedziałam, że M sobie nie daruje. Nie mam makijażu, jestem wychudzona jak szkielet, ubrana na czarno od stóp do głów i przez większość

czasu wbijam wzrok w ziemię. Nie byłabym nawet w stanie sobie poflirtować! – krzyczy mój cienki, wewnętrzny głosik.

Mamroczę nerwowo to, co podyktował mi ten głos, i proszę, żeby nie robił afery. W tym właśnie momencie podchodzi do nas kelner i pyta, czy już podjęliśmy decyzję. M szybko zamawia dla nas obojga: krewetki i owoce morza. Potem gwałtownym ruchem oddaje mu karty i gestem odsyła go do kuchni.

M mierzy mnie swoim czarnym spojrzeniem.

– *Ya kahba*, zawsze ci się uda zepsuć atmosferę.

Ze wszystkich sił stara się opanować wzbierającą w nim wściekłość. Bębni nerwowo palcami o blat stołu, powtarza, że nie umiem porządnie się zachowywać, i oznajmia, że nie ma ochoty na kolację.

– Nie flirtowałam – mówię nieśmiało. – Uśmiechnęłam się ze zwykłej uprzejmości. M, proszę cię, nie denerwuj się bez powodu.

– Bez powodu? Właśnie upokorzyłaś mnie przed tym facetem!

Zrywa się i gwałtownie wychodzi z restauracji. Czekam długo, żeby minęła mu złość, próbując sobie wmówić, że za chwilę wróci, bo pewnie wyszedł uspokoić się przy papierosie. Wyglądam przez okno, ale go nie widzę.

Pytam kelnera, czy można jeszcze wycofać zamówienie, ale jest za późno. Mężczyzna bardzo mnie przeprosza i tłumaczy, że dziś wieczorem trzeba dłużej czekać, bo jest dużo gości. Licząc na to, że M wróci w tym czasie, dziękuję niebiosom za wolną obsługę, bo przynajmniej kolacja mu nie wystygnie, co mogłoby wywołać jeszcze jedną burzę.

W końcu jakieś ręce stawiają talerze na stole. Czekam dalej. Nic. Ani śladu M. Tylko Sophie z policzkami jak dwie piwonie siedząca nad zimnym jedzeniem. Przywołuję kelnera i, tłumacząc, że M źle się poczuł, proszę o zapakowanie zamówienia na wynos. Przepenia mnie smutek i zażenowanie. Podchodzę do kasy i podaję kartę, modląc się w duchu, żeby na koncie było dość pieniędzy na opłacenie rachunku. Wstrzymuję oddech i łyzy, które cisną mi się do oczu, ale nadludzkim wysiłkiem udaje mi się je pohamować i reguluję płatność.

Kasjerka przygląda mi się z ukosa i pyta, czy wszystko w porządku. Ta jej życzliwość przelewa czarę i wybucham szlochem. Niemal niedosłyszalnie bąkam: „W porządku”, i wychodzę z restauracji z plastikową torbą niczym prezentem świątecznym.

Rozglądam się za M, ale go nie dostrzegam. Nie mam kluczy od naszej klitki ani pieniędzy na metro. Błąkam się więc po okolicznych uliczkach, mając nadzieję, że gdzieś w pobliżu uda mi się wypatrzyć M. Nagle przychodzi mi do głowy oczywista myśl: na pewno jest u Chafika. Wlokę się żałośnie w tamtą stronę, bo żebro dokucza mi coraz bardziej. Docieram w końcu na miejsce i kiedy Chafik otwiera mi drzwi, widzę M razem z jeszcze innym facetem, najprawdopodobniej z Quebecu, i kilka dziewczyn bez chust, do tego Kanadyjek. M puszy się jak kogut pośród tych spódniczek i wysokich obcasów. Robi mi się niedobrze. M podbiega do mnie i wypycha mnie na korytarz.

– Spróbuj tylko jeszcze raz narobić mi wstydu, a odpłacę ci tak, że się nie pozbierasz, rozumiano? Idziemy.

Łapie mnie za rękę i wlecze na ulicę, nie żegnając się nawet ze swoim towarzystwem. Chociaż tyle, że wychodzi ze mną, myślę.

W domu odgrzaliśmy jedzenie i M zapowiedział, że nigdy więcej nie zabierze mnie do restauracji. Tej nocy brutalnie mnie zgwałcił. Błagałam, żeby przestał się nade mną pastwić, ale pięściami przypomniał mi, kto tutaj rządzi. To wszystko, na co zasługuję. Skóra mi pęka i krew tryska na fioletową pościel. Jestem zmaltrretowana i znowu uciekam w muzykę Aznavoura. „Zabierzcie mnie na koniec świata, zabierzcie mnie do krainy cudów, wydaje mi się, że w słońcu łatwiej jest znieść niedolę”.

## 75. *Sophie – duch*

**W**cale nie jest łatwiej w słońcu znieść niedolę. Zbliża się to, czego najbardziej się obawiałam. M postanowił, że na dobre przenosimy się do Afryki. Chce wyjechać z Quebecu w przyszłym tygodniu. To nieodwracalna decyzja, bo skoro przebywa tu nielegalnie, kiedy stawi się do odprawy celnej, zostanie deportowany i już nigdy nie będzie mógł wrócić.

Już jego okrucieństwo, bicie i złorzeczenia stopniowo mnie wyniszczają, ale wyjazd to jak wyrok śmierci na samą siebie, a nie jestem gotowa zniknąć. Na szczęście nie mam paszportu, bo po powrocie z Kuby, kierowana jakimś instynktem, oddałam go mojemu ojcu i poprosiłam, żeby schował go w bezpiecznym miejscu i nigdy mi nie oddawał, choćbym go zaklinała z nożem na gardle.

Kiedy już M wbije sobie coś do głowy, nic i nikt nie zdoła mu tego wyperswadować. Najpierw robi, co może, żeby przeforsować swoje widzimisię, po czym o wszystkim zapomina i przerzuca się na coś innego. Pamiętam, jak jesienią zapalił się do pomysłu, żeby wyłudzić pieniądze od uniwersytetu. Przez kilka dni przygotowywaliśmy dokumenty, i na tym koniec.

W każdej z pięciu modlitw, które codziennie odmawiam, całym sercem proszę, żeby M zapomniał o powrocie do Afryki, ale wygląda, że uczeplił się tego pomysłu na poważnie, i zaczynam obawiać się, że doprowadzi rzecz do skutku.

Truchleję na samą myśl, że miałabym powiedzieć mu, że mój paszport jest u mojego ojca. I faktycznie reaguje dokładnie tak, jak się spodziewałam. Wpada w pasję i ciska mi w twarz słowa, które teraz tylko po mnie spływają.

Tyle razy już je słyszałam, że nie ranią mnie już tak dotkliwie.

Następnego dnia M bierze wolne w pracy i udajemy się do biura paszportowego. Po drodze zahaczamy o zakład fotograficzny, żeby uwiecznić moją twarz na oficjalnym zdjęciu. Gdy biorę je później do rąk, ogarnia mnie przygnębienie. Moje oczy są smutne i pozbawione życia. Garb na nosie zdaje się jeszcze wyraźniejszy na tle podkrążonych oczu i zapadłych policzków, a moje rysy wydają się dziwnie twarde w czarnym obramowaniu chusty. Nie poznaję sama siebie. Kim jest ta kobieta na zdjęciu, która ma formalnie potwierdzać moją tożsamość? Sophie... To imię odbija się echem w mojej głowie. Sophie bez nazwiska, Sophie bez imienia, Sophie bez osobowości. Sophie – duch. Sophie zmaltretowana. Martwa Sophie.

Wypełniam formularze potrzebne do wyrobienia nowego dokumentu, który na zawsze uwięzi mnie w kraju piasku. W recepcji urzędnik uprzedza nas, że procedura nie będzie łatwa, bo skoro „zgubiłam” mój paszport, muszę dostarczyć oryginał aktu urodzenia, co jest niemożliwe, ponieważ znajduje się on u moich rodziców w sejfie. Dziękuję niebiosom.

Wracamy do mieszkania, a ja nie mogę powstrzymać uczucia bezgranicznej ulgi. Moje modlitwy zostały wysłuchane. Bóg naprawdę istnieje i wyczuwam obecność dobrych duchów i moich aniołów wokół siebie. Bez względu na wszystko wolę już, żeby M zabił mnie tu własnymi rękami, niż jechać się powiesić w jego przybudówce w Afryce.

M przysięga, że znajdzie jakieś rozwiązanie, a ja odpowiadam, że wierzę w jego możliwości. Za nic nie powiem mu, że nie wrócę z nim do tego kraju, który tak pokochałam i tak znienawidziłam. Zachowuję swoje spostrzeżenia dla siebie i znowu zamykam się w sobie i modlę się o siłę, żeby odejść od mojego tyrana i nigdy do niego nie wrócić. Wcześniej nie raz udało mu się mnie zwieść, ale teraz już znam jego zagrania i mam wrażenie, że niedługo wyczuję pod stopami dno studni.

Przez cały wieczór M wydzwania do różnych kolegów i na próżno chwytą się wszelkich sposobów, żeby podrobić bezcenny dokument, ale, chwała Bogu, jego znajomi nie są w stanie mu pomóc. Musi się zastanowić, więc zostawia mnie samą z moimi myślami w mieszkaniu pod ziemią.

Idź, idź sobie, zostaw mnie samą, już mi jest wszystko jedno, lepiej mi

bez ciebie. Ten refren jak mantra, jak echo, jak jakaś odległa pieśń lub modlitwa rozbrzmiewa mi w uszach, gdy pogrążam się w swoim świecie.

## *76. Dlaczego?*

**D**laczego nie odeszłaś, mała Sophie? Nie mogłam. Potrzebowałam najpierw dokładnie obmyślić plan działania, żeby po drodze nie zginąć. W dodatku im bardziej zbierałam się na odwagę do odejścia, tym bardziej M stawał się nagle radosny i odnajdywał swój dawny zapał i optymizm. Tak jakby przeczuwał moje zamiary i chciał zmanipulować mnie tak, żeby to w końcu było niemożliwe i na zawsze uwięzić mnie w gąszczu swojej władzy.



## 77. Dno studni

**M**odlę się. Moja ostatnia modlitwa przed pójściem spać. Już nie wiem, jak jeszcze prosić Boga, żeby wyrwał mnie z mego piekła. Po głowie kołacze mi się jedna myśl: Boże mój, spraw, żeby uderzył mnie tak mocno, że go zostawię na zawsze. Boże mój, obiecuję, że będę Twoją najprzykładniejszą służebnicą i będę się modlić aż do śmierci, tylko pomóż mi się stąd wydostać. I daj mi siłę, żeby już nigdy nie wrócić.

Wieczorem, nieco później, z przejęciem oglądam stary film w telewizji, gdy nagle moją uwagę odrywa łomot w korytarzu. Drzwi otwierają się z hukiem i w progu staje M, czepiając się futryny, żeby nie upaść na podłogę.

Podbiegam do niego, bo chcę go podtrzymać, ale odpycha mnie bezładnym ruchem. W nozdrza uderza mnie silny zapach alkoholu. Spod wpół przymkniętych powiek posyła mi złe spojrzenie. Ledwo może utrzymać się na nogach i bełkocze coś niezrozumiale. Z trudem posuwa się w moim kierunku. Wymykam się i uciekam na drugi koniec pokoju, podczas gdy on usiłuje złapać mnie za ramię, ale jest tak zalany, że nie może skoordynować swych ślamazarnych ruchów. Przez chwilę bawimy się tak w kotka i myszkę, wreszcie go ponosi. Atak szału wręcz wyrywa go ze stanu upojenia. Stanowczym i opanowanym tonem, który bierze się z siły, jaka drzemie we mnie od dawna, każę mu przestać.

– Dosyć tego, M. Idź się położyć, jesteś kompletnie pijany.

Jego oczy, czarne jak heban, świecą szatańskim blaskiem. Ściąga usta, zaciska mi dłonie na szyi i unosi mnie do góry. Moje stopy dyndają przez kilka sekund w powietrzu, aż rzuca mnie na ziemię. Przez chwilę ogarnęła go siła bestii i pod wpływem adrenaliny odzyskał trzeźwość umysłu.

Muszę mu uciec. Nie zniosę już więcej bicia. Na czworakach próbuję odpełznąć jak najdalej, ale łapie mnie za nogi wielkimi łapami i, szorując mną po podłodze, siłą przyciąga do siebie. Wierzgam na oślep i udaje mi się wyrwać z jego kleszczy, jednym rzutem ciała staję na nogi i rzucając się do wyjścia. Teraz to mnie kopnął solidny zastrzyk adrenaliny.

Pędzę korytarzem i, przeskakując po kilka stopni, pokonuję schody prowadzące do wyjścia. Boso, w podkoszulce i getrach gnam co sił do parku, który znajduje się mniej więcej sto metrów od domu. Za sobą słyszę nawoływanie M na przemian z przekleństwami, ale nie odwracam się i dalej mknę przed siebie, chociaż stopy krwawią mi od kamieni.

Jest noc, a ponieważ park jest niewielki, nie ma w nim latarni. Kryję się za krzakami i próbuję za wszelką cenę uspokoić oddech. Czy M widział, że pobiegłam w tę stronę? Oby nie. Przez gałęzie widzę, jak po omacku szuka mnie wśród drzew. Boję się, że moje jasne ubranie odbije światło księżyca. Kulę się najbardziej jak mogę i chowam głowę między kolanami. Nie zdążyły mi się jeszcze zagoić siniaki z poprzednich dni i nie dam rady wytrzymać kolejnego lania. Już nie mogę, jestem u kresu, już go nie Kocham. Wydarzyło się zbyt wiele złego, za dużo awantur, za dużo samotności i zniewolenia. Chcę odnaleźć swoje prawdziwe „ja” i wyleczyć się z tego mężczyzny. Wiem, że jeszcze nie zniszczył mnie do reszty i w głębi duszy tli się wciąż moja osobowość.

Mijają minuty i nie słyszę już kroków M na trawniku. Podnoszę głowę, ale nikogo nie widzę. Słyszę jedynie szelest zimnego wiatru w koronach drzew i daleki szum autostrady. Wstaję ostrożnie, uważając, żeby nie robić hałasu. Penetruję skwer wzrokiem. Pusto.

Zmarzłam w tę letnią noc i żałuję, że wybiegłam tak z gołymi nogami, praktycznie w piżamie, bez torebki i dokumentów. Między pniami drzew dostrzegam radiowóz, który sunie ulicą. To niebezpieczna dzielnica i boję się, że przydybia mnie jacyś bandyci. Na własne życzenie jestem w sytuacji bez wyjścia i przychodzi mi do głowy, żeby zatrzymać policję, ale oni są już daleko i nie ma mowy, żebym zdołała ich dogonić. Co robić? Zaczynam się trząść. Adrenalina opadła i jestem wycieńczona. Moje poharatane stopy strasznie mi dokuczają i boję się być tu sama po ciemku.

Postanawiam ruszyć powoli do wyjścia z parku. Wzdłuż alejki pod drzewami ciągną się piknikowe stoły. Zamieram. Na jednym z nich leży rozwalony M z twarzą zwróconą do góry i szeroko otwartymi ustami. Nie umarł. Chrapie...

Obchodzę go szybko i uciekam do mieszkania. Może zdążę złapać jakiś sweter i parę drobiazgów, a potem wynieść się z tej nory raz na zawsze. O tej porze drzwi do budynku zamknięte są na zasuwę, bo kręci się tu mniej ludzi, ale akurat w tej chwili wychodzi jakiś młody Hindus i szybko przytrzymuję drzwi, zanim się zatrzasną. Patrzy na mnie, ale ja nie mam czasu się nim teraz zajmować i pospiesznie ruszam w głąb korytarza do sutereny. Mieszkanie jest otwarte. Migiem zgarniam ciuchy, łapię buty do ręki i jak najszybciej uciekam z tego przeklętego miejsca. Ale gdy docieram do drzwi kamienicy, stoję oko w oko z M. Dziela nas szklane drzwi. Wpatruje się we mnie, blady i z pokorą w oczach. Przechyla głowę na bok i uśmiecha się głupio. Porusza ustami i rozumiem, że chce, żebym otworzyła. Jak na lipcową noc na dworze jest raczej zimno i nie mogę pozwolić mu zostać na zewnątrz. Poza tym wydaje się mocno skruszony. M stuka lekko w szybę, nie spuszczając ze mnie spojrzenia. Jego oczy są takie łagodne. Dreszcz przebiega mi wzdłuż pleców, kiedy w końcu otwieram mu drzwi.

– Kochanie... Wracajmy, porozmawiamy w domu – mówi.

– Nie mam ochoty, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Jestem tobą całkiem wyczerpana, M.

– Nie rób scen w korytarzu, proszę cię. Chodzi tylko o krótką rozmowę, jest mi zimno i ja też jestem wyczerpany.

Przystaję na jego prośbę. I tak nie miałabym dokąd pójść, jest późno, nie mam pieniędzy, a autobusy nie jeżdżą już o tej porze. Wracamy do naszej klitki. M próbuje objąć mnie w talii, ale odsuwam go delikatnie. Nie chcę, żeby kładł na mnie łapy – moje ciało, głowa i serce mają już dosyć.

Długo rozmawiamy o jego problemach, o przyczynach, dla których tak się nade mną znęca, o jego zmiennych nastrojach i zaborczości. To dlatego, że tak bardzo mnie kocha, i chciałby mieć mnie całą dla siebie, chce być jedynym mężczyzną, który ma prawo na mnie spojrzeć. Wyznaje, że czasem wstępuje w niego demon i nie potrafi nad nim zapanować. Nagle słyszy w

głowie jakieś głosy, ale to wina tego diabła, nie jego. To fakt, że bywa zazdrosny, przyznaje i bardzo mu przykro. Nie ma żadnego prawa tak mnie zamykać i sam o tym wie. Stwierdza nawet, że mógłby spróbować pójść na jakąś terapię.

Jestem kompletnie oszołomiona jego słowami, bo nie zdarza mu się tak otwarcie mówić o swoich uczuciach, lękach i słabościach. Mam przed sobą małego, słabego i wrażliwego chłopca, który potrzebuje pomocy. Wysłuchuję wszystkiego uważnie, a potem opowiadam mu o moim cierpieniu i mojej niedoli, zaznaczając, że nie wiem, czy zdołam jeszcze raz mu wybaczyć. M błaga, żebym pomogła mu stanąć na nogi, sam siebie już nie może znieść i kocha mnie ponad życie. Nie chce mnie stracić i, szlochając, garnie mi się w ramiona. Czubkami palców głaszczę go po głowie i ramionach i staram się uwierzyć w to, co opowiada, ale nie mogę. Moje serce zlodowaciało i między mną a nim wyrósł jakiś mur.

## 78. *Promień nadziei*

Mimo skrajnego zmęczenia zasypiam dopiero przed świtem. W nieskończoność roztrząsam wszystko, co wydarzyło się w tych ostatnich latach, i rozmyślam zarówno o cudownych, jak i straszliwych chwilach, które tak stargały mi serce. Już wiele miesięcy temu zamknęłam w małym pudełku wspomnienia o moich rodzicach, rodzinie i przyjaciółach, bo bałam się, że gdybym je ponownie otworzyła, nie mogłabym znieść tego ogromu bólu. Tej nocy wieczko samo się uchyliło i serce zaczęło mi krwawić na myśl o mamie i tacie. Może mnie szukają? A może o mnie zapomnieli? Czy ja w ogóle jeszcze dla nich istnieję, czy jestem już tylko duchem z zamierzchłej przeszłości? Wracają do mnie ich twarze i ból przeszywa mi serce. W środku nocy, z M śpiącym spokojnie przy mym boku, modłę się, żeby tata tu po mnie przyjechał. Chciałabym się zapaść w jego ramiona i znowu mieć cztery lata.

Słońce jest już wysoko, gdy budzi mnie stukanie do drzwi. M w kuchni przygotowuje kawę, jak zawsze po przesileniu. Zaskoczony wizytą w niedzielne południe, idzie otworzyć. W progu stoi dwóch mężczyzn, jeden z siwymi, krzaczastymi wąsami, a drugi wysoki i chudy. Chcą się ze mną widzieć. Od razu ogarnia mnie strach, bo nie mam pojęcia, kto to może być. M odwraca się w moją stronę z pytającym spojrzeniem. Wzruszam ramionami, ciągle zagrzebana w pościeli. Mężczyźni przedstawiają się jako prywatni detektywi. Zaczekają pod drzwiami. Wskakuję z łóżka i wciągam sweter i dżinsy. M wpada w panikę. Łapie mnie za ramiona i każe mi przysiąc, że nie puszcę pary. z ust Wszystko jest w porządku, jesteśmy szczęśliwi, a przede wszystkim nie wolno wspomnieć imienia lub nazwiska M.

Wychodzimy na korytarz, opieram się plecami o ścianę ze wzrokiem wbitym w podłogę. Boję się. Szczególnie tego, co będzie, kiedy detektywi już pójdą i zostanę sama z agresją M. Mężczyźni zwracają się do mnie:

– Twój tata czeka przed budynkiem. Chciałby się z tobą zobaczyć.

Przestaję oddychać. Nie do wiary, moje modlitwy zostały wysłuchane. Mój tata jest o kilka metrów ode mnie, przyjechał ocalić swoją córeczkę.

M stoi spokojnie obok mnie, ale widać, że jest zdenerwowany. W oszołomieniu ogarnia mnie pragnienie, żeby zobaczyć mojego tatę, ale nie mogę się zgodzić. M by mnie zabił. Tak strasznie boję się jego reakcji. Naprawdę się boję o życie. Przy następnym wybuchu zabije mnie, jest do tego zdolny. I tym razem to wreszcie będzie koniec.

Kręci mi się w głowie, nogi uginają się pode mną. Zsuwam się po ścianie i kucam przy ziemi z głową między kolanami. Wąsaty detektyw nachyla się nade mną i łagodnie, niemal z czułością, pyta, czy wyjdę z nim na zewnątrz na kilka minut. Nie mogę, tato. Niedługo zrozumiesz. Tato... Przepraszam.

M próbuje się wmieszać i żąda od detektywów dowodów tożsamości, ale chudzielec oschłym i stanowczym tonem każe mu się zamknąć. Podnoszę pusty wzrok na kucającego przy mnie mężczyznę. Bezdźwięcznym i pozbawionym emocji tonem odpowiadam, że nie mam ochoty zobaczyć się z ojcem i że nie wyjdę na ulicę.

W moim wątłym ciele szaleje huragan. Moje słowa mnie przerażają i wymagają niewyobrażalnego wysiłku. W rzeczywistości mam ochotę krzyknąć: Zabierzcie mnie stąd! Zabierzcie mnie od tego psychopaty! Niech się już skończy ten koszmar, chcę umrzeć!, ale wołanie to grzęźnie mi w zaciśniętym gardle. Powstrzymuję łzy i każe się zamknąć małej Sophie. Jakby do serca dostał mi się okrucieństwo Królowej Śniegu. Podnoszę hardo głowę, wstaję i otaczam M ramieniem w talii, rzucając detektywom wyzywające spojrzenie.

Zapewniam ich, że to moja ostateczna decyzja, i patrzę, jak odchodzą, jak rozbitek na pełnym morzu pośród rekinów za oddalającym się statkiem.

W tej chwili zrozumiałam, że ktoś naprawdę mnie kocha i zależy mu na mnie tak bardzo, że ciągle mnie szuka.

M, bojąc się powrotu detektywów, ciągnie mnie do tylnego wyjścia. Chowamy się na tyłach kamienicy i stamtąd, po raz pierwszy od wielu miesięcy, widzę mojego tatę. Z opuszczonymi ramionami stoi po drugiej stronie ulicy i rozmawia z detektywami, którzy zapewne właśnie mu przekazują, że nie chcę się z nim zobaczyć.

Tato, błagam cię... Nie martw się. Oddałabym wszystko, żeby z tobą odjechać. Już sam twój widok to potężny zastrzyk miłości dla mojej umęczonej, spragnionej uczucia duszy. Trzymaj się, tato. Niedługo będziemy razem. Potrzebuję czasu, żeby dobrze się przygotować i nie zginąć w czasie ucieczki.

## 79. Ostatnie starcie

Wertuję w głowie mój plan ucieczki, podczas gdy M obmyśla swój plan zemsty. Chce ukarać mojego ojca i wszystkich znanych nam ludzi, którzy podali mu nasz obecny adres. Ze słuchawką w dłoni dzwoni do wszystkich znajomych, jednego po drugim, i grozi, że ich zniszczy.

Teraz przynajmniej mam pewność, że mama i tata wiedzą, że istnieję. Wystarczyłby jeden telefon, żeby na zawsze wyrwać się spod wpływu mojego guru. Osiągnęłam dno studni i jestem gotowa. Mała Sophie już dosyć przeżyła. Nie chce więcej cierpieć, ta udręka trwa już zbyt długo. Nie będę dłużej zginać kręgosłupa pod brzemieniem miłości. Ale została jeszcze do stoczenia największa bitwa – z samą sobą. Muszę wybrać siebie. Mnie samą.

Tym razem nie muszę się modlić, żeby moje życzenie się spełniło.

W noc po tym, jak nie zgodziłam się na spotkanie z ojcem, gdy rodzice nie mogą pewnie zmrużyć oka, nad moim wątłym, mizernym ciałem wyładowuje się furia M i czuję, że umieram, przytłoczona poduszką, którą przyciska mi do twarzy. To koniec, teraz już odeśle mnie w zapomnienie, pozwoli mi się udusić pod ciężarem pierza. Młóczę rękami powietrze i bezskutecznie próbuję jeszcze walczyć, ale jestem zupełnie unieruchomiona, bo przygniata mnie całym bezwładem swojego ciała. Mój wcześniejszy krzyk pozbawił mnie resztek powietrza, dzięki którym dotąd zachowałam przytomność. Nie jestem gotowa odejść. Nie jestem gotowa zniknąć.

Potem następują najdłuższe minuty w moim życiu, najdłuższa walka fizyczna i psychiczna, jakiej kiedykolwiek doświadczę. Muszę obudzić w sobie całą bojowość, na jaką mnie stać, bo inaczej nigdy się nie wyzwolę. Nie ma odwagi mnie zabić. W decydującej chwili, gdy z ust uchodzi mi już



ostatnie tchnienie, nieoczekiwanie mnie puszcza. Sekunda na wagę życia.

Próbuję złapać powietrze i dyszę ciężko, gdy moje płuca kurczą się pod wpływem tej gwałtownej ulgi.

Tych kilka sekund wystarczy, żeby nagły przypływ adrenaliny pomógł mi złapać telefon porzucony na ziemi, tuż-tuż, w zasięgu ręki. Chwytam słuchawkę i pośpiesznie wystukuję numer mojej bezpiecznej twierdzy.

Skulona w fioletowej pościeli, przyciskam ją do ucha i krzyczę do mamy, żeby przyjechała mi pomóc.

M w szale roztrzaskuje telefon o ścianę. Chwyta mnie za włosy, zrzuca z łóżka i zaczyna kopać. Jego furia nie słabnie. Podnosi mnie siłą i przygniata plecami do ściany. Jego szpony oplatają mi się wokół szyi. Duszę się. Nie mam czym oddychać. Z całej siły zaciska mi palce na gardle. Moje ręce zamykają mu się na przegubach, rozpaczliwie próbując odepchnąć dłonie, które miażdżą mi skórę. W końcu rozluźnia uścisk. Bliską omdlenia wlecze mnie na podziemny parking przylegający do naszego mieszkania.

Szamoczę się, rozdieram mu paznokciami skórę na przedramionach, próbuję gryźć, a wolną ręką staram się uderzyć go w głowę. Jedną dłonią trzyma mnie za usta, drugą wlecze moje sponiewierane ciało. Przyciska mnie do siebie, zupełnie bezwolną w tych o wiele dla mnie za silnych ramionach. Cios prosto w twarz ucina moje wysiłki, zaczyna dzwonić mi w uszach. Ale gra się jeszcze nie kończy. Nie połała się jeszcze krew.

Swoim podartym swetrem przywiązuje mi nadgarstki do rury biegnącej tuż obok śmietników i knebluje mi usta. Wiem, że prędzej mnie zabije, niż pozwoli mi odejść. On wie, że to koniec. Dla mnie. Dla nas.

M otwiera jeden z pojemników. Przerazona próbuję oswobodzić spętane ręce. Z braku dopływu krwi zaczynają drętwieć mi palce.

Mój psychol popełnił jednak dwa poważne błędy: wywlókł mnie na parking i zostawił samą, choć tylko na sekundę, gdy rozglądał się za narzędziem zbrodni.

Odwraca się do mnie plecami, a ja z całych sił szarpie za krępującą mi dłonie tkaninę. Jednym ruchem udaje mi się rozluźnić więzy. W tym samym momencie otwiera się brama i do garażu wjeżdża samochód, co nieczęsto się

zdarza o tak późnej porze. Rzucam się pędem na zewnątrz, mijając kierowcę, który nie ma pojęcia, że uratował mi życie.

M goni za mną. Biegnę w stronę wejścia do budynku, gdzie tuż przy mnie przystaje jakiś samochód. Drzwi od strony pasażera otwierają się. Nieważne, że nie wiem, czyje to auto, bez namysłu wskakuję do środka i zatrzasnę drzwi, a kierowca rusza jak wicher z piskiem opon. Patrę prosto przed siebie i nie odwracam się ani razu. Nigdy więcej nie widziałam M.

Kierowcą samochodu jest wąsaty detektyw. A więc mama usłyszała mój głos.

## 80. *Wolność, ozdrowienie*

Ciągle jeszcze się boję wychodzić sama na ulicę i poruszać się metrem. Cały czas mam wrażenie, że któregoś dnia wyskoczy do mnie M i znowu mnie uprowadzi. Jeszcze nocą dręcą mnie koszmary tamtych bolesnych chwil i wspomnienia jego szponów rozdzierających moje ciało.

Leczenie trwało długo i do dzisiaj widać tamte blizny.

Po powrocie do domu dowiedziałam się, że moi rodzice wynajęli prywatnych detektywów, żeby mnie odnaleźć, i że nigdy nie przestali mnie szukać.

Wydostanie się z tej niewoli okazało się ciężką walką ze sobą, z moimi demonami i moimi lękami. W końcu znalazłam drzwi, przez które mogłam uciec od mojego guru. Długo trwało, zanim użyłam tej siły, która drzemała we mnie gdzieś głęboko. Gdyby nie solidne fundamenty wpojone mi przez rodzinę, hartujące moją osobowość, dzisiaj już bym nie żyła. Poddałabym się. Przez cały ten czas we władzy Potwora wiedziałam, że któregoś dnia odnajdę w sobie moc, żeby go zostawić i żeby zawalczyć o siebie, o Ingrid, a zwłaszcza o tę małą dziewczynkę we mnie.

Mecenas Savoie spisał moje zeznanie i dopilnował, żeby dostarczono je odpowiednim władzom tak, by M zniknął z mojego życia.

A ja znów promienieję. Gdy potrafimy wybaczyć, to znaczy, że kochamy. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam mu wybaczyć. To byłoby dla mnie największe wyzwolenie.

Nietzsche powiedział: „Ten, który walczy z potworami, powinien zadbać, by sam nie stał się potworem. Gdy długo spoglądamy w otchłań, otchłań

spogląda również w nas”.

Nigdy nie będę potworem i nie ugnę się przed nikim więcej.

## *Podziękowania*

*Dziękuję mamie, tacie, Jenny i Lisie, mojej bezpiecznej twierdzy, moim korzeniom, mojej rodzinie. W mojej historii odbija się także Wasza... Dziękuję za Waszą nieskończoną miłość i wsparcie. Dziękuję, że nigdy mnie nie opuściliście i kochaliście mnie mimo wszystko.*

*Julie i Caroline, moim pin-cesses, które niezmiennie przy mnie trwały, nigdy nie krytykując i nie oceniając. Kocham Was za to, kim jesteście, bezgranicznie i z całej duszy. Przeszliśmy długą drogę od naszego pierwszego spotkania w podziemiach kościoła. Jestem z Was bardzo dumna. Świat należy do nas!*

*Marie-Ève, przyjaciółce i czarodziejce o niezawodnej intuicji, która jak nikt mobilizowała mnie do pracy. Jestem Ci winna tę książkę. Kocham Cię.*

*Maryse, dziękuję za Twoją przyjaźń i niewyczerpaną serdeczność.*

*Chantal, mojej chantalalala. Nie zapomnę naszej podróży pociągiem na północ, gdy przy butelce szampana poznałyśmy się naprawdę. Jesteś moją duchową siostrą i przyjaciółką na zawsze. Kocham Cię.*

*Stéphanie L., przyjaciółce „od pierwszego wejrzenia”. Jak dobrze jest móc być sobą przy Tobie.*

*Fred... Budujemy razem świat, w którym wszystko jest możliwe. Dziękuję.*

*Stéphanie B., towarzyszce w podejmowaniu wszelkich wyzwań. Dziękuję, że stanęłaś na mojej drodze.*

*Gisèle i Louise, dziękuję, że pomogliście mi „narodzić się na nowo”. Louise, odmieniasz moje życie.*

*Janick, mojej czarodziejce duszy. Dziękuję za uleczenie.*

*Yazid, mojej bratniej duszy. Stałeś się moim wybawcą i dałeś mi nadzieję, pokazując, że nie wszyscy mężczyźni muszą być potworami. Kocham Cię ponad wszystko, mój bibs.*

*Mecenasowi Pilote'owi, który mnie wysłuchał i zainspirował.*

*Panu Monette'owi, który jako pierwszy wyciągnął do mnie rękę. Był promieniem światła, który pomógł wydostać mi się z potrzasku, moim pierwszym kontaktem na zewnątrz. Dziękuję, że wziął mnie Pan pod swoje skrzydła i zaakceptował taką, jaka byłam.*

*Panu Farré. Piętnaście lat temu doradził mi Pan napisanie książki... Oto ona. Dziękuję za wszystko.*

*Soni, mojemu „szybkemu kogucikowi”. Zajmujesz w moim sercu specjalne miejsce.*

*Moim bliskim... Drogim przyjaciołom, którzy wspierali mnie w tym projekcie, moim dziadkom, wujkowi, cioci, Leifowi, Maly, Yoanowi, Fanfanowi i Michelowi w niebie. Dziękuję za to, kim jesteście.*

*Nadine... Mojej wspaniałej wydawczynie, aniołowi stróżowi na mojej drodze. Wręczyłaś mi pióro, pozwalając mi zrzucić moje maski i stanąć w świetle dnia z odsłoniętą twarzą. Dziękuję za Twoją pomoc i Twoje zaufanie, słowa zachęty i Twoje oczy przepełnione słodyczą.*

*Dziękuję całej rodzinie Librex za to, że przygarnęli mnie do siebie.*

*Soni Gagnon, Nicole Desmarais oraz agencji, że zdecydowali się wziąć udział w tym przedsięwzięciu.*

*Wreszcie, mojej miłości, Cédrikowi – jesteś balsamem dla mojej duszy. To dzięki Tobie i Twojej niepojętej wyrozumiałości mogłam zaleczyć rany. Podczas naszego pierwszego spotkania próbowaliśmy dociec dlaczego... Wiem, czemu jesteś obok mnie. Jesteś mężczyzną mojego życia, moje miejsce jest w Twoich ramionach. Kocham Cię każdą cząsteczką mojej duszy.*

*Maël, Ilann... Może kiedyś przeczytacie moje słowa. Poufette kocha Was całym sercem.*

*Małej dziewczynce we mnie... Już nigdy Cię nie opuszczę. Wybieram Ingrid.*

# *Przypisy*

[\[1\]](#) Ruiz Miguel *Cztery umowy*, przeł. Eleonora Karpuk.